

TYPY I CHARAKTERY.

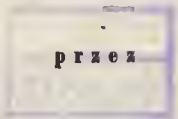
WILNO. — Drukem Józefa Zawadzkiego. — 1854.

WILNO. — Drukem Józefa Zawadzkiego. — 1854.

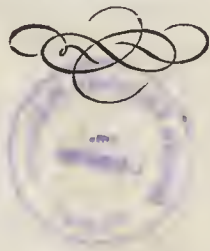
60 -
Nr 210.

T Y P Y

I C H A R A K T E R Y .



J. I. Kraszewskiego.

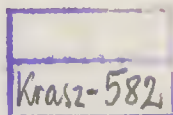


W I L N O .

NAKŁADEM KSIĘGARNI RUBENA RAFAŁOWICZA.

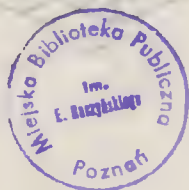
1854.

2007.



Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 24 Czerwca
1853 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.



I.

Dobry Człowiek.

1000

1000



1

1000



NIEZNANY autor Paradoxów Koronnych powiada nam o królowej Bonie, że inaczej nie zwała głupich ludzi, jeno— dobry człowiek! Od niej to zapewne poszło i dzisiejsze nasze— *Dobry człowiek, dobry człeczysko*, zastosowane do tych, których inaczej określić trudno. Dobry człowiek jest i u nas i wszędzie typem bardzo pospolitym; ale w gminie tych dobrych ludzi, których się co krok spotyka, ogromna różnaitość!!

Dobry człowiek może być głupim, głupawym, a nawet uczonym (co się trafia); nie może jednak być człowiekiem charakteru tęgiego, bo ta dobroć najczęściej oznacza brak jego zupełny. W społeczeństwie ci dobrzy ludzie, są prawdziwą plagą i nieszczęściem. Nikogoby nie-

chcieli obrazić, nikogo zadrasnąć, nikomu się sprzeciwić; potakują więc, i kłaniają się, uśmiechają, uniewinniają i puszczają mimo, co tylko chce przejść, nie zatrzymując po drodze.

Dobrym też ludziom pospolicie najgorzej się dzieje, każdy się niemi posługuje, popycha, zwała na nich winę, z swoich się grzechów niemi obmywa— i przyjaciele wszystkich, najczęściej jednej przyjaznej prawdziwie duszy nie mają. Ale oni wolą to wszystko znosić, niż raz się ostro postawić i wyjść ze swęj skorupy lenistwa i słabości. W młodości są to posługacze wszystkich rowieśników, pierwsi do nastawienia pleców, gdy po nich drapać się komu potrzeba, w klassach na ich rachunek robią się figle, za które pokutują; oni najniebezpieczniejszych podejmują się missij i z każdęj kłótni guza wynoszą.— Nieco później dobry człowiek zwykł sekundować do pojedynków, dawać obiady w interesie przyjaciół, jeździć za cudzemi sprawami, czasami sądzić kompromissa i od stron obu za nie odbierać obelgi zamiast podziękowania.— Nakoniec dobry człowiek żeni się złapa-

ny, sam nie wiedząc czemu i dla czego niechcąc być niegrzecznym. Że jest najlepszym mężem tego się domysłuć łatwo, żona go gdyby nie chciała za nos wodzić musi; sąsiedzi nim pomiatają, urzędnicy odzieraćają, dzieci się własne z niego śmieją, a koniec końcem w nagrodę cnót zowią go wszyscy dobrym człowiekiem!

Ale jakie w obywatelstwie zostawia wspomnienie, jaką mu mowę pogrzebową nad mogiłą powiedzą, z jakim westchnieniem wspominają go potem gdy zabraknie!

Całym też życiem męczeństwa ciągłego dopracowuje się tej chwały pośmiertnej i wdzięczności ludzi; biedny dobry człowiek!

Któż w życiu typu tego nie spotkał, kto go z was nie ma gdzieś blisko? Obawiam się doprawdy by malując tak pospolitą postać, nie obudzić przynajmniej stu oryginałów, co mi potem wszelkimi sposoby dowodzić będą każdy z osobna, że jego miałem na celu! Śmieszna to u nas rzecz ta drażliwość niepomiarna ogółu, który się widzi wszędzie i co chwila woła— A to ja! a

to ty! a to my! ale cóż począć, potrzeba i to znosić.

Otóż, znałem ja, dawno już bardzo, i nie na Wołyniu, (słowo wam daję, że nie na Wołyniu, żebyście darmo nie szukali)—kogoś co mógł uchodzić za typ dobrego człowieka. Zwał się ten jegomość *mutatis mutandis* Tymoteuszem Zaharą, ale go pospolicie wszyscy tylko Tymkiem wołali.

Tymek urodził się z mierniej substancji rodziców, stariej szlachty na pograniczu Litwy osiadłej, jakoś w ostatkach przeszłego wieku. Pan Bóg go od razu stworzył na dobrego człowieka, bo i dziecię to było nadzwyczaj potulne, a jak niektórzy znajdowali i głupawe, co mu tylko dodawało wdzięku. Jako dziecię był to wzór posłuszeństwa, tylko że zarówno już słuchał i nauki rodziców i sług, co się jego wychowaniem trudnili w kredensie. Ojciec, któremu nie stawało na nauczycieli i wychowanie prywatne, oddał go prosto do konwiktu XX. Pijarów w Lubieszowie. Tymek choć go wszyscy kochali, stał się tu męczennikiem i kozłem ofiarnym.

Konwikt dzielił się na dwa stronnictwa, z których jednemu przewodniczył jakiś Orda, a drugiemu Pruszyński. Byli to synowie majątniejszych rodziców, uczniowie już starsi, a jak zwykle między młodzieżą bywa, coś tam ich podrażniło, poróżnili się i ztąd powstała wojna domowa w Konwicie między Ordystami i Pruszyńszczykami. Nigdy Gwelfy i Gibelliny zajądlęj się z sobą, słowy, piłkami, pytkami i kałamarczami nie potykali. Naturalnie Tymek pozostał neutralnym wpośrodku, i chcąc usilnie pogodzić Ordę, którego kochał z Pruszyńskim, którego się obawiał, od obu stronnictw odepchnięty, zyskał guzy, a gdy okropna waśń młodzieży doszła do xiędza Rektora i niektórzy na kobiercu brali admonicję ojcowską, Tymek tak został skompromitowany, że aż szkoły opuścić musiał. Nie lepiej mu się i w innych powiodło, bo go potem oddano do Słucka, ale i ztamąd wyszedł, bo znowu awanturę jakąś na jego plecy włożono.

A że właśnie ojciec mu jakoś umarł i matka została samą, jedynak zasiadł w domu, jak na

owe czasy dosyć już umiejąc. Począł tedy sobie swobodnie gospodarzyć, ale jak mu się to wieść miało?

Sciskali go wszyscy, kochali bez wyjątku, i oszukiwali też i darli ze wszystkich stron. Na początek sprawiła mu matka piękną bryczkę i cztery śliczne szpaki, któremi pojechał w sąsiedztwo na zapusty. Nie było go kilka tygodni, ale poczciwa Sędzina nie bardzo się frasowała, bo wiedziała, że Tymek byle go kto poprosił, gotów zajechać od komina do komina, rzemiennym dyszlem choć do Ameryki. Nareszcie po długim oczekiwaniu, gdy już wysyłać miano ludzi dla powzięcia języka o zgubie, zjawiał się Tymek. Długo przypatrujący się jadącemu własni go słudzy poznać nie mogli i sądzili, że kwestarza Bernardyńskiego Bóg niesie. Matka osłupiała wyszedłszy na ganek. Tymek bowiem przyjechał starą dryndulką, i trzema chabetami różnej maści i wzrostu, chudemi, kulawemi, w porwanych chomątach, jakby po kilku latach z długiej jakiejś podróży powracał.

—Co to się stało? zawołała matka łamiąc ręce.

—Co, nie, kochana mamó, odparł Tymek wesoło całując ją w rękę— bawiłem się doskonale, a w dodatku zrobiłem jeszcze wyborny handelek.

—Ale gdzie konie? gdzie bryczka?

—Konie! alboż mama nie widzi, jak doskonale pohandlowałem, śmiejąc się, rzekł Tymek.

—Jezu, Marja! to chyba na młyn!

—Dwie arabskie klacze i prawdziwy turecki stadnik!!

—Na Boga, to cię ktoś nie miłosiernie oszukał! szepnęła Sędzina— a bryczka!

—O! bryczkę dałem dodatku, a to mi pożyczyl pan podsędek, żebym miał czém do domu dojechać!

Nie było co mówić i narzekać, Tymek sam zaraz nazajutrz postrzegł, że owe rasowe konie woziodóm sprzedać było trzeba, pocałował matkę w rękę i dał jój słowo, że się więcej w żadne handle wdawać nie będzie.

Zaraz potém jakoś koło Wielkiej Nocy, gdy się w sąsiedztwie znów bawić poczęto, wyjechał i Tymek zaproszony, wzięwszy na drogę od matki

dobry obrok duchowny. Nie obeszło się jednak i tu bez szwanku, wpadł między hulaków, ścisłali go i całowali tak, ślinili tak serdecznie, że z niemi przez tydzień pić musiał do upadłego, aż chory do domu powrócił. Matka biedna płakała, ale się wprędce wylizał, dając słowo, że już pić nie będzie.

Brakło tylko ażeby się zgrał, ale i to wprędce przyszło, choć nie miał najmniejszej do kart żyłki, dał się namówić i posadził co miał do szeląga. Nowe łzy matki, nowe zaklęcia syna,— ale na cóż to się wszystko zdało z jego nieszczęśliwym charakterem, który go na tysiące wystawiał niebezpieczeństw, bo się niczemu oprzeć nie miał siły.

Dalszy żywot Tymka odpowiedział początkom, dopóki żyła matka, która miała nad nim przewagę i łzami wszystkiego z nim co chciała dokazać mogła; póty strzeżony szedł jako tako, nie bez szwanku, ale przynajmniej nie upadając tak często, jak był powinien. Myślała bardzo staruszka zkądby mu taką wziąć żonę, która by ją zastąpić potrafiła, ale na nieszczęście nie

znalazła jój, bo była może zbyt wymagającą, i zostawiła Tymka sierotą!! Tu dopiero sypnęli się nań ludzie, jak na pastwę, a stary dworek Zaharów, otwarty dla wszystkich dzień i noc począł być pełen. Objadano, opijano i oszukiwano biedaka, który z najweselszą miną znosił te napaści opłacane uściskami i choć poznawał się na ludziach, bo ślepym nie był wcale, nigdy w oczy im nie odważył się z niczém coby ich odstręczyć mogło, odezwać. A gdy starzy matki przyjaciele przyjadą i poczną go naprowadzać na dobrą drogę, to się rozczuli, rozpłacze, doskonale im mówi o swoich błędach, wybornie z niemi ludzi sądzi, a ledwie oni za wrota, przyjaciele we drzwi, rękę im wyciągnie i na chwilę zimniejszy, wnet się rozdobruchać daje.

Czy to było lenistwo czy brak siły? czy takie jakieś usposobienie dobroduszne, dosyć, że choć wady natrętów i obsiadających go darmożjadów znał doskonale, nie umiał ich odepchnąć nigdy.

Byli nie daleko w sąsiedztwie państwo Brań-

scy, niezli sobie ludzie, ale obciążeni familją, na której czele stała dwódziestokilkoletnia córka, panna Tekla, Na nieszczęście ani młoda, ani piękna, ani posażna, i osmutniała swém położeniem nie wybierała się już podobno za mąż, gdy komuś przyszedł do głowy projekt ożenienia z nią Tymka. Tymek tak był sławny ciemięga i dobrowolne stworzenie, że można było ręczyć, iż go ożeni kto zechce.

Smiano się w początku z téj myśli, boć dosyć majętny, młody, przystojny i tak dobry człowiek mógł sobie znaleźć co stosowniejszego; ale dwóch wisusów przyjaciół Zahary poszli o zakład, że go ożenią.

Poczęto pod rozmaitemi pozorami wabić go do państwa Brańskich, którym się o tém ani śniło, szepnął ktoś Tymkowi, że panna się w nim kocha, ojciec i matka grzeczni dlań byli, jak dla wszystkich, przyplątał się wkrótce nałóg, serce miękkie zakołatało i Tymek zaszłapał. Jezdził z razu bez zamiaru, potem bez myśli, wreszcie powiadając sobie, że się trochę poko-

cha bez konsekwencji. Panna Tekla, której po guwernerze braci pierwszy pokaźniejszy trafił się kochanek, umiając przytém ocenić pocziwego chłopca, aż wyładniała dla niego. Brańscy starzy patrzali i oczóm nie wierzyli, nie rozumiejąc, co się to dzieje, a tymczasem panowie, którym szło o wygranie zakładu, czekali tylko chwili by swoją ofiarę do ołtarza poprowadzić.

Wystąpili starzy rodziców przyjaciele z perswazjami, ale po czasie, Tymek uznał z niemi, że panna nie była bardzo ładna, że wcale nie była bogata, że może nie zbyt nawet była młodziuchną, obiecał im się rozmyśleć, a nazajutrz zaraz dał się zawieść do państwa Brańskich znowu. Tu gdy po obiedzie w gabinecie upadający podawał jej kłębek i podnosząc go przyklękał, zaskoczono go na kolanach, schwycono jakby oświadczającego się, a Tymek nie chcąc pannie Tekli zrobić przykrości wypieraniem się, na prawdę o rękę jej poprosił. Tak kłębuszek skojarzył tę parę, której ślub oblały trzy kosze szampana wygranego w zakład przez swatów.

Szczęściem dla nowożeńca czuwała nad nim opatrność i sama mu w ten sposób wybrała towarzyszkę życia.

Żona jego zapłaciła mu przywiązaniem, łagodnością, pracowitością to czego jój brakło; Tymek najniespodzianie ję ujrzał się szczęśliwym. Bojąc się zmartwić żonę pilnować się począł, niekiedy nawet opierać kompanjom, i ceniąc domowe swe szczęście trochę mu poświęcił dawne stosunki i przyjaźnie. A los jakby nagradzając brak wdzięków w żonie, przekwitłą smutnie jój młodość i zaniedbane wychowanie, przysypał nawet trochę pieniędzy z jakiegoś spadku, który Brańskim zesłał.

Wiodło się tedy Tymkowi nie zgorzję, ale nie wyszedł nigdy ze swego charakteru i tę nieszczęsną dobroć płacił nieustannie ofiarami często nadzwyczajnemi. Przyjacieli wszystkich, z kolei wszystkim począł być nienawistnym, bo zawsze po troszę brał stronę każdego, zwaśnił się z sąsiadami, poróżnił z familją i zachmurzył w samym kwiecie wieku tém, co zwał niesprawie-

dliwością ludzką, a co było w istocie zapłatą tylko słabości jego.

Trudno opisać ze szczegółami wszystkie koleje przez jakie przechodził Tymek, lecz któż nie odgadnie, że zawsze będąc sobą, zawsze też być musiał ofiarą. Kładziono nań co chciano, jak na kozła ofiarnego, a choć się czasem pogniewał trochę, obruszył, jedno ściśnienie ręki i dobre słowo, otwierało znów jego serce. Nie było sprawy, pojedynku, zgody, narady, składki, poselstwa, do którychby go nie użyto, i gdzie już nikt nie chciał tam on jeszcze z ochotą grzbieta nastawiać. Płacił ten grzech swój pierworodny kieszenią, zdrowiem, czasem, upokorzeniem, tysiącznemi przykrościami i spełniając swą missją towarzyską, bo taki człowiek nie darmo się rodzi—powoli postarzał.

Sława jego serca tak była ustalona powszechnie, że dość wymówić było imię, by wszyscy jednogłośnie dodali doń—O! cóż to za dobry człowiek, co za dobry człowiek! Gdzie wszedł rzucali się go ścisnąć i ślinić wszyscy

i najszcześliwszy był, gdy wymięty w objęciach braci, wyszedł z tryumfem mówiąc do siebie—mam miłość u wszystkich!!

Z nadwerżoną fortunką zostać musiał marszałkiem, potem sędzią, w ostatku deputatem jakimś, a że go te urzęda do miasteczek ciągnęły, a w mieście nieskończone są sposoby stracenia grosza, kto go bronić nie umie, Tymek się zupełnie zrujnował.

Ubóstwo go nie poprawiło, przywiązał się tylko mocniej do żony, która je z nim wesoło i pocziwie dzieliła. Nareszcie umarł biedaczysko, jak był powinien—dobrym człowiekiem.

Zaziębił się przez grzeczność, uczuł chorym i nie powiedział słowa, ażeby nie robić nie pokoju, dostał gorączki, w ciągu szaleń uśmiechając i kłaniając się nawet, a konając wyrzekł cichuténko, ostatnie—*Całuję nóżki Acana Dobrodzieja.*



II.

S t a c h c i c.



SŁACHCIC starych czasów, w całym znaczeniu tego wyrazu, nie jestli to typ, po którym już tylko pozostały kości, a żywego nie zobaczyć między nami? nie wiem, zdaje mi się jednak, że to jedna z tych postaci znikających bezpowrotnie, jeżeli już nie znikłych; co wkrótce ustąpić będzie musiała miejsca czemuś nowemu i niezgadnione-mu. Słachcica już ciężko znaleźć, nowy wiek, obyczaje, położenie, stosunki, chęci, pragnienia, konieczności co dzień go przerabiają na coś bezbarwnego, co jeszcze nie ma nazwiska, i nigdy go może mieć nie będzie.

Rozumiem tu słachcica nie jako człowieka, co ma prawo do herbu i prerogatyw stanowi przyznanych, ale owego starego wsi właścicie-

la i mieszkańca ze wszystkimi jego narowy, przesadami, popędami slachetnemi i wadami, które dziś stały się anomalją, a niegdyś były potrzebą, wynikiem przyczyn tysiąca, co tę całość ciekawą zrodziły. Ów szumno a butno występujący na Sejmik, na rugi, na wszelki zjazd, na imieniny nawet slachetka, który znał prawo na palcach, gracko władał szerpentyną, gęby nie żałował w potrzebie, ręki nie poskapił także, a w domu ostatkiem się z gościem dzielił, co konia dosiadał do siódmego krzyżyka i dłużej, gospodarzył po swojemu, skutecznie skąpiąc i hulając nie po dzisiejszemu, kłaniał się do kolan Jaśnie Wielmożnemu, a umiał też wyprostować i wąsa pokręcić, gdy go drasnął bodaj Oświecony; co z polityki wiedział tylko tyle ile mu doniósł arendarz, bojąc się nad wszelki wyraz Rakuzkich praktyk i Ottomańskiej potęgi, lekce sobie ważąc resztę sąsiadów— ów slachcic—karmazyn— pokażcie mi go dziś proszę.

Ostatniemu może, gdzieś daleko śpiewają *mi-serere*.

Wszakże byłem to ja w życiu tak szczęśli-

wy zem znał jednego takiego niedobitka na Litwie, gdzie dłużej się wszystko stare chowa, wędniejszą sery i zawiędli trwają ludzie; ziemia tam czy powietrze, jak w owych Katakumbach włoskich ma własność: ciała życia już pozbawione, od zgnilizny i zniszczenia wstrzymywać. Był to starzec już sędziwy, ale wiek jego podeszły silniejszym był jeszcze od naszych lat młodych, i więcej on mógł wytrzymać i dokazać niż my cobyśmy wnukami jego być mogli. Pan Mateusz Zabierza miał wioskę porządną w Lidzkim powiecie, ale w kacie, od wielkich dróg daleko, wśród lasów i tak położoną, że do niej trafił tylko, kto musiał. Sąsiadów mało, przyjaciół wielu, familją też nieliczną. Ręka Boża dotknęła go srodze, żonaty niegdyś, ojciec czworga dzieci, stracił je z kolei dorostłemi, jak gdyby Bóg chciał wypróbować jego męztwa; widział je już wszystkie podlatujące i rozkwitłemi nadziejami portował. Zaczęło się to od żony, poszło potem starszeństwem, i w dwa lata zajeżdżał wóz żałobny przed wrota dworku w Zabierzy, unosząc ostatnią ofiarę. Pan cho-

raży z wypłakanemi ale zawsze na pozór suchemi oczyma, z różańcem w ręku, wychodził w grubych żałobnych sukniach i szedł pieszo do miasteczka za trumną dębową; potem powracał do domu, wzdychał, modlił się, ale krzepił i pracował.

To życie tylą próbami złamane, na chwilę się nie wypaczyło i nie wyszło z ram zakręśionych; co się działo w duszy ojca i męża? Bóg jeden wie tylko; człowiek i obywatel pozostawał niewzruszonym.

Wprawdzie pod późniejszą starość, gdy mu i pociechy uciekły i świat się począł mienić do niepoznania, skłonił nieco siwą głowę pan Mateusz, posmutniał i zachmurzył się, ale w głębi pozostał czém był, mężem którego nic złamać nie mogło, bo miał w sobie to, co jedno trzyma i zbroi, wiarę niczém niezachwianą.

Wiek XVIII, którego część przeżył dojrzałym przeszedł rzec można mimo niego, nie tknąwszy go wcale, ztój jego części nie widział, w dobrej miał udział czynny, a w zepsucie wierzyć nie chciał nawet: i takiego jakie w istocie

było, nie przypuszczał. W ten sposób przepłynąwszy nie zbrukany epokę brudów pełną, czysty stanął w nowszej, a równie dlań nie zrozumiałej i obcej. Nie mógł też wcale pojąć, co się i dla czego działo, czemu świat drgnął na swój osi, ludzie szukali dróg nowych, umysły skrzydeł do lotu, ręce prac świeżych, piersi świeżych nadziei. To czego był świadkiem wpoiliło wien przekonanie swjej trwałości, nie umiał przypuścić by, co żyło przeżyło się i umarło; wierzył w konieczność exystencij całej przeszłości i wyjeżdżając z domu zawsze się zdawał gotów spotkać pana Wojewodę, lub chorągiew pancerną. Niestety! dawno to wszystko padło z liśćmi jesiennemi i stopniało jak śniegi, ale pan Choraży kiedy mu tego dowodził, głową kiwał, węża kręcił, uśmiechał się tylko i nie próbując przekonać językiem, klnął czasem dobitnie, ruszył ramieniem zaciskając usta i uchodził pośpiesznie.

Mało z domu wyjeżdżał, nie wielu ludzi przyjmował, bo mu rówieśników smętarz pozabierał po jednym, i osmutniawszy w końcu nikogo

o to nie obwiniął tylko siebie i wiek swój podeszły.

—A kto to do starego pojechać zechce? mawiał; Bóg to tak dał i dobrze uczynił, że do siwizny mniej się ludzi garnie, bo to uroczysta godzina przygotowania do śmierci i przyszłego życia; człowiek drugim nie zabawny, o panu Bogu mu myśleć i pod kościołem siedzieć.

Kilka już razy z tą chętką wyniesienia się do miasteczka odezwał się pan Chorąży, ale okoliczności mu nie dozwalały opuścić majątku. Wnuk po bracie, jedynym był jego krewnym bliższym i spadkobiercą, ale to było młode chłopię i nie w smak Chorążemu, więc majątku mu oddać nie chciał. Zdaje się, że dziwniejszój los nie mógł stworzyć sprzeczności, jak tych dwóch ludzi zbliżając do siebie. Adolfek nie był ni gorzej ni lepiej od reszty naszej młodzieży, nie wyrósł nawet na oryginała, miał dosyć rozsądku i umiarkowania, a przecież wydawał się w oczach Chorążego czémś poczwarném, wszystkie w nim wady wieku brał starzec za indywidualne przywary.

—Pan Bóg mnie tym chłopcem pokarał, mawiał— nie podobnego na świecie nie bywało, wyrodziło się to niewiedzieć jak i zkad. Nie powiem, żeby był zły, ale do czegoż to podobne? powiedźcie mi! Francuszczyzna wlaźła do naszego domu i to go zgubiło, dodawał, zrobili z niego cudaka, pół psa pół kozy, nie poznałbym go za swego, gdybym nie wiedział, jak mi blizki.

I ruszał ramionami Chorąży, a gdy mu zaręczano, że taka teraz wszystka młodzież, ba i dziwniejsza daleko trafia się od pana Adolfa, wiary dać nie chciał.

—Tak to wy mnie pocieszacie, ale darmo, gdyby się to wszystko miało na ten manier przerobić, nie wieleby świata pozostało do życia.

Chorąży w największych jak najmniejszych rzeczach trzymał się starego obyczaju z uporem niezłomnym, wbrew całemu światu i jakby w tém czuł święty obowiązek. Nie raz kto się z tego uśmięchnął.

—Śmiej się Asindziej zdrów, mówił spokoj-

nie, a ja swoje zrobię, już wy mnie na starość nie przérobiecie.

Jakoż i dom i życie i mowa jego, były to relikwje przeszłości; nie tknął tam nikt nic dawnego dopóki żył Chorąży. A choć wiele rzeczy trudnych już było do pojęcia i nie użytecznych, wszystko się to po staroświecku utrzymywało. Dwór jak niegdyś z komnatami w szpalerzy, z bokówkami, alkierzami, apteczką, ogromną sienią, słup w dziedzińcu dla konnych ze trzema jeszcze kółkami, choć już konnych prócz pośtańców zobaczyć było trudno, w stajni w pogotowiu wierzchowce, jakby Adolfek miał się kiedyś ekwipować na towarzysza w chorągwi pana Wojewody; siodła co to jeszcze do wjazdów solennych służyły od axamitów i złota i rzędy i broń stosowna, garderoba starego ogromna i kosztowna, futra po pradziadach, delje co Jagiellonów pamiętały może; słudzy starzy lub przy starych wyuczeni, a liczni nad potrzebę, stół zawsze jakby oczekiwał gości, sam gospodarz jakby słuchał zkład przyjdą jedne wici za troje, gotów na kulbakę mimo dwóch siekierek.

Nie mówię już o świętach i uroczystościach religijno-krajowych, bo te się obchodziły z ceremonjałem odwiecznym, w którym nie wolno było jednego obciąć włoska.

Stary wśród tego wszystkiego chodził jak żywa mumja, nie dając się na linję, wyprzeć ze swych zwyczajów. Powoli co go otaczało przybrało inne formy, język, obyczaj, on trwał po swojemu. Języka żadnego prócz swego i łaciny nie liznął, kręcił głową na francuszczyznę, dąsał się na niemiecki, a gdy o innych mówiono, przerywał.

—Po diabła to szlachcicowi?

W początkach bywał zawsze na wyborach i rugach, jeździł z kuchnią i dworem, poił, forytował i rozbawiał się trochę, ale postrzegłszy jak mu się to zmienia i cichnie, przestał uczestniczyć.

—A ja tam po co? odpowiadał ruszając ramionami.

Trafiło się, że ktoś do niego zajechał ciekawo oglądać ten szczątek wielkiego rozbicia, wprost jak podróżny, co nie widział eskimosów

i poznać ich pragnie. Przyjmował każdego grzecznie, z uśmiechem nieco szyderskim wzajemnie się przypatrując zjawisku, które go też nie mniej obchodziło, bo choć się nie mógł pogodzić z nowym światem, ale go był ciekawy.

Cudzoziemski obyczaj, ogląda i choćby najwyżej nastrojony ton lekceważenia nigdy go nie mogły zmieszać, zbić z drogi i pewnej siebie powagi; zawsze po chwilce walki ten co przyjechał szydzić odjeżdżał upokorzony, zamyślony, zmieszany. Zdawało się, że wzrok starca miał siłę magnetyczną, umiejącą opanować każdego kto się zbliżył. Nikt nie śmiał przemówić doń hardo, nikt nie odważył mu się sprzeciwić, tak czuł jakoś w duszy, że z téj walki nie wyszedłby bez szwanku.

W ostatnich latach Chorąży coraz bardziej milczący, zamyślony, ponury, już nie bardzo chętnie ludzi do siebie przypuszczał. Gdy mu oznajmowano o przybyciu gościa, w pierwszej chwili rzucał się szybko z obowiązku gospodarza, potem mu ręce opadały i z westchnieniem wychodził bawić, a słuchał z roztargnieniem.

Cheąc starca czémś rozerwać Adolf przywoził mu xiążki, starannie wybierając, co najlepiej ubiegły wiek malowało wedle niego, ale Chorąży nie chciał czytać.— 'To błazeństwa! mówił odtrącając xiążki, czytam Ołtarzyk i Tacyta Mościrdzieju, a te smalone duby, co mi Asindziej przywozisz, to dla was nie dla mnie.

Adolf pewien będąc, że starca spokusi byleby mu dał trochę tój nowėj strony spróbować, poczynął czytać mu głośno.— Chorąży chodził i słuchał, zrzadka dźwignął ramieniem, ale milczał.

Wreście wyrwało mu się:

—A porzućże to chłopcze! nie mnie tём głowę mąć!

—Przecież to obrazy tój społeczności, którą dziadunio przedstawia, którą oplakuje.

—Tak! tak, jak Wasindziej jesteś obrazem i przedstawcą Zabierzów! Przez waszą malaturę żupanów wszędzie widać kuse poły niemieckiego fraczka. Kudy wam! kudy! te czasy odgadnąć i malować! Oj! oj, gdybyście wy w nich żyli, jakby to się wam wydało! Szyderstwem,

przedróżnieniem, śmieszném bazgraniem kościelnego bazgroły, co Abrahama rznie śmiało Bóg wie po jakimu z Izaakiem. Najlepsze wasze obrazy są jeszcze karykaturami, wierzaj mi i daj pokój.

—A cóż jeśli nie to wróci nam przeszłość.

—Co? krzyknął stary— nie! i nie! Kiedy Bóg chce co zmieść z oblicza świata, to i obraz i pamięć jego zetrze prawicą swoją, nie pozostanie tylko mogiła i żal. Wy tak malujecie przeszłość naszą jak Jezuiccy studenci Judythę i Holofernesa przemawiających Wirgiljuszowym językiem. Już mi Waść lepiej inne głupstwo czytaj, któreby mnie przynajmniej nie burzyło. Stary też nie brał książki do ręki krom starój, a że lepiej pewnie wiedział i pamiętał wszystko od tych co opisywali, znieść nie mógł domysłanych opisów i zgadywanych obrazów.

W sąsiedztwie żył slachcic zubożały niegdyś Woźny, dziś zaściankowy gospodarz, czysta mumja, zawiędły, chudy, wysoki i podobno rówieśnik Chorażego; z tym on jednym najpospolicij przebywał, w marjasza grał, kłócił się,

gawędał i rzadko go później do chaty odpuścił.

Pan Puciatyński korzystając z tego, że był w Zabierzy potrzebny, bo bez niego stary tęsknił. Bóg wie czego nie wyciągał dla familij, która go obsiadała, ale też spełniał swój obowiązek powolnego rezydenta, jak się należy.

—Pamiętasz waść mości Puciatyński, mawiał Chorąży, jak to Kasztelanic, który się starał o Wojewodziankę, dobijać targu mnie posłał do Wojewody, wiedząc że u niego miał partes.

—A jakże JW Panie! było to w roku...

—Ale ba! przerwał stary, waść bo tego pamiętać nie możesz.

—I owszem bardzo dobrze.

—Kłamiesz serdeńko! byłeś już na Białej Rusi! Kasztelanic ożenił się równo 1790 in Septembri, a tyś tu golissimus przywędrował in Aprili 1792.

Puciatyński w takich razach, wąsa pogłodziwszy, zmilczeć musiał. Trzeba go było widzieć jak siadał dostawszy pozwolenie usiądzenia na samym różku krzeselka, lub przy drzwiach,

i jak był pokorny, a niechże by go po słachectwie drasnął Chorąży, okóniem się stawił i do oczów skakał, czego mu stary bynajmniej za złe nie miał, bo mawiał— kto o swój klejnot nie dba ten go nie wart— krew szlachecka mosanie! czemu się za swoje ująć nie ma.

Tandem wypadło jakoś panu Adolfowi się żenić, wyjechał za granicę na lat kilka, poznał tam jakąś niemiecką grafiątkę istotnie z wielkiego domu, ale ubogą, zakochał się po uszy, oświadczył i już było po zaręczynach, gdy przyjechał do Chorążego, po którym, że miał kiedyś dziedziczyć, trzeba było u niego i o błogosławieństwo i o pozwolenie prosić.

Wiele było przyborów nim mu to potrafiło powiedzieć, stary wysłuchał cierpliwie, ale djable kiwać głową począł.

—Niemieckie grafiątko, rzekł z cicha, a kto tam ich wie nawet czy słachciana!

—Takięj familij, przerwał pośrednik z Hrabiów N...

—At! porzuć waść! ot lepiej daj mi słowo uczciwe, że to tylko nie jaka kucharka. Niemiec-

kie slachectwo dla mnie jak niemieckie kazanie, albo to niemcy mogą być slachta! wszak to wszystko fabrykanci! Zresztą nie rozumiem, żeby mając tu tyle panien do wyboru, aż tam sobie pójść szukać żony. Kiepski interes mosanie, ale co ja stary pomogę, kiedy wy mnie nie zrozumiecie. U was człowiek i człowiek to i para, a według mnie, żeby była para, dobrze szukać potrzeba i nie kumać się wróblowi z jaskółką.

Choć pan Adolf miał lat trzydzieści, Choraży zawsze go jeszcze traktował jak młokosa, a że piękną miał wieś i kapitały, musiał go młody szanować, i choć z obawą i przykrém uczuciem jechał do Zabierzy, po staremu grał tutaj rolę swoją wnuka.

Co się tycze gospodarstwa i zbierania pieniędzy, stary miał na to właściwy sobie odwieczny sposób; w żadną nowość nie wierzył, siał, żął, zbierał i sprzedawał, co się bez żyda nigdy nie obeszło, potem grosz chował, że ludzkie oko już go więcej nie zobaczyło. Tak się kapitały powoli składały. Choć życie było

wygodne, ale do niego wszystko wieś dać musiała, nie kupowało się nic prawie lub mało, gotówka zakłeta nie wychodziła nigdy, grosz był rzeczą nietykalną i cała attencja ku temu wymierzona, aby dom sobie wystarczył. Mięsa wołowego niejadano chyba gdy go arendarz kontraktowego dostarczył, lub chudego wolika bijąc na wspólkę z sąsiadem; drób i wędlina zastępowały je, od kaszy i chleba do napoju, co się sycił w domu lub na ziarno przehandlowywał, nic się prawie za gotówkę nie kupowało. To, co za miły grosz nabyć musiano, tak się oszczędnie wydawało, tak mierzyło i zamykało — jak szafran! Zresztą nie było przy tój oszczędności niedostatku, bo nasza wieś i gospodarstwo ma to do siebie, że pierwszym potrzebom życia podoła. Nic też nie było zbytowego, a występ tylko od wielkich gali i festynów, prawda, że też znowu na te dni nic nie pożalowano. Dla gościa zresztą nigdy nic nie zabrakło choćby ptasiego mléka pożaądał, tak go przyjmowano, jak dziś nigdzie i nikt już przyjąć nie umie. Ale gość był rzadki. W ten sposób choć

wioska mała, choć dochody szczupłe, pieniądź się gromadził— całą tajemnicą było, że raz nabyty nie wyszedł.

Od lat trzydziestu może, ani w domu, ani w ubraniu Chorążego nic się nie odmieniło, nic nie przybyło i nie dawała się czuć potrzeba niczego— starzyzny owe zyskiwały co chwila nowe prawa do przywiązania i stojąc niemymi świadkami życia zawsze w jednych miejscach, zawsze jedne i też same, stawały się już potrzebą dla oka, potrzebą niemal dla serca.

Życie płynęło powolnie, jak chód zegarka, ciche, jednostajne, błogie— sroka wróżyła gościa z kotem razem, śmieciuchy zapowiadały burzę, koguty piały na odmianę, dymy się na wilgoć wlokły, jaskółki wysokim lotem obiecywały pogodę. Każda pora roku cieszyła swoim powrotem i witana była jak najmilszy z gości. Z młodem uczuciem poglądał Chorąży na pierwsze liście, pierwsze kwiaty, pierwszy kłos przyniesiony, i pierwszy śnieżek biały co ziemię przypruszył. O Ś. Marcinie rozprawiali z Puciatyńskim o wszystkich zimach, które przeżyli i nie jedna łza do

wspomnień się przyplątała, bo staremu wszystko przypominało żonę i dzieci; o Wszystkich Świętych mówili o przeszłym roku, o czterdziestu męczennikach wysilali się na wróżby wiosny następującój. A do tych wróżb, do przypomnień zawsze niepostrzeżona przysuwała się tęsknota; wywołująca łzę na oku; łzę suchą, co do powiek przybiegła i od nich w serce wróciła.

Ale człowiek, co wszystko utracił, miał mężstwo, ten dar Ducha świętego, silniejsze nad wszelką boleść i przeciwność, nigdy na Opatrzność nie sarknął, nigdy na cios nie stęknął—Bóg dał, Bóg wziął! a usta drżące, niecierplive, zamykała modlitwa.

Czasem z jakąś tęskną rokoszą rozpamiętywał chwilę dawnych nadziei i załamane go życia.

—Mości Puciatyński, gdyby to mój Karolek żył, wszak toby już miał lat trzydzieści i dwa, coby to był za człowiek, jaki mężczyzna! Zanosilo się to na coś niepospolitego— Ha! ha! podobało się Bogu— wola Jego święta! I dobrze, dodawał— a coby to robiło w teraźniejszym

świecie! lepiej! lepiej! Pożyczyłem ich niebu.
Bóg dobry odda mi kiedyś!

Mysł śmierci, której my dziś słabi tak unikamy starannie, a nie po chrześcijańsku, była nieustannie w głowie i na ustach starego. Trumna dawno schła żytem nasypała na strychu, grób był wymurowany od lat piętnastu, w osobnej skrzynce leżało odzienie na wielką podróż przygotowane; w osobnych rubrikach były dukaty na koszt pogrzebu, i światło oszczędnie w porze kupione już było, sprowadzone zawczasu, nawet konie pod karawan wyznaczone, o testamencie mówić nie trzeba, że go Chorąży oglądnie i powoli napisał. Reszta tego życia była tylko oczekiwaniem wielkiej chwili, nie obojętném jak nasze, nie tchórzliwém, ale mężném, przytomném i pełném nadziei.

—Co tu waść poczniesz Puciatyński, mawiał z uśmiechem, jak ja nogi zadrę?

—Któż o takich rzeczach mówi, JWPanie, JWPan mnie przeżyje!

—A gdzie tam Puciatyńsiu ty zawiedły, a

przyciem trochę i w spirytusie zamarynowany, ja już coś ciężki i codzień gorszy niedołęga.

Puciatyński naturalnie odwracał rozmowę.

Ale to niedołęztwo Chorążego, jeszczeby nam stało za ciężką; codzień rano o czwartej wstawał regularnie, odmówiwszy pacierz, umywszy się zimną wodą, po kawie lub piwie, brał łaskę i latem czy zimą obchodził gospodarstwo. Niekiedy te przechadzki około mili i więcej wynosiły. Obiad był o południu samém, jeśli nie cokolwiek wcześniej, potem króciuchna drzemka, marjaszek z Puciatyńskim, rozmowa, znowu latem przechadzka lub przejażdżka na stępaku, suta wieczerza, pacierze.

Chorąży na koniu się jeszcze trzymał krzepko, na polowanie rad chodził, a na piechotę i młody mu nie dorównał; Puciatyński w tych wybiegach nie towarzyszył mu nigdy.

Gdy gość przyjechał, był już gościa sługą, a tak mu to pozornie nic nie kosztowało, żebyś rzekł, iż swoich zwyczajów dla niego nie zmienił na włos. Ażeby gościa przyjąć, ubawić, gotów był do ofiary nawyknień, zdrowia,

zwyczajów, stawał się pieczołowitym stróżem jego i choć przybyły często nie wart był starań, on spełniając obowiązek, siebie widział nie jego.

Jako obywatel miał znowu pojęcie obowiązków swych czyste i zdrowe, rzecz publiczna szła wszędzie przed prywatą i brała prym przed wszystkiem, krom tego co Boże. Dopóki mógł i miał nadzieję być użytecznym nigdy się nie wymawiał od służby ani majątkiem, ani wiekiem, ani znużeniem, owszem miał sobie za cześć służyć braciom, i jak za cześć, za wybór i ciężar im dziękował. W dawniejszych czasach nie było chwili cięższej, w którejby z innymi, groszem, zdrowiem i osobą nie przypłacił, a nigdy żadna ofiara nie odezwiała się z niego wymówką. Porąbany, zrujnowany, wyzdrowiał i poreperował się po cichu.

Ale przy cnotach miał Chorąży wady—choć już na starość w domu zastygł, był to swego czasu zawadjaka, zawadjaka, i do szabelki rwała mu się dusza i do prawa miał żyłkę. Z dziesięć pojedynków i z dziesięć miał processów, bez których się był wyśmienicie mógł obejść. Jeszcze

siedmdziesięcioletni mawiał, że stanie byle go kto zawezwał, i zrobiłby to pewnie, gdyby było z kim się wyrąbać. Ale chybaby Puciatyński jego lub on Puciatyńskiego wyzwał na rękę, inaczej z kimże się bić, w co? w szampana? Tego i nazwiska Chorąży znieść nie mógł. Nakoniec i wielki środek przepędzenia czasu process także mu się urwał, ostatnia zabawka i zajęcie, porozgraniczali się sąsiedzi, nie było powodu do zaczepki, a często po obiedzie stare fascykuły papierów przeglądając, nigdzie w nich spotkać nie mógł, nic coby do prawa assumpt dało, a przytém od czasu, gdy w processie głosy i repliki ustały, język się zmienił, jakoś ochota od niego odpadła.

Ostatnią sprawę miał Chorąży o półtora zagona na granicy Zabierzy, a trwała mu lat dziesiętek; sąsiadby był ustąpił, ale on o zgodzie ani słuchać nie chciał. Pił sobie po kropelce ten processik i ciągnął go a ciągnął, żeby się nim bawić, jak kot z myszą; z nowemi prawami dopiero dał pokój procedurze, której już zrozumieć nie mógł.

Zwykle trzeźwy i nad kieliszek wódki przed obiadem i wieczerzą nie pijąc, a to zawsze do kogoś choćby do starego Marcina swego rowieśnika i sługi, z gościem się rad podchmielił.

—Nie darmo Bóg dał napój, mówił, skromnie go użyć nie zawadzi. Jest w tém wielka tajemnica i dzieciom dają stary miód, żeby im odra wyrzuciła na wierzch, a nam starym, żeby się prawdy domacać. *In vino veritas!* Człowiek dopiero ze skorupy wyłazi, gdy się podchmieli, i taki po chmielu czegoś lepszy, a raźniejszy, nie tyle rachuje, więcej się wywnętrza!

Głowę miał tęgą i spoić go nie było łatwo, nie odmawiał kielicha jakiegokolwiek miary, powtórzył ile było potrzeba, kurzyło się z czu-pryny, ale w głowie było jasno i język w pętach nie chodził. A jak potem nie pił, to już nic.

W ostatnich latach życia, dostało mi się go widzieć i wielkie na mnie uczynił wrażenie, wiedziałem jaką na sobie dźwigał boleść i zdumiałem się chrześcijańskiej sile; która mu do podłożenia temu brzemieniu starczyła. Na tle tęsknoty, którą za barwę starości właściwą

wziąć było można, człowiek ten okazywał się stale zrezygnowanym, spokojnym, pogodnym, nigdy nie jęknął, choć nigdy nie zapomniał boleści. Wszystkie pamiątki po żonie i dzieciach stały przy nim zachowane święcie; codzien wiedział pokój nieboszczki i spoglądał na kołyski dziecinne, jakby nie rychłe połączenie z niem chciał choć wspomnieniem osłodzić; mówił o nich jakby żyli i w życie z nimi przyszłe głęboko wierzył, miał i inne przyczyny smutku i cierpienia, ale wszystko wiarą zwyciężał. Czoło jego wypogodzone, wysokie, jasne, zdawało się murem zamku, którego żadna kula nieprzyjacielska niepotrafiła—wiek je porała tylko, rozpacz nie porysowała.

Jak mu się tam świat nasz z téj wysokości, na której stanął, wydawać musiał śmiesznie i dziwnie! Z litości uśmiechem poglądał nań w milczeniu, czasem w poufalszém towarzystwie wyrwało się słowo jak woda, co groblę przerywa, ale mu zaraz kładł tamę.— Do czego to! do czego! powtarzał kiwając głową.

Stopniowo oswajając się z nami i z tém wszyst-

kiem co tak nagle stan społeczności zmieniło, w końcu już się niczemu nie dziwował.

—Szukam, mospanie, historii wieku, ma-
wiał, coby waszemu odpowiadał, bobym sobie
zaraz i konsekwencją wynalazł, ale to wiek i
epoka bezprzykładna. Ha! Wié Bóg co robi, i
dobrze robi mosanie, pędzając was przez różgi!

Była to jakby z grobu powstała postać pa-
trząca na świat nie przetartém okiem mogiły;
nie mieszająca się do nowego życia, z litością
śledząca jego ruchy.

—W tém jedném Waszmość jesteście szczę-
śliwi, mówił mi raz, że doskonałą macie o so-
bie opinią— to połowa szczęścia, a raczój całe
szczęście! Wiek ten zowie się u waszmościów
wiekiem postępu, chyba dla tego, że nieustan-
nie o nim mówicie, bo co się tycze rzeczy.. ba!
ba! widzieć i ja postęp w szyciu butów, w pie-
czeniu chleba, w kręceniu sznurków i tysiącu
błazeństw, bez którychby się ludzkość doskona-
le obejść mogła jak się wieki obchodziła, ale
w duszy, obyczajach, żywocie społecznym nie
widzę postępu. Dumąście tylko przesiękli, od

pędraka, który koszulę w zębach nosi do młokosa, co się golić poczyną nim brody dostał, wszystko to mościpanie stare, a zarozumiałe, gdy jeszczeby różga nie zawadziła. A do roboty zaprzędz tych rozprawiaczy rączki bołą, główki co przywykły cudze nicować nie obmyślą swego— i w końcu— zero! kończy się gadaniną! Co się z tego wywiąże chyba Bóg wie, jabym powiedział Chaos! W dodatku cała przeszłość wam śmierdzi, bo jej nie rozumiecie wcale, wszystko co było dla was było źle, szlachciec zawadżają był i adulatorem panów, panowie przedajni i zdrajcy. Wyjątki u was stoją za całość— prawo było niesprawiedliwe, życie głupie, nałogi barbarzyńskie, a spytajno, jak to było, nikt ci się nie wypowiada, żeby znał wiek, o którym sądzi. Dekreta wasze właśnie dla tego nie sprawiedliwe, że przeszłość dla waściów, to xięga siedmią pieczęci zamknięta. Jak wszystko co skończone, przeżyte, z czém się zerwał stosunek żywy, została litera martwa przeszłości tylko, którą jak owe Herkulańskie antiquitates dobywać musicie okruszynami z popiołów. W xiaż-

kach, w których dla was wszystkich został tylko skelet, ale ciała, krwi i żywota tego, co nim poruszał, nie ma panenku! nie ma! W niebie to! w niebie!

—Musiało być tak, dodał wzdychając, samiśmy poczęli burzyć, a teraz jak dzieci siedzim płacząc nad rozbitą zabawką! Zabiliśmy kurkę co złote niosła jaja.. Chwała Bogu, że nie dożyję dalej, bo mi obmierzł ten świat wasz.. albo te wasze kobiety kobietami, albo dzieci wasze dziećmi? albo mężczyźni mężami? Kobięta w szarawarach, z cygarem, pędzi konno z chartami za zającem i faworytem, dzieciak daje swe zdanie nim się mówić nauczył, w dwudziestym roku publikują dzieła! Cha! cha! a mężowie wasi brzuchy wyładowawszy kurzą te holenderskie cygara głupie co im oczy wysmalają, myśląc tylko z kąd wziąć grosza dla żołądka i żołądka, żeby grosza użyć. Co być może z takiego społeczeństwa?

Mówicie, źle się dawniej działo, a spójrzycież no po sobie; w tej społeczności, gdzie wy

postrzegacie elementa żywotne i życiodawcze, ja widzę zwierząt kupę.. o człowieka trudno.

—Ale panie Chorąży, czarno bo się z Zabierza świat wydaje, trochę żółci w tym obrazie, a tożby już światu przepaść!

—O! przy łasce Bożej nie przepadnie, nie! Bóg ma cuda w prawicy z piorunami razem, rzuci cudem jak piorunem i to go kosztować nie będzie, ale gdyby świat tak szedł drogą, którą spaceruje, do czegożby to doszło? hę? Znasz Waść historją Rzymu, czytałeś Tacyta? Czytałeś żywoty ostatnich Cesarzów i téj społeczności, co tak zbytkowała i hulała jak wasza? A co to było? przeczucie upadku, początek zgnilizny, fermentacja! I tam także gadali o postępie, myśleli o nim, a potępiali chwalców *temporis acti* i na Romulowe czasy patrzali z góry, to mospaneńku za Romulusów mureny nie karmiono ludźmi, a ludzi murenami, ssał człowiek piersi dzikięj wilczycy!!

—A więc cóż panie Chorąży, zdaniem pańskim, czeka Europę!

—Ba! co czekało Azją, gdy się wyżyła. Spójrz

asindziej w tamtą stronę, jak to tam cicho i pusto. Mają żywot i śmierć narody, kraje i całe policzki kuli ziemskiej!..

—Ej! za czarno! za czarno, panie Choraży dobrodzieju!

—Co? za czarno? Chcesz bym ci prawdę ubierał jak nierządnicę, gdy ją na umizgi wiodą! o! nie! Chuda! czarna, straszna, oto oblu-bienica wasza! samiście ją sobie rękoma dia-dów lepić poczęli, a wnuki wam jej dokończą.

Bywało jak się stary rozgada potokiem mu płyną wyrazy, a gorzkie, a dziwne, pocznie wspominać przeszłość, i łzy mu płyną potokiem, a słowa ustają.

—Chcesz waść wiedzieć, com ja widział, co przeżyłem, a zrozumieszże! Tać to wieki temu, dwieście zda się, trzysta lat! ledwie wierzę, że kilka dziesiątków mogły tak świat prze-cudaczyć! Cudo! cudo bicia Bożego! Ja to już żyłem w latach upadku, ale jeszcze chwyciłem tchu z żywej epoki. Jak zmęczona burzą woda, po zacisznych kątach zachowuje się przejrzystą, dopóki powolny brud wszędzie jej nie zapłynie,

tak i u nas długo były czyściejsze zatoki.— Były, były! jam z nich pił jeszcze!

Ale co to wam gadać, czy to wy zrozumiecie—nierządem, mówicie, stało wszystko, ot co z pisanego wywnioskowali i tną jak siekierą, u was tyle wszystkiego co pisane!! Jakże to potem wytłumaczyć, że pisane kłamstwo to co extraordinaryjnego było to notowano tylko, a zwykłego powszedniego życia nikt zapisywać nie myślał.

I stary ruszał ramionami pogardliwie.

Śmierć jego nie podobna była do zgonu zwyczajnych ludzi, miał jej przecucie, które Bóg daje tylko wybranym. Zdrowiusieńko na pozór, chodząc, rozmawiając, rozporządzając wszystkim, począł gotować się do wielkiej podróży—posłano po xiędza, odbył spowiedź, kazał dobyć światło z alkierza, suknie swoje pogrzebowe, trumnę zdjąć ze strychu, a tymczasem z Puciatyńskiego, który na to spoglądał z przestraszchem zabobonnym, żartował łagodnie.

—Zobaczysz mówił, przyjdę do waści do marjasza w żółtych butach o północku!

Z wieczora położył się po modlitwach, zdrów, spokojny, i na pozór silny, nikt nie wierzył, żeby mógł umrzeć— nazajutrz— rano znaleziono go uśpionego w łóżku z uśmiechem na ustach i krzyżykiem w dłoni. A gdy przyszło smutnym zając się obchodem i wszystkiem co śmierć ciągnie za sobą, znaleziono w każdym kątku taki porządek, tak każdą rzecz obmyślaną i uregulowaną, że po nie pościć nie było potrzeba, świeczka nawet do zabicia trumny nie brakło.

Stary kazał się pochować ze starą demeszka ojcowską, z którą służył w ostatniej konfederacji, z mosiężnym krzyżykiem, który miał po matce i chustkę szytą ręką nieboszczki żony, którą mu jejmość darowała po zaręczynach. Kilka także pamiątek po dzieciach i przyjaciółach zabrał z sobą do mogiły.

Dwie pary czarnych wołów wiozły go na smętarz na prostym chłopskim wozie, a suchy grób już go tam czekał od dawna i skromny kamień, na którym tylko daty brakowało.

Zdawało się starcowi, że tę datę ręka krewnych dołoży, tak maluczka to rzecz! Jest te-

mu lat dziesięć jak umarł, a Adolf ni nikt z krewnych nie zebrał się jeszcze na mogile kazać dopisać datę zgonu. Widziałem kamień już spłowiały i omszony, a jeszcze bez daty!

Dobrze zrobił stary, że choć taki sobie za żywota obmyślił, nie miałby go być po śmierci, gdyby się spuścił na pamięć naszą, tyle mamy roboty około naszego próżnowania!!



III.

Nadworny Poeta.



ZYJEMY w wieku postępu— wołają wszyscy do koła, i musimy nareście w postęp ten uwierzyć, kiedy o nim tyle wam mówią i tak go głoszą uparcie; ale niestety! wpatrzywszy się w twarz Bożego świata, zajrząwszy do głębi tych postaci, co się postępu przedstawicielami mienia— stęknąć musimy nad sobą. W su- kience jest postęp cały, niema go w istocie rzeczy. Zmienił się krój, obyczaj, fiziognomja, treść pozostała ta sama co wprzód. Ot weź- my na przykład poëtę, pojęcie dostojności poëty w istocie postąpiło bardzo, a cóż na to powie- cie, że i w XIX wieku jeszcze natrafiam na nadwornych poetów, o których sądziłem, że z mastodontami spać poszli.

Tam dawniej za starych czasów gorszych czy lepszych rozbiierać na ten raz nie będę, przyjęta to rzecz była— ubóstwo, zależność, dworzeczyna poeta. Począwszy od Krzyckich i Janickich do Naruszewiczów i Trembeckich, cała czereda śpiewaków w złotej klatce wywodziła trele za trochę siemienia i kropelkę wody. Żaden z nich niemal nie odważył się być sobie sam panem i dobrodziejem, i śpiewać jak prototyp poety Kochanowski *gwoi sobie i przyjaciółom*; wycierali wszyscy kąty pańskie, jedni o łyżkę strawy, drudzy o dożywocie, dzierżawkę, o łaskawy chleb się dopraszając, a najlichsi o kątek u stołu i kubek miodu. Applaudowali za to rykami łaciną przeplatane solennym *ingressom*, *wjazdom*, *swadźbom*, *narodzinom*, *po-grzebom*, a niekiedy i solennym głupstwom pańskim, co im extraordinaryjne jeszcze muni-ficencji sprowadzało dowody. I tak niemal wszystka poetów gromada od Zygmunto-wskich do Stanisławowskich czasów na cudzym jadąc wozku dojechała do wielkiej zmiany wyobrażeń.

Za Stanisława Augusta mało kto już był

w stanie prócz pana Szczęsnego mieć na swym koszczie poetę, bo naówczas śpiewać poczęli kawalerowie świętego Stanisława i Szambellani JKMości. Wszakże skromniejsza drużyna poetów jeszcze na prowincij trybem dawnym żyła. Najczęściej czepiał się z żyłką do rymu próżniaczyna u pańskiego dworu poświęcając *magno nomini et numini* płody swęj domorostęj muzy; a niekiedy tylko bliższym udzielając się sąsiadóm. Za Stanisława Augusta chudy poeta przerobił się na chudego literata— i owi nadworni śpiewacy wzięli na się nazwanie literatów; ale rzecz pozostała jak była. Śpiewali zawsze z okoliczności dla okoliczności, czasem ze złości trochę, za co ich bez ceremonij kijmi okładano i pod cudzym dachem, z czerwonemi nosami kończyli dni swe, zostawując tylko na dziesięć mil w koło tradycją o wenie poetyckięj, której dowody w rękopiśmie pozostawały na zawsze.

Stary ów ostatnich saskich i stanisławowskich czasów nadworny poeta wyrastał zwykle z nasienia próżniaka— nie chciało się nic robić,

a było trochę sprytu, gotowy chleb dawała lada poezyjka.

Nie był już lada rezydentem na łasce poeta, bo się wypłacał nieśmiertelnością jaką obiecywał,— łącno też naówczas wierzono w rozum i naukę byle kto miał zręczności trochę i łaciny, więc się ocierało o statystów przybliżało do panów, chwyciło od jednych dawało drugim.

A że długo były w modzie panegyryki i prozą i wierszem tkane, że często mowy prawić było trzeba takim, co ich sobie skońcypować nie mogąc kimś się posłużyć musieli, wzywano nadwornego poety i przydał się *in extremis*.

Nie wiele wprawdzie wzbudzała szacunku tego rodzaju figura, do zbytku pokorna, choć po cichu kęsająca, unizona, pozwalająca żartów z siebie i tradycyjalnie zawsze nie nasyciona, spragniona nie Kastylskiego źródła, ale bodaj piwa czy miodu. Pomiatano nią, stawiono w kątku, i płacono za figle jak kuglarzowi. Jeszcze to z nas nie starych nie jeden pamięta ciągnącego się o kiju opijusa poetę z gotową improwizacją na stołek, krzesło, na pieska, na bro-

dawkę, na kieliszek wódki i każde słowo i ruch, zaczynającego dzień pochlebstwy, a kończącego chrapaniem pod ławą. Szurłowski i Krysztalewicz ostatniemi byli potomkami téj generacji, która się na nich szczęśliwie skończyć raczyła.

Ale cóż? zmieniała się tylko suknia, rodzaj nie przepadł.

Magnus naprzykład patrzajcie, urodził się przy pańskim pałacu i życie swe winien rodzicom, co się jeszcze Xięciu Jegomości kłaniali zarządzając jego dobrami; ale on już zaraz w szkołach uczuł się czémś lepszym od ojca i matki i postanowił sobie nie kłaniać się nikomu. Miał zręczność, bo Xiąże był popularny, przypatrzyć się we dworze pańskim minom i obyczajom i szczęśliwie je przejął. Podobało mu się też i to życie bezczynne od ranka do nocy, a raczej od nocy do ranka poświęcone zabawie. Kończył więc szkoły na prędcie, ukradkiem już ubierając się w excentryczne kurteczki i szerokie szarawary jakie widywał u Xięcia Jegomości. Pracować nie chciało mu się, polubił czytanie i uczuwszy się poetą, postanowił nim zo-

stać na całe życie. Nie wiem zkad dowiedział się praw poety, bo otóż ich jeszcze żaden prawodawca w kodeks nie spisał, chodzą już one tradycyjnie po świecie. Owoż jakie są prawa poety:

Życie jego marzeniem i myślą, wolno mu więc całkowicie nic nie robić, praktyki żywota pospolitego nie rozumieć, a że silne nim miotają uczucia, wolno mu także tysiąc głupstw za ich pasportem popełniać. Wolno mu jeszcze być niegrzecznym, dumnym, opryskliwym, zarozumiałym, wszystko to pójść może na karb poezij.

Przywileje jak widziemy wielkie, okrom nich ma jeszcze prawo poeta wymagać naprzód oklasków, czci, sympatij, uszanowania ogółu choćby nawet żadnem dziełem nie zasłużył na nie; bo a nuż je nosi w swém łonie?

Magnus bardzo zawczasu przejął się prawami swemi, nie przypuszczając by na wzajem względem społeczeństwa, był za nie do czegoś obowiązany. Szóstą klasę skończywszy napisał wiersz do gwiazdy, inny do blasku księżycowego, w ostatku satyrę na panów, i został okrzy-

knięty poeta. Tam xiąże słuchając jego wybryku przeciw arystokracji uczuł się obowiązany ścisnąć go za rękę.— Magnus wszedł ze swemi laty dwudziestu na pokoje i w towarzystwo Xiążęce.

Był to naówczas ładny, co się zowie chłopak, któremu duma i dumanie przypadały do twarzy, blondyn z niebieskimi oczyma melancholijnemi, które często słupem stawały, z włossem niedbale na tył głowy zarzuconym, i chmurami pokrytém czołem. Liznąwszy trochę francuzczyzny i przesyciwszy się zawczasu francuzką literaturą, napojony salonowemi maxymami łatwój i pobłażliwój moralności; z powodu wysokich swych stosunków z góry na resztę świata poglądając, stał się najekliwszą i najnieznamiętniejszą w świecie postacią.

Z rana przychodził do pałacu, w pokoju Xięcia wśród gości rozwalał się na kanapie i dumał z cygarem w ustach. Niekiedy z milczenia długiego wyrywał się jak ze snu, potrząsał lwią swą grzywą i odzywał się wyroczni sty-

lem kilką wyrazami, którym regularnie sypano oklaski. Słowa jego były melodramatyczne jak postać, najczęściej rzucał świszczący paradox, który jak kula po nad uszami słuchaczy zaświstał, wzbudzał niekiedy wrzawę, sprzeczkę, hałas i zawsze wielką opinią robił Magnusowi poety-filozofa. Niestety! te słowa nie rodziły się nigdy w jego duszy, były to kwiatki zerwane na polu literatury francuzkiej, i zasuszone, trzymane na wypadek potrzeby. Ale nikt się na pożyczanych piórach nie poznał, a jeśli wypadkiem trafiano na podobieństwo myśli z jakim znanym autorem, tém goręcej poklaskiwano spotkaniu się dwóch genjuszów. Xięztwo wszyscy wysokie o Magnusie mieli wyobrażenie, a on tak zręcznie umiał je ustalić, że w końcu nie przedstawiano go inaczej tylko za przyszłą kolumnę literatury.

Magnus tymczasem siedział w pałacu i nic nie robił, u siebie spał lub czytał francuzkie książki, czynny brał udział w rozrywkach i zabawach państwa, i zarystokracał do tego stopnia, że ledwie raczył spoglądać na mrówisko

slacheckie, które się gdzieś w głębinach na padole uwijało zdaleka.

Jakże w wielkość jego nie mieli uwierzyć rodzice, kiedy wierzyli Xięstwo i całe ich towarzystwo? Jakże on sam nie miał wreszcie uwierzyć w siebie słysząc za każdym wyrazem pochlebny szmer obijający się słodkimi pochwałami o uszy swoje.

Tymczasem uwielbienie to nie miało za zasadę nic więcej prócz uprzedzenia, przesądu zastarzałego, że rozum i genjusz siedzą w francuzczyźnie. Łatwość z jaką się salonowego i lekkiej literatury języka wyuczył Magnus, była powodem zawyrokovania o jego genjuszu; gdy okrzyczany za poetę był najpospolitszym w świecie próżniakiem, w którego głowie próżnej nie powstała nigdy myśl własna, myśl żywa i w niej wylęła. Latały tam cudze, które zuchwale przedawał za swoje, a nadzwyczajna zarozumiałość poety, starczyła mu za talent.

Patrzcież jak się to przebrał stary rezydent poeta nadworny!! Ów nasz dawniejszy chodził w szaraczkowej kapocie i dosyć podejrzanych

butach, kłaniał się do kolan, pił do upadłego, a spał i próżnował w chwilach wolnych od obowiązków. Nowy nie mając innéj roli wśród xiążęcego dworu postawił się w sposób postępowy na cale innéj stopie, przy zupełnie jednakich obowiązkach. Postawa butna, nos do góry, wargą oddętą, kieszenie w szarawarach, zastąpiły uniżoność, bo tak kazały demokratyczne wieku zasady. Tamten siadał na rożku krzeselka w kącie pokoju, ten się rozwala szeroko na środku kanapy; tamten mówił Wasza Xiążęca Mość! ten mówi mój Xiąże, pił stary, pije i młody, pali xiążęce cygara, wala kobierce, a jak tamten próżnuje i na swój sposób pochlebiać umie. Wié on, że w czasach terażniejszych uniżone potakiwanie licha warte, woli więc paradoxować zręcznie, prawić nawet impertynencje, czyni się oryginalnym cynikiem, byle dał o sobie pojęcie wysokiego geniuszu. Oba zarówno wesołego trzęzkiego towarzystwa są duszą i usty, umiejac tamten conceptem ten deklamacją usposobieniu dogodzić.

Wiek zmienił tylko barwę téj postaci, oba

są z jednego drzewa. Jak ów rezydent próżniak Magnus nic nie umie i nie daleko myślą sięga, trzyma się też w kółku, w śród którego królować może.

Rodzice szanując w nim zawarty ogień święty, kłaniają mu się nie śmiejąc nastawać, żeby nareście rozpoczął jakieś życie i wziął się do czego; Xięztwo czasem go namawiają, aby się dał poznać na obszerniejszój scenie, ale Magnus rusza ramiony, potrząsa lwią grzywą, wzdyma swą austriacką wargę i woła.

—Nie! nie! poecie wsi i swobody potrzeba, rąk nie związanych niczém!

I chodzi do pałacu na obiady, wieczerze, na zabawy, na baliki, na karty i pogadankę a w domu śpi i marzy. W tém błogiém *far niente* wybija rok dwudziesty szósty, siódmy, ósmy. W tym czasie Magnus rozpoczął trzy romanse z angielską guwernantką, z młodą księżną, z sąsiadką rozromansowaną książkami, i wszystkie trzy porzucić musiał.

Angielka chciała żeby się żenił, młoda Księżna brała go tylko za zabawkę w chwilach odpoczynku, gdy innych adoratorów nie było, sąsiad-

ka szepnęła mu o rozwodzie, a nie miała posagu! — Tymczasem około lat trzydziestu młodość, świeżość, wdzięk chwilowy starły się z lica życiem próżniaczem i rozpustą — Magnus głębiej coraz namyślać się począł.

Niekiedy jeszcze wyrzucał z siebie wierszyk jaki, ale to nie wystarczało na podtrzymanie nadziei jakie o nim miano. Wielki poemat jego ciągle jeszcze siedział w głowie i wyniść z niej nie chciał. Jacy to próżniacy z tych ludzi genialnych mówiono do koła! Co to za szkoda tak potężnego talentu!!

On słyszał to niekiedy, wzruszał ramionami, zapalał cygaro i pogrążał się w poetycznej zadumie, lub występował z oklepanym wykrzykiem na ludzi co genjusz poezji i człowieka — posłańca zrozumieć nie mogą. Wykrzyk ten wystarczał na jakie pół roku, a Magnus w gnuśnym znowu zasypiał spoczynku!

Dla Xięztwa było rzeczą zupełnie obojętną, jaką sobie przyszłość gotuje niczém się nie zajmując, ale dla rodziców jakkolwiek w niego wierzyli smutno było spojrzeć na starzejącego się

syna bez żadnej rękojmi kawałka chleba w starości. Zdaleka, ostróżnie napomykali czasem, że należałoby coś o sobie pomyśleć, ale syn w takim razie odpowiadał z taką dumą, zarozumiałością i wyższością, że biedni rodzice nie wiele go zrozumiałwszy uciekali bojąc się w gniew syna wprowadzić.

Życie to Magnusa ciągnęło się na xiążęcym dworze lat kilkanaście, zwiędł, wyłysiał, zbladł, znikczemniał i pogłupiał w ostatku, ale zawsze jeszcze za poetę uchodził. Czasami dawne swe poezje, których się dobrze deklamować nauczył, w głos przeczytał; a bieda przybyszowi, co im nie umiał poklasnać — nowych już nie tworzył, świat wszakże xiążęcy poczawszy od gardero-by, która nań patrzała z admiracją, mówił zawsze o wielkim poemacie, nad którym pracuje.

Są ludzie co przez lenistwo może nigdy sobie sprawy z życia swojego nie zdają; takim był właśnie Magnus, i gdy myśl natrętna przyszła kołacząc zapytaniem o przyszłość, odpędział ją rozrywką, śmiechem, grą, roztargnieniem. W ostatku, gdy młodość tak przeduma-

na swobodnie zdaleka żegnając go ukazywać się zaczynała i odchodziła już żywszym cořaz krokiem: Magnus spytał się siebie jednego poranka.

—Co to będzie? Nie było odpowiedzi na spóźnione pytanie. Ani głowa ani ręce nie były do pracy; woli i siły mu brakło. Ubrał się i poszedł do pałacu wydeptaną ścieżką. Pierwszą postacią, którą postrzegł na progu była panna Walerja. Lecz powiedzmy słówko o niej. Stary Xiąże miał w niej najwierniejszą oddawna przyjaciółkę, a Xiężna podzielała w dobrej wierze uczucia swego męża; świat wprowadzie różnie sobie tę przyjaźń tłómaczył, ale bardzo po cichu. W salonie ta dawna piękność grała po xiężnej pani, czasem przy niej pierwszą rolę. Pomimo bardzo niegdyś pięknej twarzyczki, mimo stu tysięcy posagu i nadziei protekcji Xięcia, który co najmniej, dałby był dobry folwark dzierżawą za bezcen, nikt przecież nie posunął się o białą jej rączkę. Panna Walerja postarzała tak sobie mszcząc się na ludziach, co się na niej poznać nie umieli, dowcipem i ostremi sądy. Tymczasem wdzięki powoli gasły, wiedły i przy naj-

większym wysiłku o zachowanie ich, nie było sposobu dłużej być młodą i piękną. Pannę Walerję napadła wówczas gorąca żądza pójścia za mąż. Jedna ona z całego dworu Xięcia nie wierzyła w geniusz Magnusa, a on jęj nawzajem cierpieć nie mógł; przecież gdy ją spotkał spytał się siebie.

—Czemuby się z nią nie ożenić?

I dziwnym trafem panna Walerja także zawołała w duchu.— Pójdę za niego, zrobię z nim co zechcę.

Nikt lepiej nad Magnusa nie znał dziejów panny Walerij i stosunków jęj z Xięciem, przecież co powiecie na to, w parę miesięcy została żoną poety.

Xiążę dał folwark dożywociem, xiężtwo sprawili wesele, państwo nie młodzi wyjechali na wieś, ale w tydzień potém jedno za drugim zatuskniwszy po xiążęcym dworze powrócili do pierwszego trybu życia.

I pani Magnusowa gospodarzyła w salonach, a mąż wyciągnięty na kanapie palił cygaro. Taki był koniec nadwornego poety; który w ten

sposób zabezpieczywszy sobie los odpoczął, i już ani o przyszłości, ani o poemacie nie pomyślał więcej. Z młodzieńczych popędów pozostała mu tylko reputacja poety i kilkanaście urywków napisanych jeszcze na szkolnej ławie.

Nie miałem słuszności mówić, że *mutatis mutandis*, w skórze tego człowieka, siedział znany nam pasorzyt, co deklamował wojewodom i kasztelanom wierszyki za kielich wina lub starą kontusinę.

Przetrzeszając społeczność naszą, możebyśmy w niej odkryli nie jeden typ dawny, przebrany we fraczek, z ogolonemi wąsami, ale żywo z przeszłości wzięty.

Mamy już charaktery i typy naszemu tylko wiekowi właściwe i z niego wyrosłe, ale jak w naturze, gdy jeden rodzaj tworów skutkiem zmiany klimatu znika, a drugi nastaje, nie dzieje się to nagle, tak i tu długo jeszcze śledzić będzie można dawnych nasion wyrostki wśród pokolenia nowego.

Może najciekawszą z tych pozostałości był poeta tego rodzaju jak Magnus, bo nie tak zu-

pełnej nie uległo zmianie, jak świat, którego on królem. Świeżo wyemancypowany, dorobkowiec jeszcze, poeta, który od czasów Homera żył o żebranie, nie dawno wdział purpurę i wieniec. Tém też wyżej głowę nosi, nosa zadziera i dmie się; tém osobliwszą pozostałością jest poeta jak Magnus dobrowolnie z poezij tytułem, poświęcający się na dworowanie.— Wprawdzie poeta to tylko imieniem, ale takich i dawniej secinami bywało i do końca świata będzie ich krocie.— Stworzenia i to potrzebne, bo ich czepianie się szaty poezij, jest hołdem oddanym światu ducha, światu pieśni.

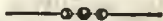
O! jak pełną różnorości moglibyśmy tu nakreślić galleryą poetów samozwańców, począwszy od tych co zawsze się zbiierają śpiewać, a nie nigdy wykrztusić nie mogą, aż do tych co echem wtórują każdemu genjuszowi krzycząc nad miarę, by wrzask ich myśl zastąpił. Jedni chwytają cudze formy, drudzy postacie cudze, inni słowa, inni myśli.— Z tém skradzioném ziarnkiem śpieszą do nory, by je przerobić na swoje. I nie są to już plagjatorowie jak dawniej nie-

zręczni, których pochwycićby można na gorącej kradzieży, naśladownictwo jak wszystko doszło do tak wysokiego stopnia wykształcenia, że na niém choć poznać się łatwo, dowieść go prawie nie podobna.

Znam takich co jednej swój myśli nie mając żywią się co chwila u drugich, ale tak zręcznie, tak umiając urozmaicać kradzieże, że ich gospodarna zbiieranina staje się rodzajem sztuki.

W owych czasach, kiedy to jeszcze panowali Zoile, a kradli ci tylko, co ukradzionego schować nie umieli, bajka o sojce w pawich piórach, była doskonałym ich obrazem; dziś sojka nie tak głupia, żeby z pawia jednego brać miała, pożyczczy od dziesięciu i pożyczzone od ogona potrafi przypiąć na głowie.

Ale to na czém dzisiejszy świat poznać się nie umie, nie śmie, czy nie chce, przyszłość doskonalsza od nas, namaca łatwo i nazwie po imieniu:— Poeci żyjący nie swoim pójdą gdzie poszli ich poprzednicy— do bibliograficznych osobliwości— wieczny im pokój w tych katakumbach.



IV.

Reformer.

Po osiemnastym wieku otrzymaliśmy w spadku, wiarę w utopje i popęd ku radykalnym reformom, nie tylko stan społeczności, umysłów, religijny, naukowy, ale nawet samą naturę ludzką zmienić mającym.— Marzemy chętnie odbudowując na nowych posadach familją, chcąc stworzyć rozum nowy, władze jakich Bóg nie dał, wiarę wygodniejszą, naukę, więcej wyczerpującą i nowego całkiem człowieka. Byłoby to wielce śmieszném, gdyby nie groziło smutnemi następstwami. Poprzednicy i ojcowie reformatorów naszych, w osiemnastym wieku, kontentowali się jeszcze naśladowaniem Grecji i Rzymu, nad których stan przez się pojęty w sposób właściwy, nic nie mogli wymyśleć lepszego— dziewiętna-

stego wieku utopiści tém się od swych proto-
plastów różnią, że rzuciwszy w kął Rzym, Gre-
cją i błogi stan natury, najwyższy ideał przed
chwilą— puścili się śmielej tworząc sobie zupeł-
nie nowe światy. Zapomnienie się ich doszło
do tego stopnia, że nie zważając na warunki
zakreślone naturą ludzką, z której jak ze skóry
wyleść nie podobna, wzięli za podstawę swych
Reform, nie tego człowieka, jakiego Bóg stwo-
rzył w Adamie, ale jakąś abstrakcją niebywałą.

Rozpatrując się w szalach (pocziwych zresz-
tą intencją) naszego wieku, i śmiech i litość
bierze. Następcy nasi będą mieli co robić! usi-
łując pojąć i wytłumaczyć ten moment XIX w.,
którego cechą były Ikarowskie podloty ku słoń-
com Utopji.

Nie myślím wcale przeczyć postępowi ludz-
kości— prawo to nadto jest jawne i jasne by go
można nie uznać za prawo; ależ postęp ten jest
powolnym chodem stopniowym ku doskonałości,
a nie wybrykami i skokami. Ludzkość nigdy
z drogi swój nie wychodzi gwałtownie, chyba ku
upadkowi i zniszczeniu, bo naturą i prawidłem

wzrostu i postępu jest stopniowanie i powolność. Upadek tylko, śmierć i zniszczenie szybkie być mogą. W naszym kraju, gdzie się zdawna odbija wszystko na co zachód choruje, i co mu nadaje nowe życie, ten popęd ku utopji i reformie radykalnej równie się żywo objawił jak gdzieindziej, szczęściem, że paplaniną tylko i bazgraliną po troszę, a nie czynami. Mamy z téj epoki podobno już zgasłej, pomniki literackie za prawdę ciekawe, i szczątki apostołów jeszcze chodzące po świecie. Jeden właśnie z tych oryginalnych typów skreślić tu myślemy.

Jan Klemens Burzymir Taszewski pochodził ze starej rodziny slacheckiej, która u heraldyków nawet najstarszych dość uczciwe już zajmowała miejsce. Z powodu stałego osiedlenia od lat wielu na Wołyniu, wedle téj odwiecznej prawdy, że i kamień na miejscu leżący porasta, Taszewscy zyskali pewne znaczenie pomnające się z pokolenia w pokolenie, piastowali urzęda wyższe w swém Województwie i weszli w koło tych rodzin, którym tylko brak jeszcze fortuny, by do arystokracji prowincjonalnej za-

liczone zostały. Jan Klemens syn Podkomorze-
go adherenta Stanisława Augusta, Kawalera Ś.
Stanisława i swojego czasu wielkiego intrygan-
ta Sejmikowicza, z trzeciój jego żony, z którą
się był ożenił mając już lat siedémdziesiąt kil-
ka, wychowany przez obcych i w pośród nich po-
tém żyjąc, żywego umysłu, ale nie głębokiego
pojęcia, przyszedł na świat z wiekiem naszym
i z nim razem się kształcił.

Wszystko co przezeń przeszło zostawiło na
nim ślady, jak wody, co przepływając dno rze-
ki, muł w niem osadzają.

Powstała więc z osadów tych ciekawa mię-
szanina nie osobliwszych ingrediencji, bo Jan
Klemens nie to chwycił, co lepsze, ale co ła-
twiej wziąć się dało. Najdziwniejszém jednak
w nim było to, że zachwyciwszy coś z wiary
w reformy, utopje i stan natury XVIII w., na-
czytawszy się wszystkiego cokolwiek było na-
pisano w tym przedmiocie i zmieszawszy to ra-
zem na swój osobisty użytek, nie potrafił nigdy
radykałnie zreformować sam siebie, i usty bę-

dąc za nowościami, życiem był za zwykłym, pospolitym rzeczy porządkiem.

Czynnie nie wziął się nigdy do najlżejszego postępu, choć gardłował i apostołował za nim dla drugich. W ten sposób *curriculum vitae* Burzymira wystawiało taką sprzeczność z zasadami wyznawanemi przez niego, że jój jemu tylko chyba nie widzieć było wolno. W słowie był to radykalista najgwałtowniejszy, w postępowaniu uparty i zatęchły konserwator. Bawił się całe życie utopjami jak drudzy polowaniem, mówił o nich głośno, szeroko i hałaśliwie, popychał drugich, a sam pozostawał w tyle nie widząc tego do siebie. Wszystkie wiary ojców aż do najdrobniejszych przesądów nawet przyległy do niego i z nim żyły, a doktryna wcale do kuraacji własnej nie służyła. Był on jak doktor, co leczy pigułkami pacjentów, a siebie winem i pieczenią. Po cichu cenił bardzo swoje stare slachectwo i oburzał się na prawdę, gdy kto nowszy i nie karmazyn myślał się z nim poufale bratać— ale pomimo to byle zręczność ogromnie na przesady slachectwa powstawał, wszelkiemi

argumentami, jakie tylko chodzą po świecie wojując przeciw niemu. Mówił wiele o potrzebie nowego stosunku z włościanami, a obchodził się z nimi, nie bardzo o nich myśląc, lub traktując jak zwierzęta. Wszystko u niego było w tym sposobie.— Manja reform oblała go po wierzchu, nie doszedłszy wcale do głębi.

Życie było ciągłą protestacją przeciwko słowom, słowa zbijały życie. Jakim sposobem nie postrzegł się nigdy popychając drugich, że sam stał na miejscu, tajemnicą było nie zbadaną, jednem z tych zjawisk moralnych, które naturę ludzką niepojętą czynią.

Już za młodu hołdował on wszystkiemu, co sobie na krwawą zabawkę wynalazł wiek XVIII, przejście od marzeń tych do nowych łatwe było i naturalne, posłuchał ostatnich najzawołanych mistrzów mniemanego postępu i został najniższym ich sługą. Ale życie było dla niego zdaje się rzeczą zupełnie od myślenia odrębną. Począł je ożenieniem najstosowniejszém w świecie i jak najrozważniejszém, zupełnie na zimno, nie pokochawszy się wcale i nie kryjąc, że bardzo

mu o posag chodziło, nie mniej o kolligację, choć na małżeństwo dla pieniędzy i towarzyskich stosunków układane, niesłuchanie powstawał. Mówiono nawet, że dla swęj przyszłej małżonki porzucił ubogą, wielkiej piękności i wielkich przymiotów panienkę, któraby jedną miała wadę, że mu nic oprócz szczerego przywiązania, serca i wdzięku wniesć nie mogła, a w dodatku nie była wysoce urodzoną, bo przyszła na świat w dworuku slachcica pod słomianą strzechą.

Później, chociaż krzyczał i gardłował niezmienne zawsze przeciwko bałwochwalcom złotego cielca, począł z całych sił zbierać majątek i jak głoszono, nie zawsze ściśle dozwolonych pilnując środków nabycia. Nie jeden tam grosz przylgnął, który uczciwie i sumiennie komu innemu należał, nie jedna łza przyschła na starannie schowanym kruszcu. Ale za to, posłuchać go było, gdy deklamował przeciw marnościam światowym i do świętej mierności strzeliste słał westchnienia. Wszystko tam szło w ten sposób. Z żoną obchodził się zimno, z dziećmi surowo, ale za to, o pedagogice i wycho-

waniu, jak postępowe miał pojęcia!! aż strach! Synowie Burzymira chowali się jak Bóg dał, dosyć oszczędnie i niedbale, a on tymczasem prawił o przeważnym wpływie wychowania na losy ludzkości.

Dwóch ludzi, rzec można, było w tym człowieku—marzyciel co się nie wahał iść jak najdalej ze wszystkimi obłędami swych przewodników zagranicznych, i uparty, zakamieniały, zacofany człowiek, który kroku naprzód zrobić sam nie śmiał.

Wielki deklamator przeciwko konwencjom towarzystwa, formom, ceremonjom i tak zwanym przyzwoitościom, nigdy w życiu nie śmiał się im, by najlżej sprzeciwić—posłusznieszego one nie miały sługi.

Często się po świecie trafiają ludzie nie logiczni, których mowa, a czynności krążą w dwóch wcale przeciwnych sferach, ale tak fenomenalnego antagonizmu między myślą co życiem kierować powinna, a żywotem samym, nie trafia się spotykać. Jedném to tylko wytłumaczyć się daje—płytkością umysłu, pewnym rodzajem

próżności, nie głębokim w świat poglądem, a w ostatku okrutném, olbrzymiem lenistwem.

Rzadko się Burzymirowi trafiało, żeby go ktoś na przeciwieństwie zasad i kierunku praktycznego złapał, wszakże zdarzyło mu się to kilka razy w życiu, a jak się naówczas wykręcał, na próbkę opowiem.

Byliśmy z nim razem w zamożnym domu, którego ubogi krewny, od lat trzech serdecznie się był pokochał w córce Burzymira. Niestety córki te, których było dwie, miały mieć po jakie sto tysięcy posagu, a Juljusz grosza przy duszy nie miał, prócz chleba powszedniego, na który w pocie czoła pracował.

Był to zresztą młody człowiek wielkich zalet, umysłu wytrawnego, umiarkowany, rozsądny i wcale dobrze wychowany—jakoś mu się tylko nie wiodło na świecie. Burzymir przyjechał do tego domu, wiedząc, że się będzie miał przed kim wygadać ze swym ulubionym przedmiotem, bo dom to był gościnny i zawsze pełen. Objad przeszedł na coraz ożywiającą się krytyce wszystkiego, co tylko zaczepiono, gdyż

nasz utopista celował w tém zresztą bardzo łatwém wynajdowaniu wad ustroju społecznego, i od ubrania poczynawszy do modiiitwy, od najpospolitszej rzeczy do najwznioślejszego przedmiotu, wszystko umiał nielitościwie wyśmiewać i chłostać. Jeżeli mu się nie udało stawić czegoś nowego przeciw staremu porządkowi, wtedy przynajmniej obyczaje cudzoziemskie porównywał z naszymi i tamtym zaraz przyznawał pierwszeństwo.

Umordowani byliśmy wszyscy niewyczerpanemi jego rozprawami, aż nareście gospodyni dała znak wstania od stołu, i pełni nadziei, że się choć na chwilę przerwie wymowa Burzymira, ruszyliśmy się z krzesłek. Mężczyźni zaraz przeszli wszyscy do pokoju gospodarza na fajki i cygara, podano *chasse-café*. Gość zaraz wsiadł na kieliszek mówiąc bardzo pięknie przeciw zbytkom, chociaż powtórzył kilka razy Maraskino, na którego wysoką cenę tak powstawał. Rozmowa, jak to zawsze przy nim bywało, zwróciła się zaraz do ogólniejszych przedmiotów, a my za nim iść tym gościńcem byliśmy zmusze-

ni. Nie wiem jakim trafem wpadliśmy na rozmowę o małżeństwach i gospodarz człowiek zimny, a rozsądny, jakby na przekorę począł rozwijać temat wielkiej ważności stosunków społecznych w małżeństwie, równości majątku, urodzenia, stanowiska i t. p.

Poruszony do głębi antagonizmem Burzymir, którego Maraskino też trochę egzaltowało, chwycił zadanie jak piłkę w powietrzu, a że je już nie raz zwyciężko obrabiał, z wprawą począł niēm rzucać na wszystkie strony, dowodząc, że w kojarzeniu związków wiekuistych, wszystkie konsyderacje ustąpić powinny najważniejszej, najwyższej— przywiązaniu wspólnemu i zgodności charakterów.

W zapale zaprzeczył nawet rodzicom wszelkiego udziału w postanowieniu dzieci!

Gospodarz słabo się dosyć bronił, uśmiechając nieco, i jako dodatkowe już tylko szczęścia warunki zalecał równość położenia, wychowania, pochodzenie z jednego świata. Burzymir walczył rozbijając do ostatka zapory wszelkie, i niedozwalając by co na placu zostało prócz jego

zasady. A puścił się tak nie rozważnie, że na-reście oparł się jak o ścianę o jedno tylko wspól-ne przywiązanie, o samiuteńką miłość!

Kto wie czy naprowadzenie go na całą tę rozmowę nie było dobrze obmyślaném podej-ściem, czy jój nie podprowadzono umyślnie? to pewna, że gdyśmy już przyszli do jasno i wy-bitnie sformułowanój zasady— a było to w dość licz-ném gronie znajomych i blizkich— gospodarz powstał, wziął za rękę swojego krewniaka Julja-na i przywiódł go przed stropionego tém Burzy-mira. Widziałem jak nasz deklamator, mimo że już był dobrze czerwony; jeszcze pokraśniał spostrzegłszy ten ruch i domyślił się zaraz co to znaczy. Uczuł że go złapano!

—Dziękuję ci szanowny sąsiedzie, rzekł po-wolnie amfitrjon— za to jasne określenie twego sposobu widzenia w téj mierze, które mnie u-spokaja o los przyszły Juljusza. Wiész jak go kocham, a nie podobna żebyś nie dostrzegł, iż się od lat kilku przywiał szczerze do panny Róży, że ona także uczucie jego dzieli. Zatem

nie pozostaje nam nic więcej, tylko prosić o błogosławieństwo.

Było to tak okropne *dictum acerbum*, że Burzymir aż postawił kieliszek i zmięszany cofnął się, zachłysnął, zakaszał, począł trześć czoło, dając sobie czas do wyszukania furtki dla ucieczki, i wnet bardzo żywo się zwinął.

—Stój pan, rzekł do gospodarza wyciągając rękę— miłość jest to uczucie, na którego determinowaniu często się bardzo myłemy— bywa ono różnych stopni, rodzajów i trwałości— miłość o której ja mówię, winna być dowiedziona i wyprobowana, należy się przekonać, że będzie stałą, że są w niej warunki życia.

—Ale czegoż więc pragnąć możesz? rzekł gospodarz, kilka lat stałego przywiązania są zdaje mi się próbą dostateczną.

—Ale nie! ale nie! więcejbym powiem ci, zawrócił się Burzymir, więcejbym rachował na gwałtowną namiętność pełną burz i wybryków, niżeli na chłodne choćby trwałe przywiązanie. Chciałeś mnie pan złapać— ale to nie tak łatwo! Ja jestem logiczny, ale logika moja surowa!

To mówiąc pochwyił gwałtownie cygaro, ugryzł je, splunął i wymknął się z pokoju. Ty-leśmy go i widzieli, cygaro było tylko pretextem, rzucił je, poszedł do kobiet, pożegnał się i odjechał.

Juljusz wyszedł także zasmucony i raniony i dopierośmy się rozśmieli wszyscy z téj ucieczki naszego reformatora, który potem w tym domu przez rok cały nie postał i wiekuiście za to podstępne schwytanie okazywał żal do niego.

Drugi raz złapano go tak, gdy rozprawiał o polepszeniu bytu włościan, i tu się sianem wykręcił składając na niemożność, co było w nim lenistwem i bezsilnością.

Poznawszy go lepiej nikt w końcu nie zwracał uwagi na jego teorje, ani mu miał ochoty figla tego wyrządzać, by je do życia przymierzał— dano mu pokój. Chodzi sobie po świecie z systematem w jednéj kieszeni dla braci, w drugiej z regułą postępowania dla siebie. Systemata zaś swoje tak mienia jak inni surduty— używając zawsze tego, który jest najnowszego kroju. Był po kolei wielbicielem Rousseau, S.

Simona, Fouriera, Owena, Léroux, Proudhon'a, Blanc'a i ktokolwiek mu zaświtał. Ostatni zawsze mu się zdawał najkompletniejszym i największym, a najradykałniejszy najdoskonalszym. Jedyną stałą jego zasadą jest że potrzeba społeczeństwo z gruntu przebudować, to co jest zburzyć, wywrócić i zniszczyć, a nowe całkiem erylować.

Tymczasem nie odważył się jeszcze nawet innego kupić kalendarza nad Berdyczowski i na włos nie zszedł z drogi ubitej, po której idą owce Panurga.

Pogodźże tu kiedyś mądry głowę i ręce, zrozumiej tego człowieka!

A jednak istota to prawdziwa i nie rzadka, równie jak on nie logicznych ludzi, ćma chodzi po świecie. Jak on reformatorem tak innych wielu są katolikami, usta tylko nie uczynkiem. Znajdziemy deklamujących o poczciwości co dla siebie szczególne mają restrykcje; oburzających się na drobnostki cudze, nie widząc co popełniają sami. To też i pismo już tę wielką wadę postrzeżoną przed lat tysiącami wskazało w przy-

powieści o zdźble w oku sąsiada, a tramie w oczach własnych. Nikt siebie znać nie chce i nad sobą pracować—chętnie podejmujemy się wychowania drugich, umyślnie zaniedbując własne. I zdaje mi się, że póty społeczność do prawdziwego nie przyjdzie postępu, dopóki każdy nie poczuje, że reforma musi się zacząć od indywidualów, od nas samych. Z jednostek składa się społeczność, jej charakter ogólny od tych zależy. Żadna radykalna reforma praw, instytucij, żadne postanowienia nie przerobią ludzkości, dokazać tylko może Sokratyczny przepis podniesiony do wyższej potęgi—znaj naprzód i popraw siebie.

Gdyby tak każdy wziął się szczerze do tego, co mu i najbliższe i najłatwiejsze, ani byśmy się spostrzegli, jak wiele zmienićby się musiała społeczność. Wszyscy utopiści, jakeśmy to nie raz powtarzali gdzieindziej, mylą się w zasadzie, poczynając od tego, co końcem dopiero uzyskać się może.—Niech tylko jednostki usiłują dobić się wyższego stopnia udoskonalenia, a ogół zmieni postać, zmieniają ją instytucje nawet, bo te ko-

niecznie i nieodzownie idą za stanem społeczeństwa. Każdy kraj, każdy lud i epoka mają takie instytucje, jakie potrzeby większości wskazują. W miarę podnoszącego się stopnia cywilizacji, powolnie podnoszą się instytucje, ulepszają i do równowagi ze stanem umysłowym, obyczajowym, cywilizacji ustanawiać się muszą. Widzieliśmy w historii nie raz próby narzuconych instytucij, które miały odwrótnie działając na massy, naturę ich odmienić; zawsze pokuszenia się takowe wywołały niepokoje, wybuchy, zamieszania i najzgubniejsze skutki. Ludzkość ma pewne prawa bytu, z których się najsilniejszą wolą wyłamać nie może; do tych właśnie należy reguła postępu stopniowego, powolnego, który idzie nie od instytucij do ludzi, ale od ludzi do instytucij. Dla tych, co niecierpliwie na swój żywot tylko rachując chcieliby dosięgnąć celu swych marzeń— smutna to może prawda, że ludzkość idzie tak powoli i daleko dalej widzi okiem, niżeli sięgnąć może dłonią— ale któż przeciw nieubłaganej naturze rzeczy??

Żaden wiek może bardziej nauczających nad

nasz nie przedstawił w téj mierze obrazów— patrza-
 liśmy oczyma naszemi na władzę oddaną
 w ręce utopistów, którzy nic z nią począć nie
 mogli. Bóg tylko stworzyć potrafił człowieka
 w stanie doskonałości, od czasu jego upadku,
 powolnie się musi znowu podnosić człowiek by
 dźwignąć do pierwszego stanu. Idzie, staje, za-
 wraca się, upada, jęczy, podnosi oczy, dźwiga
 znowu ku górze i krok za krokiem, rok za ro-
 kiem przybliża się ku celowi podróży, którego
 jednak nigdy może nie dosięgnie.



V.

M e c e n a s.

THE HISTORY OF THE
CITY OF LONDON
FROM THE FOUNDATION
TO THE PRESENT
BY JOHN STOW
1618

4. 0. 0. 5. 3. 2. 10

W CHWILACH większych wstrząśnień i zmian społecznych, które nowy charakter nadają ludziom pod ich wpływem wyrosłym, może najciekawszym widokiem są owe resztki społeczeństwa umarłego, dożywające smutnie dni swoich ostatka na świecie obcym dla siebie. Wloką się ci biedni po ziemi zastygliej, wśród ludzi, których nie rozumiem, zesmutniali, zamknięci w sobie, nie mając przemówić do kogo, oczekując rychło-li odezwie się im uwolnieniem dzwon ich pogrzebowy. Przykro jest spojrzeć na nich tak ciężar życia gniecie im barki bezsilne, tak nie ubłagany los odebrał im wszystko a wszystko.

Rodzina, najbliżsi, ci, których krew, los, przyjaźń i nawyknięcie związały z nimi, nie rozu-

mieją ich, dziwią się im, ledwie nie tłumacza potrzebują by mowę pojąć z innego odzywającą się świata. Szczęśliwi jeszcze jeśli oczyma i usty nie szyderstwo, ale litość okazują.

Mnie zawsze ściska się serce na widok tych resztek epoki zamkniętej, tych obłąkanych żołnierzy, wojska co już przeszło do wieczności. Coraz ich prawda mniej jakoś się między nami postrzega, ale za to typy ostatnie wyrazistsze są wśród otaczającego świata i na tle jego potężnie się rysują.

Zdarzyło mi się nie raz bywając w blizkiem miasteczku przed kilką laty, widzieć zrana około godziny dziewiątej przesuającą się ku kościołowi postać, która mnie wielce uderzyła. Był to starzec wysokiego wzrostu ale zgarbiony, z siwiutenkim włosem, który już z białego koloru na jakiś żółto-płowy przechodził, w odzieniu dawnego kroju tak zszarzaném, znoszoném i spłowiałém, że zdawało się ostateczną zwiastować nędzę, opierający się na wysokiej trzcinie ze srebrną skówką, na której do pół prawie starty był lakier i wyslizgane użyciem bieleły

włókna. Szedł zwykle prawie nóg nie podnosząc, posuwając tylko niemi, z głową spuszczoną, powoli, ani się nawet oglądając na mijających go i ocierających o niego.

Powoli mijał okno moje, wsuwał się w uliczkę wiodącą do kościoła i niknął mi z oczów jak widmo wywołane z drugiego świata. Wszystko w nim taką we mnie wzbudzało litość, tak mnie żywo zajmowała ta starość jego posępna, że za pierwszą razą ujrzawszy go zapytał kogoś o imię tego człowieka.

—To stary adwokat Paliszewski, odpowiedziano mi ruszając ramionami.

—Ależ to biedny jakiś człowiek?

—Biedny? nie wiem, to pewna, że nie tak ubogi, jak się wydaje.

—Dla czegoż tak nędznie chodzi, sam jeden, pieszo, w tym wieku.

—Alboż wiem! ruszając ramionami powtórę rzekł spytany— mało go znam, mówiono mi tylko, że skąpy bardzo.

Na tém w początku poprzestać musiałem, ale za drugą razą spytałem o pana Paliszew-

skiego, żyda. Nikt takićj nie ma wprawy w poznaniu ludzi jak żydzi; może dla tego, że zależą od wszystkich, że wszystkim się kłaniać muszą, może, że ze słabości ludzkich korzystają w wielu okolicznościach, może nareście wrodzonym jakimś instynktem, nikt tak trafnie nie zna i nie opisze ci każdego, jak izraelita.

—Pan Paliszewski, pan Mecenas! ze śmiechem politowania, rzekł mi żydek— pan nie wie, co on za jeden? Mecenas! ot i po wszystkiém.

—Biedny widać jakiś człowiek?

—Żebym ja miał te pieniądze, co on ma i co stracił, czegobym chciał!!

Właśnie przechodził stary adwokat, a jego szaraczkowa kapota, kontusz pod nią jedwabny wytarty jakiegoś niepewnego koloru, proste buty kozłowe i czapka niegdyś biała, dziś brudna jak kasztanek, co ją otaczał, tak mi się dziwnie wydały sprzeczne z wykrzyknikiem pytanego izraelity, żem się go dopytywać począł, o całe *curriculum vitae* pana Paliszewskiego i z łatwością następnych dowiedział szczegółów.

O pochodzeniu początkowém jego dokładnie

nikt nie wiedział, domyślano się tylko, że musiał być slachcic, bo w palestrze sama tylko slachta się mieściła, a na palcu nosił sygnet z krwawnikiem i jakimś herbem, którym się pieczętował. Z maluczkiego aplikanta w owych czasach, gdy processy rosły jak grzyby, wyškrobał się na adwokata i zaraz prawie znaczące w palestrze zajął miejsce. Dała mu je pracowitość niesłychana, namiętna, łatwość niezmierna pisania i mówienia, w ostatku przy pozorach uczciwości takie wyrabianie się z sumieniem, że jak mu kazał tak śpiewało.

Życie jego poczęte z małego bardzo gryzi-piórka, co za mecenasem papiery naszał i w kancelarjach stawał u progu, a w domu nie raz i krzeselka podawał litygantom, gdy na radę przyszli; małym się też zawsze obchodziło. Nie piął się ani do spraw znacznych, ani do klienteli możnej, ani w swych głosach starał o zrobienie wielkiej sławy; a żył gdzieś daleko na przedmieściu w ciasnej izdebinie nie wiedzieć jak i czém. Kto tam się do niego po błocie dostał, nie zobaczył w domu nic prócz papierów, tap-

czana na którym sypiał i pary butów zapaśnych. Sam sobie sługa sam pan, co jadł i jak życie pędził nikt nie wiedział. Zrana tylko widziano go zawsze naprzód regularnie na mszy świętej, potem z papierami pod pachą, w sądzie. Tu miejsce miał w kątku, na ustroniu i nigdy się z niego nie wymknął. Mówił mało, zawsze tylko to o co go zapytano, a nigdy nawet całkowicie na pytanie nie odpowiedział zjadając ile mógł w sobie. Skąpy nadzwyczajnie, obcy wszelkiej przyjaźni, niedowierzający, nigdy się w pole wyprowadzić nie dał, ale też i nikt na niego poskarżyć się nie mógł. W konieczności nawet, gdy przeciwnika szarpał czynił to tak grzecznie, tak pilnując tytułów i szafując niemi, tak zasypując formułami uszanowania, że choć się ten wściekał, przyczepić się do niego nie mógł.

Trudno mi było z teraźniejszych rysów pana Paliszewskiego wyczytać czém były dawniej, gdyż zgrzybiała twarz, trupią, chłodną, nie poruszoną przedstawiała maskę, ale mi mówiono, że wyjąwszy trochy marszczek zapracowanych latami, takim był zawsze. Wystawcie sobie

długawą fiziognomją cery żółto-bładęj, z brodą spiczastą i wydatną, z czołem naciskajacém głęboko wciągnięone oczy, nos prosty, suchy i kościsty, usta schowane pod wąsem, a to wszystko razem tak nie ruchome, tak kamienne, że trupem pachniało za życia. Oczy nigdy nie patrzyły wprost, ale i nie bujały po bokach, zdawały się wlepić zawsze, w coś niewidzialnego na prost siebie i niecierpliwiły tą obojętnością swoją. Paliszewski przecie szczególną jakąś zapewne organizacją obdarzony, widział wszystko choć na nic nie patrzył.

Tak, nie włączając nikomu w drogę, powoli na chleb pracując, a małemi bardzo jedząc go kawałkami, sławniejszym mecenasom kłaniając się nisko, wyrobił sobie stanowisko odrębne. Wszystkie naprzód drobniejsze, a zawiłe sprawy szły do niego, klientom swoim nie obiecywał wiele, wymagał od nich dosyć, ale nie było praktyki, żeby kogo zawiódł. U towarzyszków tém sobie zjednał jeśli nie przyjaźń to życzliwość, że im nigdy niczego z przed nosa nie chwycił, owszem najchętniej ustępował z dro-

gi, i tak szedł cichuteńko dalej a dalej. Były to czasy w których palestra grała u nas niemal rolę jaką dziś grają artyści. Wielcy panowie nawet ubiegali się o przyjaźń mecenasów, przyjmowali ich, poili, karmili, pochlebiali, a że to był chleb z głowy czerpany, kto należał do palestry liczył się za literata, za uczonego, za człeka pióra i konceptu.

Z tych powodów był szacunek, były oklaski i honory, a że u nas to troje objawiało się najczęściej ucztowaniem i puharami, pojono palestrę, aż ją rozpojono do ostatniego. Przy każdym trybunale musiały być piwnice, sprowadzono na kadencje węgrzyna, a żydzi ipsymowali kwaskowate cienkusze rachując na spalone podniebienie tych, co je spijać mieli. Tak samo było i w naszym miasteczku, gdzie żadna ważniejsza sprawa nie obeszła się bez narady przy kielichach, gdzie kielichy poprzedzały sessje, i zakończyły je, gdzie dekreta całemi oblévano beczkami. Pan Paliszewski zaproszony, wciągnięty, dawał się poić, ale pił jak piasek, nie dając poznać po sobie, żeby to bynajmniej go

ożywiało, upajało i na humor jego wpływało. Nie rozgadał się po biesiedzie więcej, nie zarumienił, nie pożartował i jakim przyszedł takim odchodził.

Dziwili się temu wszyscy, wyśmiewali się niektórzy, ale w końcu już to nie zwracało nawet uwagi.

Położenie jednak Paliszewskiego nieznacznie zmianie uległo. Zwróciła uwagę jego niesłychana pracowitość, wytrwałość i łatwość pracy, nie chybne zwycięstwa, zręczne przedstawienie sprawy i argumentowanie, którem umiał związać sędziów, że mu się ani probowali sprzeciwiać. Poczęto go naprzód wzywać na konferencje, na których choć się mało udzielał często tak widoczną miał wyższość zdania, że mu najślawniejsi prawnicy ustępować musieli. Nikt też nie zrównał mu w pamięci faktów, dat i najdrobniejszych szczegółów spraw nie tylko pod okiem jego rozwiązanych, ale o jakich tylko kiedy w życiu zasłyszał. Cytował w dziesięć lat dokumenta każdego processu, oblaty ich, wyrażenia nawet dosłownie, a prawo i *praejudicata*

umiał na palcach, tak, że czy do Konstytucji, czy do Statutu, czy do Korrekturny Pruskiej udać się przyszło, do niego jak w dym, zaraz paragraf zacytował.

Nic nie hardziejąc i nie podnosząc głowy, trzymając się swój ciupki na przedmieściu, chodząc w makowej kapocie i pasie ladajakim, którego strzępki starannie zawijał, Paliszewski doszedł do tego, że się żadna już sprawa bez niego nie obeszła, i co najważniejsze, najzawikłańsze jemu były powierzane.

Milczkiem się gotował, z klientem nie mówił wiele, przed przywołaniem sprawy nikt o niej słowa od niego nie posłyszał, ale gdy się odezwał było czego posłuchać. Bo czy z papieru mówił, czy z pamięci, tak ułożył, co tylko było na poparcie swego, tak wyłuszczył się jasno, tak przycisnął swą logiką sędziów, że dekret opisać musieli prawie jak im podyktował.

A gdy mu winszowano potem, odpowiadał kłaniając się nisko— to nie ja mości dobrodzieju, to sprawa wygrała!

Szalonym co się do niego czepiali, że prze-

ciw nim stając wygrał, odpowiadał po cichutku, bez wzruszenia zawsze jedném przysłowiem.

—*Si te judex bene judicabit, cede justitiae, si male, cede fortunae!*

W domowém życiu nie było człowieka coby mniej potrzebował, mieszkał zawsze w izdebce niezmiernie oddalonego dworku na drugiem końcu miasta, chodził pieszo, ubierał się ubogo, a grosza tak pilnował, że się nikt pochlubić nie mógł, by mu go kiedykolwiek wyciągnął. Człowiek to był bez namiętności, młodość przeżył nie spójrzawszy na kobietę, nie rozumiejąc, co to sobie w czémkolwiek dogodzić, skąpił tylko nadzwyczajnie, i jak mówiono taką miał żyłkę do prawa i ochoty do processów, że gdyby mu sprawy zabrakło, gotówby sam siebie pozwać, byle mieć co robić. Ale spraw w owe czasy dla palestry szczęśliwie nie brakowało nigdy, a były niektóre tak szczęśliwe, że się po lat dwadzieścia ciągnęły.

Z powodu skępstwa miano Paliszewskiego za bogacza, bo wiedział nie jeden, co gdzie wziął

od kogo, a grosz raz u niego w worku, już więcej świata nie ujrzał.

Zbiérał tak, zbiérał, a fama rośła tak, że dwa razy złodzieje nią zwabieni napadli na dom szukając tych skarbów, ale się oszukali, bo grosza nie znaleźli. Co miał wszystko składał w niewiadomém jakiémś, dobrze obraném schronieniu.

Trwało to życie bez najmniejszej zmiany lat przeszło dwadzieścia, a że starsi mecenasi pomarli, drudzy się z bogaciwszy na wieś powynosili, skończyło się na tém, że Paliszewski stanął na czele palestry w chwili, gdy jej ostatnia wybiła godzina.

Zaprowadzone zmiany, którym do końca wiary nie dawał, uderzyły go jak piorunem— zbyt stary by się mógł uczyć, zbyt nałogowy by inny tryb życia obrał, poszedł ostatniego dnia do sądów, posiedział milczący i choć rażony w serce, nie dawszy tego poznać po sobie, ale chwając się na nogach do domu powrócił.

Stara gospodyni jego dworków powiadała, że przez parę tygodni po całych dniach słyszała

go chodzącego szybko w izdebce ciasnej i niezrozumiałemi wykrzyknikami mówiącego do siebie. Jak drzewo wzruszone burzą chwiał się czas jakiś nie pewien co pocznie, potem powoli nowy tryb życia sobie wyrobił. Zrana o godzinie ósmej latem i zimą, słońcą czy pogodą wychodził regularnie na mszę, po której albo do jakiego xiędza na chwilę wstąpił posiedzieć, lub ku dawnym sądom podszedł, pochodził w dziedzińcu i zwolna kierował się do domu.

Tu brał się do pracy, jak gdyby najpilniejsza do niej wołała go potrzeba, układał w fascykuły i spisywał papiery, które mu z dawnych praw pozostały, robił summarjusze, niekiedy biegł aż do starych akt dla zweryfikowania czego, rozpoczynał kwerendy, drabował akta, a to w rzeczach, które nikogo nie obchodziły prócz niego. Śmiano się z niego jak z warjata, on się z szydzących nawzajem uśmiechał. Ale tą pracą do tego doszedł, że się stał żywym rejestrem wszystkich xiąg aktowych i żadna kwerenda obejść się bez niego nie mogła. On jeden wskazać mógł rok, xięgę i możność wyszu-

kania dokumentu, którego by kto inny dwa lata próżno grzebiąc się nie znalazł. Uczuwszy się potrzebnym, brał od każdego aktu w ten sposób wskazanego mało wiele jak mógł, ale darmo nic nie zrobił. I tak dalej acz po maleńku zarabiał. Zjadłszy co mu gospodyni dworku uwarzyła, przedrzemawszy się kwadrans, siadał znowu do roboty, aż go dzwon na nieszpory budził. Szedł na nieszpór, czasem znów zajrzał ku sądom, westchnął i już na noc kroczył do domu. Tu znowu rozpatrywał się w papierach, grzebał, konfrontował, pisał i pracował czasem do północy. Największą mu łaskę zrobił, kto jaką starą od lat stu odsądzoną a zawila napomknął sprawę. Naówczas siwe jego oczy, żywiej nieco wlepiały się w jakiś punkt nieschwycony, wąż zadrgał, a nazajutrz już Paliszewski uczył się tego processu i odsądzał go *de noviter repertis* po swojemu.

Gdzie chował pieniądze, nikt nie doszedł, ale wiedzieli wszyscy, że je mieć musiał, zaczęto mu o nie dokuczać. Oddawna widać pod sekretem na zastawy pożyczał, ale gdy się zaję-

cia zmniejszyło, lichwiarz powoli wyrosł z mecenasa. Zadziwiającą jednak było rzeczą, że człowiek tak przebiegły, tak zręczny, tak znający ludzi, tu dawał się oszukiwać najhaniebniej. Żydzi go jakoś wymacali, że był chciwy i byle który zaofiarował wysoki procent, wziął go jak swego na tę pospolitą wędkę. Sprzedawał jak to pospolicie mówią talar po trzy grosze, i puścił ich dosyć tym sposobem, to biorąc nie wartujące nic zastawy, to dokumenta na domy, których żydzi nie posiadali. Opamiętał się po niewczasie, stał ostróżniejszym, ale zawsze jeszcze zręczniejsi, to pozorem bogactwa, to uczciwością chwyтали go kiedy niekiedy. Oszukany starał się nowemi oszczędnościami nagrodzić sobie poniesione straty, i podwajał skępstwa.

Chodził też jakeśmy go widzieli w makowej wytartej kapocie, w kuntuszu nie mającym już żadnego koloru, tak, że na ulicy wiaść go było można za żebraka. Postarzał się znacznie, a mimo pobożności, nigdy mu jakoś na myśl nie przyszło, że umrzeć może, że to tak ułożone zegarkowo życie przerwać się kiedyś musi.—

Wprawdzie troszczyć się nie miał o kogo, bo familji przynajmniej w tych stronach, nie widać było, a nikt nie mógł go się dopytać z kąd pochodził.

Od wielkiej owiej zmiany, która zaszła w życiu jego, gdy zmiany w sądownictwie, usunęły go od zwykłych zatrudnień; czas swój spędzał jakieśmy powiedzieli, nie szukając ani towarzystwa, ani ludzkiej pomocy.

Tą zimną jakąś mizantropją, ten pozór zagadkowy, postać tajemnicza i oryginalna zaciękawiały mnie do tyła, że usilnie starałem się go poznać i zbliżyć do niego.

Nie będę opisywał ile mnie to dni straconych i wysiłków kosztowało — użyłem pozorów jakiejś sprawy spadkowej, która dawnymi prawami rozstrzygać się miała, prosząc go o poradę. Zastałem Paliszewskiego w jego izdebce na przedmieściu, która z drugim maluczkim przedpokojem tarcicami tylko od niej oddzielonym całe jego składała mieszkanie. Izdebki były nagie, smutne, wilgotne i silnie przejęte stęchlizną. W pierwszej, jakieś sprzęty liche, ledwie dójrzeć dawał

mrok, który tu panował; w drugiej, trochę było jaśniej, ale równie ubogo. Jedno okienko oświecało izdebkę, stolik przysunięty do ściany, zarzucony papierami i pokryty resztką wyszarzanego zielonego sukna, łóżeczko wyleżane, jak tapczan zakonnika wąskie i twarde i kilka kufrów w pół otwartych, z których pliki jakies widać było.

Paliszewski siedział na starém trochę obłamaném krzeselku w białym kitlu, który od częstego prania pościagał się i ledwie się dając spać, rękawy miał tylko po łokcie. Na nosie miał okulary starodawne bez podtrzymujących ramion, mocno na nos wcisnięte, a sznurkiem obejmujące głowę. Zamiast butów jakies chodaki wydeptane, nic go wszakże przybycie obcego nie zmieszało, popatrzał; spytał, poprosił siedzieć i wziął się do papierów. Zdziwiłem się nadzwyczajnej wprawie z jaką zaledwie rzuciwszy okiem na papier, intuicyjnie zgadywał co zawierał i wybornemu sądowi, który wydał o rzeczy. A że nie o to mi szło; ale o poznanie człowieka, począłem go wprowadzać w rozmowę. To

mi się raz pierwszy całkiem nie udało, zamilkł, nałożył okulary, słuchał bardzo obojętnie, ale dawał mi uczuć, że powinienbym poradziwszy się pójść sobie i czasu mu nie zabiierać.

Dopiero spoufaliwszy się z nim, poznałem go bliżej, lepiej i mogłem czasem wyprowadzić na gawędkę. Ale i w tém zawsze był oszczędny, a ująć go nie miałem czém, bo prócz skępstwa i jurystrii żadnej słabości nie miał.

Użyłem fortelu niewinnego na przyciągnięcie go ku sobie. Miałem pliki ogromne jakiegoś procesu odsądzanego przed stu laty, bardzo porządnie przez starego kawalera stryjaszka ułożone chronologicznie. Dałem mu jeden fascykuł na załakośnienie i wziąłem jak na wędkę. Witął mnie potém przyjeżdżającego chciwie patrząc na ręce, czy mu dalszego ciągu tego ciekawego dzieła nie przynoszę. Tak w nim grała namiętność i podbudzona ciekawość że, by wytargować resztę sprawy stał się nawet grzeczny, miłym i pochlebca.

Kiedym go tak już ujął, spytałem raz nagle — panie Paliszewski, na Boga, cóż cię tam ob-

chodzić może, jak jakiś process przed stu laty odsądzono?

Paliszewski się skrzywił, nie bardzo chcąc odpowiadać, poprawił okulary.

—E! mój Jegomościuniu, rzekł, co to gadać? Państwo macie teatr, książki i ludzi, a ja co? Ot te jedne zbutwiałe papiery, w których sobie życia szukam. I panu to dziw!

—Ależ i pan znalazłbyś także ludzi, zajęcie, towarzystwo i inny cel w życiu!

—Zapożno! Jegomościuniu! zapożno! obejrzał się Holofernes, a *holowy nema!* Już mnie to nie obchodzi! Odpowiem panu, że jak dobrze prowadzoną sprawę czytam, to jakbym tam sam był, aż ręce świerzbą pokłásnać! Albo to mało się poznaje ludzi! Oj! oj! Jegomościuniu, ani lekarz, ani kapłan, nie zajrzeli tak nigdy do serca ludzkiego, jak my. Wieleż to uczciwych ludzi sumienia inaczej się nam po sekretnéj konferencji wydawać musiały! Albo i sędziowie! Oj oj! napatrzyło się różnych, bywało idziemy do izby sądowej uprzedzeni, że ichmościów strona skąptowała, a myślisz jegomość żeśmy się tego

lękali? Weszli arbitrowie, poczęły się głosy, czasem człęk i przekonał, a częściej wstydu napędził i sprawę wygrał! Ba! tak wygrał, że ten co ją przegrywał w obec opinji publicznej, która go potępiała, cichaczem poszedł jak zmyty. No, i jak ja nie mam sobie przypominać tych czasów, w których zrosłem, i do których przyrosłem.

Tu stary zamilkł, choć go słuchałem z taką uwagą i w takim milczeniu, że mógł był mówić do jutra. Opamiętał się, że zawiele powiedział, zasepił i ramionami ruszył. Po chwili przecie znowum go potrafił z téj żółwiej skorupy jego obojętności wyprowadzić.

—Ot tak, rzekł, dziwujcie się, nie dziwujcie, a ja do śmierci prawnikiem zostanę jakim był. To darmo! czém się skorupa za młodu napije, i na starość trąci. Nosilem papiéry chłopięciem, nauczyłem się wprzód formularza niż katechizmu, teraz kiedy niema co pisać, to się w starém grzebie!

Całe też życie starca było w tych kilku słowach, i niewiele ich więcej mógł na nim

wymóǳ, milczeniem mnie zbywał, nie raz widocznie niecierpliwiąc się, że mu do pracy przeszkadzał.

Jeszcze tak czas jakiś o swojej godzinie, co raz wolniej suwając nogami chodził na ranną mszę i pod gmach sądowy, powracał do papierów, pracował do nieszpornego dzwonu i szedł spać późno w noc przy łożówce decyfrując akta, do których ledwie się przespawszy powracał. Jediną dystrakcją stanowiły targi z żydami wykupującymi zastawy, pożyczanie i odbieranie zastawów.

Wiedząc o jego groszu, a coraz posuwającego się ku grobowi go postrzegając, poczęli znajomi chodzić koło niego, żeby sobie spadek po nim zapewnić. Xięża przypominali mu kościół i duszę jego, inni ujmowali go sobie małemi przysługami, przyjmował to obojętnie, ale gdy go naglono odpowiadał zawsze— Ho! to! będzie na to czasu! I życie szło jak dawniej bez zmiany żadnej. Wzrok mu się osłabiony pracą popsuł, a siły tak opuszczały, że kwadranssem wprzód na mszę wychodzić musiał, nareszcie nogi puchnąć zaczęły.

Nie zmieniło to jednak trybu jego życia, i tak raz z głową na stolik spuszczoną znaleziono go zrana umarłym.

Nie wiadomo co się stało z majątkiem pozostawionym, który znikł jakby go nie było. Pochowano go skromnie, fascykulami papierów gospodyni poczęła okna zaklejać na zimę, mako-wa kapota przeszła na jakiegoś szewca pijaka, trzcinę wziął jakiś krewny gospodyni rzeźnik podobno, a szkatułki— Bóg jeden wie kto— a gdy jednego poranku stojący przed kramami żydzi nie zobaczyli go ciągnącego o zwykłej godzinie ku kościołowi, pokiwali tylko głowami, domyśliwszy się, że już żyć nie musiał.

Ruszyli ramionami, i to był jedyny po Paliszewskim nekrolog.



III

VI.

მ ო ტ ო ო

100 100 100

PRZED laty dziesiątkiem kiedym się częściej z domu ruszał i więcej po Bożym jeździł świecie, często mi przypadała droga przez wieś jedną, której dziedzicowi szczerze nie raz zazdrościłem w głębi serca. Śliczna bo też to była wioska—wybrany tylko od losu podobne się trafiają! Na pograniczu Wołynia i Podola, wśród najżyźniejszego kraju, gdzie nigdy chleba powszedniego nie braknie ani panu ani włości, odznaczała się uroczem położeniem i tak wdzięczną fiziognomją jakiej mi się drugi raz widzieć nie trafiło. Dwór prześlicznym otoczony ogrodem, przez który przebiegała kilka razy skręcona rzeczka, stał sobie na wzgóreczku i biał się

wśród drzew, które wieki pielęgnowały na pociechę dziedzicowi.

Do koła w amfiteatr kraj jaki chyba na obrazie zobaczysz, uśmiechnięty, wesoły, zielony—na wzgórkach tu gaik ciemniej, tam świeci kościółek, to się doliną srebry rzeczulka, to dworek w drzew wianku sinemi dymy się zdradza. Gdzieś rzucił okiem coraz inaczej, coraz piękniej, a wszystko razem całość składało wdzięczną i cudną. Wioska też czysta, szeroko pobudowana, otoczona sadami, zamożna aż miło, że się z niej wjechawszy podróżnemu nawet wyjeżdżać nie chce.

Jeszcze i to miał szczęście ten dziedzic, którego nazwiska nie wiedząc, z góry miałem za jednego z najszcześniejszych ludzi, że dwór jego czy pałacyk, nie był świeżą i wytworną tylko bez wspomnień i przeszłości budową. Miejsce było historyczne, dwór przerobiony nieco ze starego zamczyska, a śliczna krągła wieżyca dotąd do boku jego była przyparta. Wokoło jak ptaszęta latały tradycje wiekowe, powieści, pieśni, legendy, bo i okolica usiana była

mogilami, wałami, tajemniczemi uroczyiskami. W samym ogrodzie zieleniały stare wały, stał kurhan spiczasty na wyniosłości, były lochy zakłete, a codzień niemal jak mi ludzie mówili, odkopywano tysiące najciekawszych zabytków!!

A! to był ideał dla mnie przy zamożności włościan, przy dobrym bycie, to mieszkanie otoczone pamiątkami, posypane popiołem przeszłości, z malowniczą i uroczą fiziognomją!! Wzdychałem jadąc i mówiłem sobie— mój Boże czemuś mi też nie dał co podobnego? jakbym to ja te mury, te mogilniki i ten kątek ukochał i ocenił!!

—Tak, odpowiedział głos wewnętrzny, i potem by ci się nie chciało umierać, bobyś za- nadto przywiązał się do życia?

—Może to prawda! mówiłem w głębi i może to dobrze, że mi Bóg nie dał mieszkać w takim ziemskim raju!

A przecież ile mi razy w bliskości przejeżdżać wypadło, zawszem nakręcał drogę tak, aby przez tę wioskę, choć przejechać, choć zobaczyć, ten mój ideał sadyby!! Bo zważcie jak

ideałem nie mam jęj nazywać, kiedy nawet los ją umieścił choć nie daleko gościńca, o kilka jednak mil od miasta powiatowego i innych kłopoty rodzących miasteczek, a tak ją obwarował granicami naturalnemi, że ani processu o kopce mieć nie mogła, ani nawet szkód, jakie inne wsie ponoszą od sąsiadów. Słowem było to coś nadzwyczaj wybornego i pięknego, aż do nie-szczęsnój podbudzającego zazdrości.

Za nią mnie pewnie też Pan Bóg pokarał, boin razu jednego jadąc w samęj wsi na gładkiej drodze, w pilnym jadąc interesie, oś złamał.

Oś była żelazna, a w tym ideale wioski brakło niestety! kowala; musiałem się więc zawrócić pieszo do karczmy, by posłać o milę do kuźni, którą mi z góry w sinęj dali pokazano. Rozmyślałem właśnie nad szczególném przeznaczeniem które chciało bym tu, a niegdzieindziej odsiadywał rekolekcje, i szedłem powolnie ku gospodarstwu, gdy mnie ktoś grzeczném—dobry wieczór! powitał.

Podniosłem głowę i ujrzałem przed sobą mężczyznę lat około czterdzięci mającego, w pełni

sił i zdrowia, zlekka opalonego, z uśmiechem na ustach, wejrzeniem łagodnym i wyrazem dobroci na twarzy wyrytym. Na pierwszy rzut oka poznałem w nim członka tej rodziny ludzi, którym nic nie braknie do powodzenia, nawet zupełnego przeświadczenia o swęj wyższości, znaczeniu, talentach, i nieskończonych przymiotach. Zadowolnienie opromieniało jego łysawe czoło, wyjaśniało oczy niebieskie, otwierało usta rumiane do przyjaźnego uśmiechu. Miernie otyły nieznajomy mój pulchniutki był, różowy, miłego oblicza i wielce grzecznego widać obejścia, bo nie kończąc na ukłonie, przybliżył się do mnie z ofiarą pomocy jakiejbym mógł żądać.

Po twarzy dyszącęj szczęściem domyśliłem się w nim dziedzica, bo takim, takusieńkim go sobie właśnie wyobrażałem!

—Serdecznie panu dziękuję, rzekłem oddając grzecznością za grzeczność, ale mi nic już nie potrzeba, posłałem ludzi z przewodnikiem do kowala, spodziewam się, że poprawka około osi nie zabawi długo!

—Zawsze godzin kilka! rzekł nieznajomy,

a co przez ten czas robić w nudnej karczmie zamkniętemu między czterma ścianami. Staropolskie nasze zwyczaje gościnności upoważniają mnie prosić pana do dworu.

Tu mi się zaprezentował jako gospodarz, ja mu wzajemnie, a żeśmy zaraz po nazwiskach poszedłszy dopytali się jakichś familijnych stosunków nawet,— bo któż u nas nie kolligat!!— musiałem przyjąć zaproszenie do dworu.

Szczęściem gospodarz był sam jeden, żona w dalekiej podróży i mój surdut letni uszedł na te niespodziane odwiedziny.

Poszliśmy więc powoli z sobą rozmawiając do dworu.— Zaraz na wstępie uderzyły mnie przy pierwszych wrotach prześliczne kwiatów klomby, krzewy egzotyczne pielęgnowane starannie i mnóstwo drzewek i roślinek, przy których stojące na straży numera zwiastowały upodobanie w botanice lub ogrodnictwie.

—Zapewne to zajęcie Pani Dobrodziejki, rzekłem wskazując na kwiaty.

—Tak, żona moja dosyć je lubi, ale.. ale,

to raczėj moje niż jėj wychowańcy, jestem bowiem zapalonym miłośnikiem ogrodu i Flory.

I dowiódł tego więcėj jeszcze uczynkiem niż słowy mój towarzysz, bo postrzegłszy robaczka na gałązce jakiejś krzewiny rzucił się ku niemu prawie zapominając o mnie.

—Za pozwoleniem, rzekł, kwiaty potrzebują ciągłego oka, baczości, pielęgnowań nieustannych, a naszym ludziom nie podobna wlać zamykania ich.. Pracują z musu, niechętnie, bez przejęcia się, bez namaszczenia, bez zapału! To mówiąc gorąco się rzucił ku krzaczkowi i począł żwawo liszki z niego opędzać.

—Otoż po pączkach! zawołał!— pierwsze, największych nadziei, najsilniejsze, najpiękniejsze, z których się chciałem dochować nasienia, przepadły! Znowu rok stracony! Ani jednego, ani jednego, to prawdziwe nieszczęście!

Postalismy chwilkę nim przyszedł ogrodnik, nim mu gospodarz mój wyłożył traktat cały o wygubianiu owadów, teórje francuzkie, praktykę niemiecką, doświadczenia angielskie i sposo-

by domowe, nareście posunęliśmy się parę kroków dalej.

Ale na drodze pełno było kwiatów, musieliśmy się znów przy nich zatrzymać. Amfitrjon z największą uprzejmością pokazywał mi skarby swoje, a były to rzeczywiście cudne i u nas prawie nie znane dzieci Flory, tak bujno na tej Podolskiej niwie, pod niebem naszym wyrosłe, jakby za rodzinnymi ziemią i niebem nie tęskniły. Nie znacznie przechodziliśmy od prześlicznych portulaków, do niewidzianych dalej, do całej kolekcji Floxów różnego wzrostu, laków wielkich i karłowatych, maków, aster i t. d. i t. d. O każdej roślince była jakaś historja ciekawa, każdy kwiat miał swoją kronikę, każdy krzew swe dzieje, każda trawka imie, nazwisko i przymioty nie dojrzone oku profana.

Chociaż mnie to dosyć bawiło, bo kwiaty lubię, przypiekające wszakże słońce, znużenie podrózne, a i głód potroszę, zwracały oczy moje ku pięknemu domowi, od którego jeszcześmy byli daleko, a rachując grzędy mimo których przechodzić było potrzeba i komentarze jakie

wywołać mogły, przewidywałem, że nie stanemy w ganku chyba ku wieczorowi. A że tuż przy drzwiach wchodowych wyglądała oranżerja, i cała ulica pięknych drzew z niej wyniesionych, nie podobna było nie zachwyciwszy nocy, tego wszystkiego obejrzyć.

Tymczasem szliśmy noga za nogą, od klombu do klombu, to barwy, to zapach, to kształty podziwiając, a pan domu coraz się jeszcze rozżarzał tą rewją wychowalców i w końcu już mnie pod rękę schwyciwszy rozśmiał się wołając:

—Obejdziemy ogród cały!

—Najchętniej! odpowiedziałem z uśmiechem myśląc jednak w duchu, że ledwie trzeciego dnia staniemy w domu.

Poszliśmy; a tuż przepyszny klomb lupinów zaraz nas uwięził. Obejrzeliśmy wszystkie począwszy od różowych do grandiflorów, musiałem admidrować trwałego, który bujał prawda wspaniale, i bylibyśmy zakręcili się w uliczkę, gdyby nie zbiór nieśmiertelników.

Zdziwić się musiałem ich ogromowi, Ely-

chrysom najrozmaitszym, Gomphrenom, Athanasiom, Amaranthusom, ale jeszcześmy nieskończyli ich przeglądu, gdy gospodarz ujrzawszy trejbhauz popędził ze mną ku niemu.

—Tu! zawołał, ujrysz pan to czego u nas nie ma nigdzie w kraju jeszcze, unikaty! nowe odmiany, rośliny bez ceny! Proszę z sobą! przekonasz się, że nie przesadzam.

Niestety! nie przesadzał w istocie, bo samych kaktusów cała armja we drzwiach nas kolicami najeżonemi spotkała— *flagelliformis*, *tetragonus*, *hexagonus*, *cilindricus*, stały w porządku chwając się dziwacznością swoich kształtów i poczwarnością stanowiącą podobno całą rośliny téj piękność. Mamillaire, Opuntie, Gloxinie, Hibiscusy, Phoenixy, Heliotropy, Muży, Aloesy, musieliśmy obejść z końca w koniec, a od samych nazwisk aż mi się w głowie zawracać poczynało.

—Gdybym był wiedział, rzekłem sobie w duchu, że pod słodziuchną powierzchownością kryje się taki zdrajca! wołałbym w pustej karczinie pozostać! Teraz cofnąć się było za późno. Z trejb-

hauzu poszliśmy znowu na grzędy, do szkótek, do drzew, krzewów, na trawniki sposobem angielskim utrzymywane, i ledwie po trzech godzinach wykładu botaniki i hortykultury, ujrzałem znowu dwór i krągłą przy nim wieżycę.

—Ha! pomyślałem, przed wieczorem zajdziemy może, jeśli nas ulica drzew wazonowych i oranżerja nie zatrzymają!

Zatrzymały!! bo wszystko to było jakąś osobliwością, liść, kwiat lub owoc musiał być cudem, a niczego się nie godziło pominąć. Zdziwił się gospodarz usłyszawszy bijącą na zegarze w wieży umieszczonym godzinę czwartą i rzuciwszy wreszcie nie przerwany dotąd kurs, szybko powiódł mnie do dworu.

—Jak nam ten czas przeleciał! rzekł śmiejąc się dobroduszenie, aniśmy się opatrzyli jak czwarta wybiła. Ależ to czas jeść!

W domu było czyściuchno, wytwornie, miło, ale i tu z kwiatami lub gospodarstwem botaniczném rozminąć się nie podobna. Na półkach, żardinjerkach, stolikach, zieleniły się i pstrzyły bukiety, wazony, klomby całe; zapach od nich

napełniał aż do przesytu powietrze, a datury i tuberozy nie dawały odetchnąć. Wszędzie pełno było xiąg o przedmiocie ulubionym gospodarzowi, począwszy od Almanachu dobrego ogrodnika, do ogrodów Strumiłły i listów Al. Karr. Nasiona schły na najwytworniejszych sprzętach nawet. Rozmowa i w czasie obiadu, któryśmy we dwóch tylko jedli, nie przestała krążyć w kole roślinném, a gdyśmy wstali od stołu zmierzchać powoli poczęło. Dano mi znać, że powóz był naprawiony, chciałem jechać, ale uprzejmy gospodarz nie myślał mnie puścić i zmusił nocować.

Przesycony kwiatami, z ogromnym bukietem i gwałtem przywiązanemi na przedzie dwóma wazonikami białego cyklamen'u wyruszyłem na-
zajutrz rano w dalszą drogę. Nie mając nic pilniejszego przed sobą myślałem o nowym moim znajomym i przyznając mu najmiłszy charakter, gościnność rzadką, umysł ukształcony wielce, nie mogłem się wstrzymać by mu nie dać nazwiska monomana, na które zasługiwał.

Ale któż z nas nie monoman po troszę?

Znam takich co i przed żydem przyjeżdżającym kupować pszenicę popisują się ze swoim ulubionym przedmiotem, sam nie jestem wolny od téj wady, jeśli to wadą nazywać się godzi, jakżem nie miał kwiatomanji panu Jerzemu wybaczyć?

Śmiałem się z niego trochę, alem sobie też mówił po cichu, że takie niewinne szały najwięcej dają życiu szczęścia i chwil czystej rozkoszy, proszę sobie wyobrazić rozkwitły kwiat barwy lub kształtu nowego? nową z daleka sprowadzoną roślinę! ziarnko dójrzałego nasionka zebrane po długich trudach, ile to w tém wszystkim uciech, radości, a dla ludzi śmiechu!

Ale ha! śmiejemy się wszyscy, choć wszyscy szalejem, sobieśmy tylko nie śmieszni.

Bukiet zwiądł, cyklamy stanęły na oknie, a jam wkrótce o panu Jerzym zapomniał.

W parę lat potem wypadło mi jechać znowu przez tę prześliczną wioskę, alem sobie tak rozrachował popasy i noclegi, żeby tylko przez nią nie zastanawiając się przejechać, bom chwili do stracenia nie miał. Ale chłop strzela, Pan

Bóg kule nosi! Jadę, jadę, zamyśliłem się sobie, w tém— stój— dobry dzień! budzi mnie z marzenia. Podnoszę głowę, nie oszacowany pan Jerzy ze swą rozpromienioną twarzą i uśmiechem przedemną.

—Jak to? mijasz pan mnie, nie wstępując, a bodajże ci oś pękła!

—Na Boga, nigdybym téj niegrzeczności nie popełnił, ale się tak śpieszę.

—Ależ godzinę mi darować i obiadek zjeść prawdziwie można! i musisz pan, musisz! dodać gorąco. Mojej żony nie ma, przebierać się nie potrzeba, zwracaj do dworu!

—Zmiłuj się pan Dobrodziój— interes.—

—Nic nie pomoże! nic nie pomoże! zwracaj do dworu!

Postrzegłszy, że się nie wykręcę, pomyślałem w duchu— poczekajże, słuchałem raz pierwszy cierpliwie i uważnie wykładu, temum to winien drugie zaproszenie, ale nic z tego nie będzie! Trzeci raz pan pewnie mnie nie zawrócisz do siebie!

Wysiadłem więc i poszliśmy pieszo, bo ra-

nek był piękny, a gdyśmy się zbliżyli do wrót, aż mnie dreszcze przeszły, pomyślawszy o nomenklaturze nowych dąlij, które z powodu bałamuctwa téj rośliny tak obficie się wyradzają... Wchodzę. Dąlij prawie nie widać, na grzędach kwiaty nie pielęgnowane, opuszczone, nowości żadnych, ogród jak wszędzie, a mój gospodarz ani poczynił o swoim.

—Co to jest? pomyślałem— musiało go chyba spotkać jakie nieszczęście! Spytać już nie śmiałem, ale mu się twarz śmiała jak za dobrych czasów Lupinusów i Floxów. Nieszczęśliwe Lupinusy kwitły teraz zapomniane, w kącie na łasce ogrodnika. Spostrzegł pan Jerzy, że się dziwię i szukam oczyma czegoś, uśmiechnął i biorąc pod rękę pośpieszył ze mną ku domowi.

—Cóż piękniejszego teraz panu pokażę, rzekł niżeli przeszłą razą, nie straciłem zamięłowania w kwiatach, ale się postrzegł, że mnie to rujnowało! Musiałem się z bolem serca wyrzec ogrodu.

—Czyż podobna? zawołałem.

—Tak jest— zbieram Elzewiry!

Spójrzałem mu w oczy.

—Nadewszystko, dodał serjo, z szerokimi brzegami i nie obcięte! Ale to rzecz tak rzadka! tak na nieszczęście za granicą pokupna i do wysokich cen podniesiona!

—Elzewiry! Elzewiry! powtarzałem po cichu słuchając go i nie mogąc się wydziwić nagłej zmianie upodobania— on ciągnął dalej.

—Jestem pewien, że nikt w kraju nie będzie miał tak pięknego zbioru wydań Elzewirskich jak ja.. nie ma sprzedaży, licytacji, nie ma księgarni za granicą, z której by mi coś nie przybyło.

Spieszniemy teraz dzięki Elzewirom przybyli do dworu, gdzie wielkie zaszły zmiany, zamiast bukietów pełno było wszędzie katalogów, notatek a Manuel Brunet'a z mnogimi zakładkami leżał u gospodarza na stoliku widocznie, jako przedmiot nieustannych studjów jego. Kolekcja już się poczyniała układać w przepysznej palissandrowej szafie na klucz zamkniętej, którą otworzono zaraz dla mnie, a że mam bi-

bliomanji trochę, bawiliśmy się Elzewirami daleko lepiej niż kwiatami przeszłą razą.

Niektóre exemplarze nie obcięte z szerokimi brzegami na wagę złota płacone, poprawne przez Thouvenin'a w Paryżu, pieścił gospodarz jak dzieci ukochane, a tak się niemi cieszył, radował, unosił, że mu jeszcze raz pozazdrościł szczęścia, które potrafił kupić Elzewirami.

Zwróciły szczególnie ciekawość moją Republiki Elzewirów, śliczny minjaturowy zbiorek opisu różnych krajów, między którymi kilkakrotnie i Polonia się znajduje. Anim się postrzegł jak zmierzchno przy oględzinach, a uprzejmy mój gospodarz ani mnie puścił od noclegu. Cały wieczór bibliomanowaliśmy z nim zapalczywie, a że zawsze milęj mi, gdy widzę, że kto swoje nie cudze zbiera i studjuje, poddałem panu Jerzemu myśl zbierania Försterów jak za granicą zbierają Elzewirów, bo co się tyczy piękności wydań i zalet powierzchownych, księgi tego Gdańskiego bibliopoli z Elzewirami w parze iść mogą.

Nazajutrz rano odjeżdżając przededniem cieszyłem się, że kiedyś znowu przejeżdżając zo-

baczę -tu może komplet Försterów, między którymi i ważne dla dziejów naszych są dzieła. Ale niestety, pan Jerzy był wielki bałamut! wszystko gorąco ukochać umiał, namiętnie, cóż kiedy na krótko. W rok potem zjechaliśmy się z nim na wielkich inieninach, co to czasem z dwóch prowincji ściągają młodzież i swobodniejszych nawet starych włóczęgów. Ujrzałem go w tłumie i doszedłszy żywo ścisnąłem za rękę, pytając *stante pede* o Försterów.

Pan Jerzy osłupiał—powiódł okiem szklanym po suficie, po ścianach, zmięszał się trochę.—A! rzekł z westchnieniem, ta kolekcjo-manja znacznie mnie nadrujnowała, musiałem się wyrzec jej całkowicie, oranżerję zamknąć, a Elzewiry sprzedać Lissnerowi do poznania za pół ceny!! Wziąłem się teraz do gospodarstwa, a szczególnie do fabryki sukienniej, w którą już włożyłem do dwóchkroć, ałem pewny, że mi dawać będzie pięćdziesiąt tysięcy czystego dochodu.

—Daj to Boże, rzekłem po cichu—daj to Boże!

—Nasz kraj, dodał rozżarzając się pan Jerzy, potrzebuje ożywienia przemysłu, fabryk i rzemiosł. Sprzedajemy materiały nasze surowe, a u nas ręce tańsze niż gdzieindziej, moglibyśmy więc taniej produkować...

Puścił się w całą rozprawę z ekonomji politycznej dowodząc dosyć zręcznie, że wiele zależy na tém byśmy gospodarzami tylko i rolnikami być przestali, a weszli do wielkiej rodziny fabrykantów. Nie przekonywały mnie wcale argumenta, ale żem się gorącego mego antagonisty nie spodziewał przekonać, leniłem się darmo z nim śpięrać i dałem pokój. Pan Jerzy usiadł do preferansa, a ja znalazłszy sobie starego znajomego do ciętój gawędki, usunąłem się z nim w kątek.

—Znasz Jerzego? spytał wskazując mi go, nie wiedziałem, to mój szkolny jeszcze towarzysz.

—Opowiedziałem poznanie nasze przypadkowe, pierwszą i drugą bytność moją, nareszcie zdziwienie dzisiejsze, gdy m porzuciwszy go Elzewirem, znalazł po roku সুকিennikiem.

—A! a! rzekł mój przyjaciel, widać, że go nie znasz, jeśli się mu dziwisz, my cośmy z nim siedzieli na jednej ławie, żałujemy go tylko, bo nic podobnego nie znajdziesz żebyś kraj obszedł ze świecą. Chłopakiem jeszcze miał te manje napadające go i odchodzące mu nagle—uczył się przez rok prześlicznie, potem zawróciły mu głowę rysunki, porzucił wszystko chcąc zostać artystą, szalał za ołówkiem i rwał się do pęzla; gdyśmy się rozstali zaczynał z równą zawziętością łamać palce nad skrzypcami.. Widziałem go potem w życiu zmieniającego barwy najdziwnaczniej, blizkiego wstąpienia do klasztoru, potem hulającego na zabój lat kilka w Rowieńskim; na czele fabryki powozów, na ogromnej dzierżawie, koniarzem pół roku, dwa tygodnie bałagułą, anglemanem.. ale któż zliczy czém był w ciągu tych lat? nawet filantropem.

Napadła go ta chandra jak inne, założył szkółki, lazaret, ochronę, oddał się całej swojej włości i kazał nam o ofiarach i obowiązkach aż łyzy nie raz wywoływał— cóż kiedy i ten sla-

chetny popęd jak inne, jakiś wiaterek leciuchny rozwiął by mgłę na świtanie.

— Takiego typu jak Jerzy, odpowiedziałem trudno jest zapewne znaleźć drugiego, ale zważ, że to tylko spotęgowana wada nas wszystkich, przesadzony grzech pierworodny słachecki, narodowy! niestety. Wszystko u nas tak jak u pana Jerzego uczuciem się dzieje nie głową, rzucaamy się chciwi, gotowi na ofiary i gdyby nam w piérwszój chwili łeb ucięto, nastawilibyśmy go ochotnie.. ale jutro, pozajutro, za półrocze ani się już dowiaduj o wczorajsze postanowienia. W niczém nie możemy wyrobić na sobie stałości, ciągu, wytrwania. Pan Jerzy reprezentuje większość i usposobienie ogółu, najnie-szczęśliwsze dla nas samych. Usposobienie to odbija się w opinji, w działaniach, w całkowitem życiu społeczném i aż w literaturze naszej, wierném zwierciadle żywota.— Nie widzimyż codziennie gwałtownie miotanych potępień, które jutro gotowiśmy po szampanie zmienić w uwielbienie dochodzące do szału i zaprządz się do powozu tego, na którego przed godziną rzuca-

liśmy kamieniem. W codzienném domowém po-
życiu brak ciągu, planu, stałości sprowadza co
chwila ruiny i bankructwa. W literaturze na-
ostatek mamy pisarzy, z których ust tak dzi-
wnie z dnia na dzień ciepło i zimno wychodzi,
że dwóch ich dzieł za utwory jednej głowy i ser-
ca uznać nie podobna.

Nie dawno widziałem całą młodzież opętaną
Szleglem, później Trentowskim, i przechodzącą—
dzięki Bogu, do złotego Ołtarzyka równie łatwo,
jak szła pod sztandary racjonalizmu. Ale smu-
tno to na to patrzeć, bo cóż zaręczy, że jutro
nie pocznie ich trząść jaka febra Feuerbachow-
ska, i nie chwyci jaki paroxyzm Straussowy?

Była chwila takiej gorączki i zapału do li-
teratury, kto nie pisał, ten zbierał, czytał, ku-
pował książki stare i nowe, lub choć maleńki
chciał mieć udział w czynności literackiej kupki,
która się zaprzęgała orać tę rolę niewdzięczną.
Spójrzmyż dziś, co się nas pracujących zostało
na zagonie, ilu wróciło do cukrowni, do go-
spodarstw, do próżnowania i kart? spójrzmy
kto czyta i kto pisze z tych, co w pierwszój

chwili gotowi się byli po samą szyję umoczyć w atramencie, a po oczy zakopać w książkach?

Rari nantes in gurgite vasto.

I tak wszędzie, i tak wszystko, jak u pana Jerzego, dziś kwiatki, jutro Elzewiry, pozajutro sukiennia, a naostatku nic.— W kraju którego większość nie ma tyle siły by w sobie charakter stalszy wyrobić, pytam na co rachować można? Co do mnie lękam się każdego przedsięwzięcia literackiego, naukowego, i we wszelkiej innej sferze, które tylko wytrwania wymaga. U nas co tylko nie kończy się najednym tomie i na doraźnej czynności, musi się skończyć zawodem. Zięwanie zamyka wszystko.

—Za surowy może jesteś, rzekł mój przyjaciel, chociaż jest coś prawdy w słowach twoich, dla mnie nie nowych, bom je i z ust i z pod pióra twojego kilkakroć powtórzone słyszał.

—Powtarza się, westchnąłem, powtarza, co leży na sercu! a mnie nic jak to nie uciska. Nie mogę nie przyznać, że z wielu względów jesteśmy ogólnie biorąc najobficiej od Boga uda-

rowani, nie brak nam ani talentów, ani pomysłu, ani slachetności, ani gotowości do ofiar—jednej woli wyrobić w sobie nie umiemy. Zkąd to poszło? Oto z utraty wiary. Tak jest, jedyna tylko wiara i wpływ jej uczy kierować wolą i wykształca ją; w miarę jak kraj utracił religijne swe przekonania i charakter jego nabierał téj niestałości, co go dzisiaj znamionuje. Spójrzmy w dzieje, jawny tam ton paralelizmus, i niepodobna nie widzieć w braku religijnych zasad pierwszej przyczyny złego, jakie nam brak wytrwania, wyrządza.

Nie łącno może ukazać w krótkich słowach jak dalece, skutek ten jest wpływem nie innej, a wyłącznie téj tylko przyczyny, ale tak jest. Od trzpiotowatych monomanij pana Jerzego do tego wniosku ostatecznego, który wyprowadzam, przestrzeń ogromna, a przecież, przecież!! pan Jerzy jest dziecięciem tych niewidzialnych rodziców, jak my wszyscy.. Że ta niestałość, ta wybuchliwość nigdy dawniej nie piętnowała nas, na to dowody są w dziejach, żeśmy przestając być chrześcianami w duchu, głę-

bi i istocie, przestawali zarazem być ludźmi charakteru, to dla mnie pewnik.

—Trochę paradoxujesz, rzekł mój sąsiad.

—Nic a nic— pomyśl, przypatrz się, a osądzisz sam. Tylko głęboka wiara jakaś dać może człowiekowi charakter, nie mówię tu wyłącznie o katolicyzmie, choć dla mnie on stoi na czele, ale w ogólności o silném przekonaniu religijném. Ludzie wielcy, potężni wolą co życiem całém kieruje do jednego celu, wszyscy mieli wiarę. Narody silne, nią się odznaczały, z utratą, z osłabieniem nawet zasad religijnych charakter indywidualny ulega téj zmianie, której maluczką i niewiele znaczącą próbkę na panu Jerzym widziemy.

Zamilkliśmy oba, spoglądając z jakim zapamięłaniem oddawał się grze ten, który nas na tę rozprawę naprowadził.

—Nie zakładałbym się, szepnął mi przyjaciel, żeby porzuciwszy fabrykę sukienną, Jerzy nie oddał się rokoszom preferansa i marzeniom próżnowania. Z jego krótko trwającą gorączką łatwo przewidzieć, że nie wiele sukna i kołder

wyrobi, a pierwszy billans, który mu małą stratę lub nie ten jaki sobie zakładał zysk pokaże, będzie ostatnią sukienni godziną.

Nim się zupełnie zrujnuje, przejdzie jeszcze przez cukrownie, płodozmian, merynosy, niemca agronoma, handel gdański i kto wie co? może na ostatku ruszy się sprzedawszy majątki na spekulacje do Odessy?—może pocznie pisać, może będzie podróżować? może wdzieje mundur i przypasze szablę?

Z nim za nic bym nie ręczył, nawet za kapucyńską brodę, a jeżeli tę zapuści, a uwinie się z nowicjatem i klamka zapadnie, nie wiem, co pocznie nie mogąc już wyjść z za furty!! Wielkie zaprawdę nieszczęście niestałość taka, bo któż przewidzieć może, do czego ona doprowadzi. Wolałbym już upartego, jest nadzieja że gdzieś dojdzie, choćby głowę o mur miał roztrzaskać.



VII.

Paſiwoda i Zawasidroga.

.II/

תורת המוסר : ו תורת המוסר

WIELKI ten naród gapiów, o który się co chwila ociierać musimy, rozsypany dziś zarówno z żydami i cyganami po całej kuli ziemskiej, nie wątpliwie pochodzić musi od dzieci Lota, którego żona jak wiadomo zagapiła się na palącą Sodomę, mimo najwyraźniejszego zakazu — potomkowie też jej gapią się, gdy potrzeba uciekać, gapią gdy działać potrzeba, gapią gdzie ich nie proszą, ze swoją i cudzą szkodą *e sempre* gapią. Gapiowstwo jest charakterem ich, cechą, klejmem, który natura wypaliła im na czole od urodzenia. Wielkie to plemie gapiów, dzieli się na mnóstwo pokoleń, rodzajów i odmian.

Do gapiów zdaleka należą także poeci, którzy się gapią na ideały nie widząc nigdy rze-

czywistości, to klasa pierwsza, to *gapie olbrzymy*.

Tu także, ale nieco niżej położym artystów zwłaszcza tych, co życie całe rojąc, nic nie robią, odkładając czyn na jutro.

Tu jeszcze zaliczym kobiety szukające idealnej miłości i heroicznego przywiązania; ludzi zaprzędanych wyłącznie jakiejś teorii i jednostronnie zagapionych całe życie; tu przyłączym i tych, co zawsze rachują na przyszłość, nie umiejąc nogi postawić w teraźniejszości, tu.. ale *numerus est infinitus*, jest tego jak piasku w morzu. Potrzeba by w pomoc wezwać jaką formułkę systematyczną, aby w jej kluby ująć tę całą różnorodność i w ramach jej pomieścić gapiografią całą.

Ponieważ według nas wszystko się dzielić musi tetratomicznie, zatem i *gapie* także czworako się nam rozklasyfikować powinny.

I tak; naprzód—*Simpliciter* *gapie*, ale w swoim rodzaju olbrzymi, na przykład ten poczciwy Lafontaine; ludzie zaprzątynieni zawsze jakimś swęj myśli pożarem tak dalece, że nie wiedzą,

co się z niemi dzieje. Wyżej wymieniony dostojny Lafontaine, nie mógł z pewnością powiedzieć czy był żonaty, i z wielką rozkoszą dowiedział się od ludzi, że miał osiemnastoletniego syna. To dowodzi, że gapiostwo nie staje na zawadzie genjuszowi i łatwo się z nim kombinuje— są to pierwiastki jakoś ku sobie skłonne.

Powtóre— Gapie w sobie zawarci, sobą żyjący, egoiści gapie, tudzież ci co zawsze z *Ja* wychodzą, w *Ja* patrzą i wszystko niēm mierzą.

Potrzebie; gapie czynni, którzy nie ustannie cisną się do działania, ruszają, mieszają do wszystkiego, wadzą wszędzie, nic nie robią, ale nie zrażeni nie powodzeniem, gotowi są zawsze na nowe przedsięwzięcia. Ich czynności cechą, że to tylko potrzeba ruchu, bez wiedzy środków, bez celu pojęcia. Robią byle robić, ale co? ale jak? ale dla czego?— o to im bynajmniej nie chodzi.

Poczwarte— gapie głupcy, w kontemplacji żywota ludzkiego żyjący, chociaż nigdy nie dójdą, co w niem alfą, a co omegą. Szczęśliwi! najszczęśliwsi! Wystawmy sobie kogoś coby kil-

kadziesiąt lat z uśmiechem na ustach mógł patrzeć na swawolne ruchy marjonetek, lub na jednostajny ruch wahadła. Tak właśnie gapie prawdziwie *katexochen* gapie, patrzą na świat otaczający. Życie jest dla nich zagadką niepojętą, ale arcy ciekawą i bardzo zabawną.

W czterech powyższych kategorjach mieści się cała gapiów rozmaitość.

W szczęśliwych czasach młodości, o czém to człowiek nie marzy!— myśleliśmy skreślić całą gapiografią, ale dziś, już ani myśleć o tém, zostały tylko ułamki téj wielkiej księgi i szczerý żal, że nie przysłała do skutku, potomność wiele na tém straciła! Ażeby ją w żalu utulić postanowiliśmy dać próbkę z gapiografij maleńką, może kto myśl naszą pochwyci, i napisze, księgę, której brak przy pomnażającej się codzien liczbie gapiów, tak mocno czuć się daje. Godzien będzie medalu, którego mu z ochotą ustępujemy.

Ale otóż wyjątek: z oddziału trzeciego, podziału trzeciego, postać piérwsza— *Paliwoda*.

Wybornie dobraném imieniem tém *vox populi* nazywa człowieka, który nie pojmuje prze-

szkód, nie zna niepodobieństw, i rzuca się bez zastanowienia na to co mu pierwsza lepsza myśl wskaże, gotów *wodę palić*.

Paliwoda jak najmniej rozumuje i przewiduje *cel*; środki czerpie w natchnieniu nie w rozwadze, leci zapamiętale, gorąco, szybko, potrąca, wali, rozbija zawady, a co najśliczniejsza, nigdy i niczém się nie zraża. Gdyby mu paląc wodę dwadzieścia razy świeca zgasała, dwudziesty pierwszy raz będzie próbował. Oto jest z bardzo autentycznych dokumentów, biografja jednego z paliwodów, przodka podobno wszystkich terażniejszych, a rodem Mazura.

Paliwodowie zażywają, pisze mój autor w manuskrypcie, herbu Zadora alias płomieńczyk, którym się od niepamiętnych czasów pieczętować zwykli. Filip Paliwoda, protoplasta rodu najznajomszy, urodził się w roku 1575, wychował u Jezuitów w Brunsberdze, a pierwszy raz ukazał na polu rycerskiem około roku 1600. Trudno wyliczać jego czyny wojackie, tyle ich tam było. Cuda waleczności, które dokazywał, mogły uchodzić wybornie za dziwne

głupstwa, tak dalece do nich były podobne; i dziś nie podobna już rozróżniać, co w nich szaleńcem, a co rozważnym było męstwem. Dwa razy w Inflanciech wzięty został w niewolę, bo zapędziwszy się dał otoczyć nieprzyjacielowi i odciąć od swoich; trzeci raz poszedł zamyślny do obozu nie daleko rozłożonego i sam wpadł dobrowolnie w ręce ciurów. Dwadzieścia i osiem razy wyzywany był na rękę i pokiereszowany tyleż razy, gdyż w pojedyńkowym boju rzucał się jak lew nie osłaniając wcale i żadnego użyć nie umiejac fortelu. Żadna uczta nie skończyła się, żeby kogo acz bez myśli i intencji językiem lub ręką nie dotknął.

Obrażony nie darował łatwo, porywał się zapalczywy jak siarka, ale za pierwszym ukazaniem chęci ku zgodzie, po przespanej nocy, rękę z całego serca podawał. W przyjaźni był serdeczny, ale niestały, wylany, ale na krótko i obcesowo; w nieprzyjaźniach zajadły, mściwy, ale nie uparty. Słowem najlepszy człowiek, a czegoś mu przecie brakło — na to się wszyscy zgadzali.

Odbywszy nie jedną rycerską wyprawę, nahulawszy się i nakrzyczawszy w kole związkowem, wrócił do domu, czując potrzebę spoczynku, *otium* poczynąło mu smakować. Na pierwszym wstępie na próg domu, poważnił się z bratem, bo mu się przywidziało, że pod niebytność jego, brat tam coś sobie z ojcowizny przyswoił nad słusność.— Tuż process między rodzonemi; ale przyjaciele wspólnie zachęcili do zgody, sprowadzili, zbliżyli, i nareszcie podano sobie dłonie.

Tymczasem Filip już się *stante pede*, a nawet nie *stante* jeszcze, bo jedną nogą w strzemieniu zakochał, a po staremu mówiąc *zaszłapał*, w tydzień oświadczył rodzicom, i nie długo czekając ożenił. Pokazało się potem, że we wszystkiem jakoś bardzo szedł pośpiesznego, bo chrzciny pierworodnego przypadły jakoś w pięć miesięcy po weselu. Pierworodnym się to trafia! Prędko jakoś poróżnili się z żoną, Paliwoda porzuciwszy ją do licha, powrócił do rokoszan, którzy sami spełna nie wiedzieli czego chcieli, i z mniemanój Zygmunta III wyrywając

się absolutności szli pod nie mniej absolutne panowanie panów, którzy ich do rokoszu dla prywaty wciągnęli. Paliwoda na czele oddziału z innemi panami bracią, krzyczał zapamiętałe i partyzanckie odbywał wyprawy na miasta i dwory.— Rychło się jednak rozpatrzył skosztowawszy tego chleba, że rokosz był nie wart, i jak do niego przystał, tak od niego odstał przeciętnko, drapiąc do domu zakasawszy poły.

Była to jakoś chwila, w której napłynęli nam z Czech wygnani protestanci, Paliwoda pierwszy jakoś dał się złowić na nowinki reformatarów, przylgnął do predykanta, wyrzekł się natychmiast praojcowskiej wiary i myślał nawet zbór u siebie fundując, sam ministrem zostać.

Nim to jednak nastąpiło rozglądać się począł w reformie, że nie wiele w niej było sensu; zachwiał się, pomyślał, że to sekta nie dobra, rzucił ją, przeszedł do Socynjanów i Arjan, a wyłazłszy już na ten najwyższy szczebel reformy, całkowicie opamiętał, splunął, zawrócił nazad i *retro* do domu na Mazury i z kirchy do kościoła. Pogodzili się nawet z żoną, ale jakoś na

krótko. Paliwoda poszedł nie mogąc dosiedzieć na Tatarów z panem Żółkiewskim, ale osadził konia i sam się otarł nie dobiwszy do Dniestru i chory piechotą machnął do domu. Pomiarkował się, jak powiadał, że Tatarowie strzelają zatrutemi strzałami i na czarach znają, a z trucizną i z djabłami nie miał ochoty mieć do czynienia.

Wracającego do domu w drodze pode Lwowem napadli zbójcy, bronił się im mężnie, nie dał wręście, i ranny zawlókł do blizkiego slacheckiego dworku.

Tu była córka śliczna, Paliwoda zakochać się musiał i o włos nie ożenił zapomniawszy, że ma już jedną, a jedną bardzo dosyć. Na biedę przyjechał ktoś znajomy z ukłonem od Jejmości, a pan Filip uciekać musiał, bo go słachciec obuszek porwawszy omal za honor swój nie przybił. I koń i sakwy pozostały w gościnie, a on dowlókł się jakoś do Lwowa, a że po swém nawróceniu do katolickiej wiary, bardzo był nabożny, wstąpił do Bernardynów. Ci go bardzo przyjęli gościnnie, trzeciego dnia posta-

nowił wyrzec się świata, marności jego i złudzeń i prosił o suknię laika. Szczęściem przełożony mu jój nie dał, pan Filip wyszedł płakać z rozpaczny przed furtę, aż tu kupa go znajomych od wojska wracających spotkała. Z nie-mi więc do winiarni, popili się na zabój, a pod dobrą myśl, ruszyli wyprawą całą na żydowskie miasto, żydów jako sprzymierzeńców Tatarów i przyjaciół Chana, ścinać, wieszać i palić. W samych drzwiach gospody, gdy wychodzą tłumnie, paliwodzie przyciśnięto nogę; zwada i bójka gotowe, a nasz bohater cięty przez łeb, już się z rany nie wyliżał.

Tyle o nim w rękopiśmie. Syn Filipa pierwszego, Filip drugi Paliwoda, cztery razy przechodził na coraz nową wiarę, bił się w kilkunastu spotkaniach, krzyczał na Sejmach, z których dwa zerwał, żenił się trzy razy zawsze dosyć nie fortunnie, a zginął od nieumiejętnie leczonej choroby, którą naówczas *przymiotem* zwano. Śliczny *przymiot!* zaprawdę! Cała procedencja Paliwodów w ten sposób i żyje i nakształt tego umiera aż do naszych czasów!

A teraz posłuchajcie o *Zawalidroge*.

Zawalidrogi stara i dobra familja, noszą w herbie, który się ich imieniem zowie, ogromną kłodę mówi Niesiecki *alias* kloc nie okrzesany w polu czerwonym leżący. Jest to symboliczny wyraz ich charakteru i przeznaczenia. Zawalidroga całe życie wszędzie jest na zawadzie, zawsze zanadto; z najlepszym sercem, z najpoczciwszymi chęciami, czego się tknie to wywróci, uszkodzi, popsuje. Jak Paliwoda cienki być musi smukły, ogorzały, łysieje zawczasu, oczy miewa pospolicie czarne, a ruchy żywe; tak przeciwnie Zawalidroga ociężały, otyły, rumiany, wesół, rad z siebie i pewien, że każdemu jest potrzebny nie odbicie, że wszystkim służy choćby największe przez swą niezręczność popełniał omyłki. Zawalidroga nie ma pamięci, ale za to serce najlepsze, nie wiele rozsądku, ale czułość wygórowaną.

Zawalidroga znajduje się niechybnie wszędzie, gdzie go nie proszą i nie oczekują, opowiada coby powinien zamilczyć, milczy o czém by należało co najrychlej oznajmywać; w koń-

cu ma tę cechę, że siedzi nieskończenie długo i wyjść nie umie. Będzie ziewał, drzéwał, stękał, milczał, ale za czapkę nie weźmie aż mu przypomnisz; ażeby się go pozbyć z domu musisz sam z nim wyjechać.— Miał bogatego stryja, po którym dziedziczył, ten zwykł był sypiać parę godzin po obiedzie, pod tym przynajmniej pozorem nikogo do niego nie wpuszczano. Wiedział o tém doskonale pan Innocenty, ale się zagapił, przyjechawszy do niego wpadł do sypialni i nie wiem co tam zobaczywszy, skonfundowany trochę się cofnął.— U stryja potem tak stracił łaskę, że stary wszystko, co miał mu zostawić, rozpiśał na szpitalu.

U państwa Z.. prosto z Warszawy jadąc nocuje, i świadkiem jest przyjazdu kupca, który targuje kilkoletnią wełnę; widzi to i milczy. Dopiero po zawarciu kontraktu i odjeździe handlarza, oznajmuje, że wełna ogromnie poszła w górę. Można miarkować, jak mu za tę wiadomość byli wdzięczni. U sąsiadki niezmiernie chorąg mówi o balach gotujących się na zapusty, u gotujących się na bal, rozwlekle opowia-

da szczegóły śmierci sąsiadki, przy ciągnącym bank Półkownika R.. zwykł zawsze przywozić, bez złej myśli anegdota o szulerach i zręcznych ich figielkach. Tak zawsze tak wszędzie. W dzień swojego wesela założył się, że po drabinie, której połowy szczebli brakło wlezie na wierzch lamusu, spadł z wysoka, nogę złamał, a panna obawiając się by nie okulał za kogo innego poszła. Umarł nawet w wigilię odebrania wiadomości o ogromnej sukcesji, która na niego spadła.

Zawalidroga, który żyje zawsze w liczonym swém potomstwie rozsypanem po świecie, towarzyszy niechybnie kochankom usuwającym się w zaciszny kąt dla rozmowy lub odleglejsze stanowisko na przechadzce; na wielkiem polowaniu na grubego zwierza strzela przed puszczeniem psów do sojki siedzącej na drzewie; u lubiących samotność lub pracę bawi dni całe, tygodnie, miesiące pod pozorem rozerwania. Słowem jest wszędzie, gdzieby być nie powinien, a robi czegoby czynić nie należało. Pewien gatunek Zawalidrogów przywiązuje się jak owad

do drzew, jak choroba nie uleczona, chroniczna, do wybranych ludzi i prześladowe ich bez miłosierdzia, każdy ma lub miał, albo mieć musi swojego Zawalidroge. Po miastach żyje ich najwięcej podobno, na wsi mniej się trafiają, ale to pewna, że jak muchy znajdują się wszędzie, każdy klimat im służy, żadne powietrze nie szkodzi. Z muchami też i komarami to wspólnego mają, że niczem ich nie odpędzisz.

Zawalidroga bywa różnych rodzajów; milczący, gaduła, dowcipny lub rozpaczający, szukający rady albo udzielający jej, gdy go o to nie proszą.

Zwykle powtarzać się lubi; a kto go posłuchał godzin kilka, wie już co prawi całe życie. Czasem jest to machinka pytająca, która nic nie robi tylko bada, ale w sposób tak utrudzający, tak głupawy, tak niecierpliwiący, że trzeba anielskiej cierpliwości, by dotrzeć do końca, to jest do czegoś przerywającego pytania, bo inaczej ciągnęłyby się, do dnia sądu ostatecznego.

Na nieszczęście Zawalidroga należący do stworzeń pasorzytów, tak potrzebuje zawsze

kogoś męczyć i być z kimś, że chwili nie zmarnuje w życiu sam na sam. Z biedy spada na swoich domowych, ale ci nie wiele się troszcząc uciekają od niego; obcy najrzawszy go zdaleka wymyślają co najpilniejszy interes by go uniknąć. Do jadących zwykł się przysiądać, w kłótniach pośredniczyć, zakochanych swatać, uciśnionych protegować, a trafia zawsze do domu na postny obiad, lub gdy herbatę wynoszą... A! i pisać o nim straszno!



VIII.

Sobieradzka.

Może to być wielką prawdą, że kobieta jest istotą z natury swojej słabą, przynajmniej wieki ten oklepany pewnik tyle razy powtórzyły, że nareście nikt mu się już sprzeciwić nie śmie; ale—u nas, doprawdy, kto wie czy nie mocniejsze są jeszcze kobiety od mężczyzn. Kilku to już moralistów zanotowało, że w ogólności, co się tycze wykształcenia umysłowego, kobiety stoją u nas wyżej od drugiej węższej połowy rodzaju ludzkiego, i tak jest w istocie, a ja bym dodał, że wolą i charakterem są od niej daleko wyższe. Pomimo to przecie zawsze jest to słabsza połowa rodzaju ludzkiego, i darmo się już sprzeczać,—gdy dwóch powie żeś pijany, kładź się spać.

Przywiodę tu jeden tylko ciekawy przykład jeden z tysiąca—bo by mi ich nie brakło, gdyby chodziło o liczbę, *ab uno disce omnes*.

Panna Katarzyna Sobieradzka była córką majątnych ludzi, starój szlachty wołyńskiej (Sobieradzcy po całej Polsce są rozsiedleni, ale i na Wołyniu ich nie brak). Rodzicom jęj choć się dzwigali jak mogli, nie bardzo się wiodło, wioska była nie zła, ale dzieci kilkanaścioro, a długów i interessów nie brakło. Przytém starcy Sobieradzcy jakoś się charakterami nie dobrali, i Jejmość i Jegomość ukuci byli z twarděj stali, tak że ani jedno ani drugie w niczém nie ustępowało na włos, i żyli drąc koty od rana do nocy w bezustanněj wojnie.—Dom w Sobieradziu prawdziwém był piekłem, a dzieciom patrzącym na to w życia początkach, nie bardzo życie zasmakować mogło.—Chowało się to dość zaniedbane, na łasce Bożej, rosnać i wyrabiając się własnemi siłami. Starania o nich wielkiego nie było, synowie ledwie się na nogi podnieśli, zapięci w mundurzyki szli do piérwszėj lepszėj szkółki, córki z rąk nianiek prawie

pechano na pensyjkę do miasteczka. Ojciec tak był zaprzątniony swojemi interessami, że o potomstwie nie myślał, w czasie wakacyj tylko dając starszym swoim przepisywać prośby i noty processowe, a matka choć z sercem macierzyńskim, ale ostro się z niemi obchodziła. • Koniec końcem jakoś ta gromadka nie wiele pielęgowana, poszła w świat jako tako, dosyć szczęśliwie. Synowie poumieszczali się w wojsku, po kancelarjach, córek dwie ruszyło za mąż niespodzianie, a że panna Katarzyna trzecią była z rzędu, już na nią przychodziła kolej.

Ale ona po matce i ojcu wzięwszy charakter nieugięty, jeszcze maleńką dała sobie słowo, że za mąż nie pójdzie, i gdy matka poczęła ją naglić o determinację, bo się tam już ktoś trafiał— odpowiedziała stanowczo— Ja za mąż iść nie myślę.

—A cóż myślisz?

—Wolę być sama..

—Ale gdzież się podziejesz?

—Czy to świata mało!

—Oszalała Kasia!

Kasia zamilkła; a było to wcale naówczas ładne dziecko piętnastoletnie, i bodaj czy nie perła rodziny,—oczki czarne błyszczące, włos krucz, brewki gdyby pęzlem zakręśłone, rumiane liczko, ząbki drobne i śliczne, nóżka i rączka królewska, słowem co się zowie piękna panienka. Ona też najmniej zadała rodzicom kłopotu, bo jej wychowanie poszło łatwo, uczyła się wybornie, pensją przebiegła w lat parę, grała nie źle na rozbitym fortepianiku, rozumiała i odezwać się mogła po francuzku, a tańcowała jak nikt w okolicy. Matka rachowała, że i twarz i talenta dadzą jej dobrego zięcia, aż tu nagle zjawiono się postanowienie, któreśmy słyszeli nie wychodzenia nigdy za mąż. Myślała Jejmość, że to sobie zwyczajnie jakiś kaprys dziewiczy, nie wiedziała bowiem, że jej Kasia, w dziesiątym roku jeszcze napatrzywszy się kłótni rodzicielskich codziennych i kłopotów jakie mieli z dziećmi, powiedziała sobie z góry—nie pójdę za mąż? Bardzo to było niedojrzałe postanowienie, ale rosnąc z Kasią razem nabrało siły i

wzmocniło się zapatrywaniem na świat, już z téj strony, na której wcześniej stanęła.

Starający się o rękę panny Katarzyny za pierwszym posunięciem się ku niej dostał najwyraźniejszego i nic w bawełnę nie obwijanego od kosza.—Bardzo pana przepraszam, odpowiedziała mu śmiało panienka, ale ja nie chcę i nie pójdę za mąż.

Zdawało się konkurentowi, że powinien wybuchnąć z afektami, by pannę rozczulić, ale Kasia odskoczyła, od klękającego z ostrożnością o czarne swe opięte ubranie kawalera, i na wyznanie miłości, bardzo zimno spytała go— To co?

—Ale ja panię kocham!

—To co? spytała Kasia.

—Pani będziesz tak okrutną!!

—A chciałżebyś pan żebym się dla niego poświęcała, kiedy ja ani go kocham, ani myślę się za mąż wybierać!

Kawaler, który nie pojmował jak można było go nie kochać, zaperzył się, wstał, otrzepał z pyłu kolana, udał rozpacz i pojechał. Matka załamała ręce, bo to była partja dosko-

nała, ojciec wpadł z furją na biedną Kasię, ale ona z uszanowaniem, a stale odpowiedziała im—
Ja nie pójdę za mąż!

—Oszalała! powtarzała matka.

—Dla czego? spytał ojciec.

—Dla tego kochany ojcze, odezwiała się Kasia, że nie widzę w małżeństwie szczęścia nigdzie, nie stworzoną jestem do ulegania i za niczyje szczęście odpowiadać nie chcę. Ojciec wielkie oczy otworzył.

—Patrzcie jak rozumuje! mruczał, ledwie to od ziemi odrosło, a już ma swoją wolę!

Nie podobna było zawrócić starającego się Jegomości, który nadzwyczajnie czuł się obrażonym, że panna go kochać nie chciała, i śmiała mu to w żywe powiedzieć oczy, dali więc rodzice pokój na ten raz Kasi, a ona po swojemu, zajęła się domem jak wprzód.

Może też pomiarkowali się, że ciężko by im było obejść się bez niej, tak im była w domu potrzebną; chwilki to nigdy nie spróżnowało, nie posiedziało momentu, a przy pracy tak się jej wesoły humor trzymał, że po piosence słysząc

ją było wszędzie w domu. Odezwała się śpiewka, mówiono na pewno— to Kasia! Wszyscy się nią posługiwali, ojciec, matka, siostry, bracia, słudzy nawet i wszyscy ją lubili, choć nikomu przez rodziców nie szczędziła prawdy.

Proszona czy nie, mówiła śmiało w oczy każdemu co myślała, a broniąc nieobecnych gorąco, równie też żwawo wypowiadała im choćby gorzką prawdę.

Tymczasem rok za rokiem reszta córek wyszła za mąż, jak się udało, a Kasia, która swoich starających się odsyłała do sióstr, została sama jedna przy rodzicach i braci. Ojciec powoli się rujnował, przyszłość coraz stawała czarniejszą, wioska wisiała na włosku, bo ją już z publicznego targu sprzedawać miano; gdy matka Kasi zagryzłszy się ciągłym niepokojem, umarła.

Wkrótce potém ojciec z rozpaczny jak mówiono, choć kąta prawie nie miał, choć obsadzony rodziną, choć siwy i niedołęga, wynalazł sobie jakąś ubogą panienkę i ożenił się. Przybyła macocha w wieku prawie Kasi; uj-

rzawszy ją w domu i przewidując w niej czujnego nieprzyjaciela, postanowiła ją wyprawić za mąż czy na służbę, byle się jej pozbyć. Ale z Kasią nie było łatwo, znosiła zimno, co na nią padło, a stała murem.

Gdy się zabrało na łyzy, poszła się wypłakać do kątki, potem oczy wymyła zimną wodą i pogodna, spokojna wracała do pokoju i roboty. Rozmaite prześladowania wymyślała młoda macocha, najcięższemi trapiła posługami, łajała, gniewała się, obrażała lada czem, nasadzała ojca na córkę, myśląc, że dokuczy jej tyle, że się w końcu za pierwszego lepszego wyniesie lub uciecze z domu— ale nie dała jej rady. Kasia przetrwała burze, łajania, prześladowanie, niedostatek i ani myślała się z domu rodzicielskiego wynosić. Zawsze ładna, miała konkurentów jeszcze, ale się wszystkich pozbywała jednakowo— Ja nie myślę iść za mąż.

Ojca to w końcu znudziło, bo jak zwykle starzy mężowie ulegał żonie zupełnie, naposiadł się więc, żeby córkę wydać koniecznie.

—Cóż to ty myślisz sobie, zawołał dowie-

dziawszy się o ostatnim harbuzie, a ja nie jestem nieśmiertelny, a co będzie, gdy pozostaniesz na łasce macochy i braci?

—Wówczas pomyślę jak sobie życie urządzić— odpowiedziało dziewczę.

—Pamiętaj, że grosza nie masz!

—Alboż to ubożsi jeszcze nie żyją, będę pracować!

Rozgniewawszy się, napiorunowawszy stary Sobieradzki plunął i dał pokój; Kasia poszła do swojej izdebki na strychu, bo ją tam aż wypędzono po przybyciu macochy, popłakała, pomodliła się, łzy otarła i poczęła śpiewać.

A macosze te śpiewy dokuczały jak wyrzuty, wołałyby była przekleństwa! często posyłała służącą, żeby Kasi zakazać piosenki, i naówczas posłuszne dziewczę uśmiechając się milkło.

Sposobu na nią nie było i już wielką konspiracją rozpoczynała młoda pani ze swoim bratem i siostrą, gdy stary mąż powrócił w nocy zgryziony administracją, którą mu zagrozono, i uderzony apoplexją nagle życie skończył. Wypadek ten najokropniejsze miał dla wszystkich

skutki— widziano, że majątek cudem się tylko trzymał jeszcze w ręku starego, że go po śmierci natychmiast chwycą wierzyciele, rwał więc kto co mógł jak najspieszniej, i nie myśląc o nieboszczyku, który jeszcze nie zastygł, wdowa sobie, synowie sobie pakowali, darli, chwyтали, nieśli, zabierali z rozdzierającą serce chciwością.

U łóżka umarłego nie było nikogo prócz Kasi, która powieki zamknawszy staremu, dała rabować wszystkim, a zajmowała się pogrzebem. — Pozwoliła brać każdemu, co kto chciał, nawet ze swojej najuboższej izdebki, i suchém okiem gniewu pełném patrząc na ten rabunek, szyła ojcu poduszkę na wieczny spoczynek.

Ubogi, pusty był pogrzeb starca, za którym z kilkanaściorga, kilkoro tylko szło dzieci; kiedy wrócili do domu pustego, Kasia obejrzawszy się, nic w nim prawie już nie znalazła; a po macosze został tylko stary słoik od pomady i rozbita flaszeczka wódki kolońskiej.

W ślad za pogrzebem najechali urzędnicy wprowadzający już nowego administratora, a Kasi zapowiedziano, żeby sobie kąta szukała.

Poszła biędna na strych, otworzyła kufereczek, obejrzała rzeczy i razem cały zebrawszy majątek, ledwie starczyło na węzełek leciutki, a w kieszeni miała tylko pięć złotych. Nie strwożyła się jednak wcale, upakowała żwawo, a nazajutrz rano wyszła na wieś pieszo tęskna, nie pewna przyszłości, ale w Bogu zupełnie o nią spokojna.

Miała przyjaciół na wiosce, bo tam nikt nie poradził, nie leczył, nie pomógł, nie dał dobrego słowa prócz niej, ludzie więc gromadką zebrali się ją żegnać. A i jej spójrzawszy na stare domostwo, w którem się urodziła, wychowała, wyrosła łzą zasłły oczy czarne.

—Któż mnie z was zawiezie do brata? spytała ludzi— może ty stary Iwanie?

—A dobrze panienczko, czemu nie, wejdźcie tylko do chaty, konie pokarmię i ruszemy gdzie każecie; ale może do dworu pójść po rzeczy? Kasia tęskno się uśmiechając pokazała mu swoje zawiniątko— Ot moje rzeczy..

—A więc?

—A więc nie mam!

Pojechali tedy naprzód do najstarszego brata, który ożeniwszy się z wdową na Polesiu nie młodą już kobietą, a bezdzietną, miał wcale nie złą częśćkę we wsi i uchodził za najbogatszego z rodzeństwa. Ale też od czasu ożenienia swego tak był zerwał z familją, że go nikt nie widziały oczy; bo go Jejmość bojąca się najazdu siostr i braci, odciągała jak mogła od swoich. Kiedy przed ganek porządnego dworku zaszedł prosty wóz, którym przyjechała Kasia, zabiło jęj może serce, ale tego po sobie nie pokazała i śmiało weszła do pokoju— Brata jęj nie było w domu, w kilka minut weszła z dość kwaśną miną sama pani. Kasia jęj prawie nie знаła; ona Kasi udała, że nie poznaje.

—Wicie kochana bratowo, rzekła śmiało, że nie mam kątką, możebym na co mogła się wam przydać, choćby na klucznicę.. przyjechałam was prosić nie o daremny dach i chleb, ale o robotę...

Grzecznie ale dosyć niechętnie przyjęła ją gospodyni, wybęknęła słów kilka, ruszyła ramionami, trzasnęła drzwiami i wyszła. Kasia

się nie uraziła, nie pierwszyczna to była dla niej, zniesiono jej zawiniąteczko, naznaczono zimną izdebkę na tyle i częstowano jak natręta,—tyle tylko że nie wypędzili. Brat już tak był o niej zapomniiał, że zobaczywszy ją, nie uczuł politowania nad sierotą, ale zląkł się tylko żony i wymówek, które mu za to czynić miała.

Jakoż zmyła mu głowę porządnie, i byłby Kasię wypędził natychmiast, ale go sama wstrzymała.

—Czekaj aspan, rzekła, ja jej tak dokuczę, że sama się wyniesie.. nie potrzeba będzie jej wyganiać.

Uwzięła się bratowa, ale trafiła kosa na kamień, Kasia jej gniewy, wymysły, żądania, pracą i powolnością tak umiała przełamywać, że po tygodniu już nie było mowy o prześladowaniu.

—A wiesz aspan co! mruknęła biorąc się pod boki bratowa, to zdaje się dobra dziewczyna ta twoja Kaśka! Służy mi lepiej od klucznicy dalipan i nie wymyśla; pokorne to, pracowite!

Tylko że to ją utrzymać będzie potrzeba na siostrzyńskiej stopie! ale mi się zdała w domu!

Jedno tylko miała jej do zarzucenia Jejmość stara i okrutnie brzydka, że Kasia była ładna, iżbyt przy niej gospodyni wydawała się szpetną babą; ale zresztą tak ją za serce ujęła, że po roku obawiała się już bratowa, by jej nie stracić. Życie tu nie było rajem, ale po domowem jakiego w ostatnich czasach doświadczyła Katarzyna, tu się jej zdawało tak dobrze! Stariej nie łatwo było dogodzić, chodził cały dom na palcach, jedna Kasia umiała trafić w humor. Co dziwniej nie pochlebiała wcale, nie udawała uwielbienia i poszanowania; ale tak była naturalnie wesołą, nie zachmurzoną, a tak przytém niezmordowanie pracowitą, że Jejmość ząkosztowawszy swobody, którą z nią zyskała, nie chciała się już z nią rostać.

Kasia władała wszystkiem, rządziła domem, miała w swém rozporządzeniu całe kobiece gospodarstwo, a że dla siebie nigdy się o nic nie upomniwała, tańszą była od klucznicy. Sukienki jej, bielizna i to co miała, cudem się jakoś

trzymało, przerabiało i trwało, a choć nie strojna, panna Katarzyna wstydu nie robiła domowi. Brat posądzał żonę, że ją oporządza, Jejmość podejrzewała męża, że ją tajemnie wspomaga, a w istocie nikt nic nie dawał na zawiązanie palca. Już sobie była wpadłszy w łaski bratowej zapewniła przytułek biedna dziewczyna i śpiewała znowu w swojej izdebce, w której stary kanarek towarzystwa jej dotrzymywał, gdy nie spodzianie brat chorować począł, wpadł w suchoty i choć najtroskliwiej pielęgnowany, po roku cierpienia, umarł.

Dzieci nie mieli, została wdowa z Kasią same jedne w pustym dworze.— Gdzieś to było przeznaczenie moje, odezwała się stara po dwóch miesiącach żałoby, żebym trzeci raz za mąż poszła!

Kasia otworzyła czarne oczy pełne podziwu.

—A tak, dodała smutnie wdowa, co sądzono tego człowiek nie uniknie, kiedy mi to nawet cyganka przepowiadała!

Spełniła się cygańska przepowiednia, nieste-

ty, jakiś dawny zbrakowany konkurent, dobrze zakonserwowany jeszcze i nie źle wyglądający, zgłosił się o rękę dziedziczki, nie długo się namysławiając, westchnęła i dozwoliła mu mieć nadzieję, byleby się choć o cztery konie do koczka postarał.

—To dobry człowiek, odezwiała się do Kasi, gdy odjechał, i nie pijak choć na niego ludzie gadają może.. ale to nie prawdę! A przytém to już taki sądzono!

Poszła wdowa za mąż, Kasia została przy niej, ale nie długo postrzegła się, że Jegomość cichaczem czułe wejrzenia ku niej rzucać począł.— Za piérwszém słówkiem odcięła mu się ostro, ale widząc, że uparty, pod pozorem zażenowania do familji, mimo nalegań dawniej swój bratowej by została, ruszyła do siostry.

Siostra starsza poszła była za Rządzcę znacznego majątku i mieszkała z nim o mil dzieśnięć, w zapadłym Polesiu. Mąż jej dobre człeczysko ale hulaka nie bardzo domu pilnował, a że mu się lepiej wiodło po biedzie, której za-

znał za młodu, aż nadto puszczał sobie cugli. Żyli państwo oboje bez jutra, choć na jutro czekało czworo dzieci. Kasia przyjechała do nich właśnie jakoś na suty bal, który w zapusty dawano dla sąsiedztwa, bo pan Rządzca niezmiernie się wysoko nosił i chciał koniecznie stać na równi z podpankami, co go otaczali— a rzecz nie była trudna. Kwaśno więc ją i tu przyjęto zajeżdżającą lichym wózkiem i ubraną bardzo skromnie; zwłaszcza, że sam pan często gęsto rozповідаł o familji swój żony, jako o bardzo znakomitój i możnej rodzinie. Zapchnięto Kasię do kąta prosząc, żeby się nie pokazywała, a siostra, która już była od męża przejęła dumę, wystrojona i obwieszona łańcuchami, ledwie ją raczyła przywitać. W domu puszczano odgłos, że to daleka tylko krewna powinowatych.. lub coś podobnego, ale najmniejszej rzeczy nie siostra, a Kasia śmiejąc się dała słowo, że z pokrewieństwem się nie wyda.

—Słuchaj no moja Julko, odezwała się nazajutrz do siostry, kiedyście tacy śmieszni, że się ubogich wstydzicie, róbcie jak wam lepiej,

ale ot dajcie mi czém się zająć w domu, jakie zatrudnienie bylebym nie próżnowała.

Julka miała dwie córeczki, Kasia wzięła je pod swoją opiekę i jakoś prędko przypomniawszy czego się uczyła na pensji, poczęła wyłącznie niemi się zajmować. Doskonale się to trafiało i Rządzcę, który dla pokazania się pragnął mieć guwernantkę i Julce, która wołała bawić się niż dzieci pilnować. A córeczki tak się przywiązały do téj, której ciocią pod najsroższą karą nazywać im nie było wolno, że dla nich jak z nieba spadła. Kasia po troszę przypomniwała z xiązek czego już trochę zapomniwała w biedzie, a że dziewczeczki były pojętne, a Jegomość na wychowanie nie żałował, bo się niém musiał chwalić, szło tedy jak zplątka.

Skarb to był w domu taka siostra; i wkrótce się też na nią wszyscy poznali, uczuwszy jak z nią dobrze i spokojnie było, jak połagodniały i wyludniały dziewczeczki, a przyuczać się zaczęły. Zyskała powierzchowność ich nawet, aż poładniały pod tą nową serdeczną opieką.

Nie było też źle i pannie Katarzynie, choć jej się do pokrewieństwa przyznawać nie dozwolono, zaledwie daleką jakąś mianując kuzynką; i byłaby tu siedziała, gdyby nie los, co ją na próby zda się pędzał z kąta do kąta, zrywając dachy domostw, pod które się schroniła. W rok po przybyciu jej do domu Julji, Rządzca ów, który tak szumiał i już na pana patrzył, nagle padł z wysokości najniespodziewaniój. Wykryły się jakieś nadużycia w majątku, zaszły skargi, pokazały rejestra, zjechali rachmistrze, płacz i lament rozległy we dworze, a ostatecznie w kasie zabrakło kilkunastu tysięcy rubli!

Sceny najprzykrzejsze nastąpiły nagle po balikach i podwieczorkach, niedostatek bez przejścia, bez stopniowania zajął miejsce zbytku. Julja z mężem po zabraniu wszystkiego co mieli w remanentach, musiała na nędznym wózku ruszyć do miasteczka, gdzie ex-Rządzca rozpoczął o zebraniu prawie nieskończony process przeciw dawnemu swemu pryncypałowi. Kasia przywykła do nieszczęścia, przywiązaawszy się do dzieci jej powierzonych, pojechała z niemi; ale

tu państwo szwagrowstwo nie mogli już ani jęj mieścić, ani utrzymać, potrzeba było szukać znowu kąta i chleba.

Kilkaset złotych, które miała od Julji Kasia oddać musiała siostrze widząc ją w ubóstwie i nagłej potrzebie, nie zostało jęj nic nad stary zegarek matki jeszcze, parę kółczyków koralo-
wych i srebrną tabakierkę. Zawinawszy to w chusteczkę poszła rankiem do kościoła, pomodliła się i udała się do złotników by sprzedać ostatek i nająć gdzie izdebkę.

Szczęściem dla niej u złotnika właśnie spotkała się z dawnym znajomym, widywanym u brata, zamożnym obywatelem, który dla słabości żony mieszkał od roku w miasteczku, kto inny byłby się przez fałszywy wstyd taił z położeniem i celem nawet przyjsia, ale panna Katarzyna śmiało mu opowiedziawszy swe dzieje, użyła go zaraz za pośrednika do sprzedaży.

—Daj pani temu pokój, rzekł jęj stary znajomy, schowaj te pamiątki i chodźmy do mnie, może co innego uradziemy.

Dała się namówić i poszli— moja żona chorą, w domu nas dwoje, przenieś się pani do nas, rzekł w drodze po namyśle spotkany obywatel, pomożesz nam pani, a spokojny kątek mieć będziesz.

Złożyło się to tak dziwnie jakoś i wyśmienicie, że gdyby panna Katarzyna sama sobie wybierała i obmyślała schronienie nie mogła by na lepsze trafić. Sam pan Jan był najpocziwszy człowiek, trochę tylko hulaka, żona dobra kobiecina, łagodna, zmęczona chorobą i potrzebująca kogoś komu by się ciągle skarżyć mogła. Rada była niezmiernie z przybycia towarzyszek, z pomocy jaką ona jój była w domu, a pan Jan z porządku, który mu zaraz zaprowadziła. Poszło tedy znowu jak z płatka, dni ubiegały spokojnie, w dostatku, a Kasia otrzymała nawet pozwolenie wzięcia do siebie jednej ze swych siostrzeniczek.

—Daję ja sobie jakoś radę na świecie, rzekła w duchu, to dam i temu biedactwu, gdzie jest na jedno, starczy na dwoje! Jakoś to będzie!

Julja chętnie się pozbyła córeczki, a państwu Janowstwu szczebiotka w domu ich pustym, bardzo była miłym przybyszem. W ciągu tych wszystkich przygód piękna Kasia, znacznie powoli starzec poczęła, ale jeszcze, jeszcze nawet starą panną nazwać się nie mogła, bo nie doszła trzydziestki, a w pracowitem i pocziwém życiu zatrzymała młodość dłużej niż inne rówieśnice.

Nie było to już świeże dziewczątko, ale panna piękna jeszcze, na którą kto spójrzył raz, odwrócił się pewnie, żeby ją zobaczyć jeszcze, tak było coś miłego, nęcącego w jej poważnej twarzyczce i śmiałym, a pogodnym wzroku. Snuło się koło niej wielu, probowali szczęścia i młodzi i starzy, ale im wszystkim zamykała usta otwartem wyznaniem.

—Za mąż iść nie myślę.

—No? a pokochać się?

—Dajcie mi pokój, mam i bez tego kłopotu z życiem - dosyć, zostawmy to szczęśliwszym.

I tak to żartem, to serjo, to uśmiechem, to

gniewem, rozpędzała wielbicieli, którzy przekonawszy się, że darmo by czas tracili, odchodzili westchnawszy. Któż tam wie co się tymczasem działo w sercu niewieściem, w zamkniętej piersi i zamkniętych ustach? Nie jedno westchnienie wyrwało się może z nich niepostrzeżone za tém szczęściem, którego nigdy zaznać nie miała Kasia, nigdy skosztować, którego nawet zakazała sobie spodziewać się i pożądać. Nie raz jej śmiałością i wzrokiem znęcony zbliżył się ktoś do niej, a słówkiem, wejrzeniem, rozkołysał pragnienia uśpione, ale bicia serca tamując dłonią mężką, Kasia powtarzała sobie— Nie! nie! nie pójdę za męż! Słodko się to poczyną zawsze, Bóg tylko wie jak kończy.

Po przyjęciu małej wychowanicy na opiekę, jakoś się już tak uspokoiła tém przybraném macierzyństwem, że prawie była szczęśliwą, ale gdzie na świecie długie szczęście? Pani Janowa chorą była i coraz słabszą, nareście umarła biedaczka, a mąż jej opłakawszy ją i zapiwszy na stypie gorzkie łzy swoje, najdziwniej w świecie zaproponował Kasi, żeby w jego domu po-

została. Kto wie? musiał mieć jakieś projekta może! ufał, że biedna sierota opiekę jego w niedostatku inną przyjąć będzie musiała, choć ją swą pocziwą sławą opłaci.

—Bardzom panu wdzięczna, odparła Kasia, ale to być nie może.

—Czemu? spytał pan Jan.

—Ludzie by pletli Bóg wie co, i byłoby to w istocie nieprzyzwoicie.

Pan Jan się zmieszał— co tam ludzie— rzekł, czy to na nich zważać!

—Musimy się na nich przecie oglądać, odpowiedziała Kasia, bo ich najniesprawiedliwsze paplanie zawsze taki ma grunt jakiś i czegoś nauczy.

Nie było sposobu wstrzymać, i panna Katarzyna wyniosła się zaraz do najętąj małej izdebki na oddalonąj uliczce, ze swoją wychowanicą. Drobną legat nieboszczki pani Janowój, dostateczny jój był na początek gospodarstwa.

Ułożyła sobie nie mieścić się już u nikogo, pozostać samą, począć uczyć za małą zapłatą

miejskie dziewczęta i z tego się utrzymywać. Śmiały to był pomysł w początku mało znan^{ej} i nie mając^{ej} nikogo za sobą kobiecie chcieć tak sobie dać radę własną siłą, ale panna Katarzyna znała swoją cierpliwość, i ufała Bogu, a po nim pracy.

Naturalnie szło j^{ej} to trudno w początku, uczennic nie było całkiem, trafiła się jedna rozpieszczona, nie było na nią sposobu, z drugą się też nie udało, ludzie swych broniąc dzieci, winili mistrzynię, ale na twardej t^{ej} drodze z pogodną idąc twarzą, Kasia powtarzała sobie.

—Jakoś to będzie z pomocą Bożą!

Ciężkie też dni przebywać było potrzeba nim się cokolwiek byt polepszył, nim nawet praca znalazła; często nie wiele było do zjedzenia, a z drogiemi drewkami do pieca bardzo się musiano zaszczędzać. Ale Kasia umiała przebyć dzień o pieczonym kartoflu z solą, a gdy chłodno było w izbie kładła chustkę perswadując sobie, że j^{ej} gorąco szkodzi i tuląc tylko swoją dziecinę, żeby j^{ej} nie było zimno.

Rok jakiś, dwa może potrzeba się było bić z przeciwnościami, ale potém, gdy znowu wieść się zaczęło, poszło jak po maśle. Uczennic było aż do zbytku, dochodził wystarczający bardzo, a zaszczędzonym groszem jeszcze się żywiło siostrę...

Nie dawnom jeszcze widział pannę Katarzynę idącą do kościoła ze swoją przybraną dziatwą i myślałem poglądając na nią zdaleka, czy wielu też jest mężczyzn, coby tak jak ona radę sobie dać w ciężkiem życiu umieli? I w jakimże życiu, w jakich losach, osieroceniu, przy tyłu upadkach po nadziei, nadziejach daremnych i tylekroć rozerwanym spokoju?

W rok po śmierci żony, mówią, że się o jej rękę oświadczał pan Jan, któremu w domu było tęskno, ale panna Katarzyna ślicznym mu dygiem podziękowała.

—A na co nam to starym! odpowiedziała wesoło— ja z moją córeczką dam sobie rady z pomocą Bożą, a pan byś nas dwie wziąć musiał i w dodatku jeszczeby i ludzie gadali, że to stare

romanse pomiędzy nami? Pan sobie znajdziesz i młodszą i ładniejszą, a mnie nie o tём myśleć.

I jak chodziła tak chodzi sobie ze swemi dziewczátkami do kościoła, modli się jak modliła, pracuje jak pracowała powtarzając swoje.

—Jakoś to będzie, z pomocą Bożą! Jakoś to będzie.

I jakoś też to jest.



THESE THINGS ARE NOT TO BE TAKEN TOO SERIOUSLY

AND WE SHOULD NOT LET THEM DISTURB US

WE SHOULD BE CONTENT WITH WHAT WE HAVE

AND NOT BE ALWAYS ASKING FOR MORE

WE SHOULD BE GRATEFUL FOR WHAT WE HAVE

AND NOT BE ALWAYS ASKING FOR MORE

WE SHOULD BE GRATEFUL FOR WHAT WE HAVE

AND NOT BE ALWAYS ASKING FOR MORE

IX.

Д о в ц и п н і.

21

THE END OF THE

SMIÉCH wprawdzie nic nie dowodzi prócz usposobienia tego, który się nań zdobyć umie bez trudności, często bez powodu, najczęściej bez myśli nawet; a przecież ile to rzeczy na świecie śmiechem zabito i ukrzyżowano.

Dla czego raczój śmiech szatański rządzi światem, niżeli myśl poważna, niżeli łza święta? Dla czego słuchamy rychlój dowcipu niż rozumu, szyderstwa niż natchnienia? dla czego stokroć poświęcamy przekonanie nawet, śmiesznej bojaźni śmieszności; dla czego? dla czego?... Tyśiące pytań podobnych rozlewają się przedemną, gdy na świat poglądam, a odpowiedzi na nie tak ciężkie, tak upokarzające!

Dwa są kraje na świecie, w których skutkiem nieszczęśliwych a wrodzonych usposobień—śmiej jest największą może potęgą, szyderstwo niepokonanym orężem— te dwa kraje, to Francja i my.

We Francji szczypta dowcipu w chwili szafu wywróciła co było najświętszego i najgodniejszego poszanowania, i instytucje i religję; u nas ileż to w XVIII wieku naliczyć można ofiar nie opłaconych, najdroższych złożonych na ołtarzu tego samego bóstwa!

.. Nigdzie dowcip nie gra większej, ważniejszej a zgubniejszej roli, jak we Francji i u nas. We Francji wszystko się rozcina (bo nie rozwiązuje) samym dowcipem, samém zręczném szyderstwem, z obawy śmiechu wyrzekają się ludzie cnoty, genjusz swéj siły, przekonanie swéj wiary, serce swych najgorętszych popędów. Bojaźń śmieszności czyni często występnych, i w rzeczy saméj podłością swą śmiesznych ludzi z tchórzów, którzy jéj przywykli ulegać.

W kraju tym nie przekonywa się argumen-

tami, nie można pociągnąć za sobą rozumowaniem, krótko włada zapal ślachtetny wybuchający i gasnący w jednej chwili—jednem szyderstwem czyni się co zechce, panuje się póki podoba.

Napróżno Francja stroi się w przybrane szaty powagi, udaje rozumną, uczoną, małpuje głęboko zamyślonego Niemca i praktycznego Anglika, odegrywa zapal z talentem komedjanta pierwszego rzędu—pod spodem, pod tą maską karnawałową, króluje tylko dowcip, dowcip czczy, lekki, próżen znaczenia, unoszący się tam i sam za wiatrem, i jak swawolny koń wprzężony do wozu opinji, ciągnie go na topieliska i przepaście.

W dziełach filozoficznych, historycznych, moralno-politycznych, naukowych, na spodzie utajony siedzi dowcip i byle szparka, ślipia mu się przez nie świecą. Tu dowcip staje za genjusz, rozum, naukę, rozcina największe zagadnienia społeczne, i dyktuje duchowi wieku w którą ma ponieść się stronę, sam pilnując tylko żeby za długo w jednem nie pozostał kółku.

Historja cywilizacji pana Guizot, naprzykład,

uczone studja pana Cousin, nawet historia Thiersa, nawet poezje Lamartina i dramata Hugo, więcéj mają ingrediencji dowcipu niż nauki, myśli, natchnienia i zapachu. Ostatnim, rozstrzygającym wyrazem wszędzie, wyrokującym nieodwołanie, jest słowo dowcipu. Tu epoki zaczynają się od żartu, zamykają kalamburami, upostaciowują w błazeństwie które ktoś rzuci po kielichu szampa. Dowcip panuje, rządzi, sądzi, rozkazuje, włada i nie ustępuje nikomu z drogi—on tu pan! on król!

Czémże więc ten dowcip autokrator? Jestli to potęga natchnienia? jestli to władza jakaś niechybna, wrodzona instynktowa, wyższa nad rozum, pewniejsza nad serce? Płynie on z mózgu czy z piersi, czy z żołądka, lub ze źródła utajonego, które się jeszcze odkryć nie dało?

Dowcip jest władzą (jeżeli jest jaką władzą) bardzo a bardzo podrzędną, nie dającą najmniejszej rękojmi sądem swoim, bo się sam zabija i kaleczy, władzą jakąś pośrednią i pochodzenia podejrzanego. Błyskotne to na pozór, świeci się

jak bańka mydlana, połyskuje, a dmuchnij to się rozplynie w trochę brudnej wody.

Upatrywanie niespodzianych między rzeczami, częściej jeszcze między słowami lub rzeczą a słowami, stosunków—o to najściślejsza definicja działania dowcipu; stosunki te prawie zawsze są pozorne i naciągane—nie znajdzie ich uczucie, ani rozumowanie, ani rozwaga; dowcip tylko szalenie, co swą sukienkę stroi w łachmany i złoto, w kwiaty i śmiecie, co się grzebie na przemiany w chmurach i kałużach. Omackiem skacząc, trafi czasem na coś uderzającego niespodzianego, na rożek prawdy, ale za to ileż razy głową o mur się obije i guza sobie napędzi!!

Dla czego dowcip ma taką władzę?

Dla tego że pozór stokroć zawsze wygrywa łacniej na świecie niż prawda; dla tego że to co błyszcy, wabi umysły dziecinne, a dziecinnych umysłów siła, dla tego że kawałek Miki droższy jest dzikiemu nad bryłę złota, a paciórki ceni na równi z diamentami.

Dla czego najpotężniejsi ludzie drżą przed

dowcipem i tak się go lękają? Właśnie dla tego że tłum przyjmuje łącznie wyrok dowcipu i poklaskuje mu ochoczo, a nieszczęściem najpotężniejszy umysł, sam przeciw tłumowi postrzeżony rzadko wzbierze się na siłę oparcia jego sądowi.

Cała literatura francuzka, to fraszki, ale cała może historia z pewnego uważana stanowiska, jest krystallizacją różnobarwnego dowcipu.

Szukać tu coś nadto byłoby próżno, na dzień wszytkiego co się dzieje we Francji leży dowcip—on zasada.

Szczególniejszym zbiegiem okoliczności które nie tu miejsce wyjaśniać, w Polsce ukochano tak dalece Francją, poślubiono ją i wszystko co z nią się dało poślubić także nierozzerwanemi węzły, że i u nas dowcip stał się potęgą.

Gdybyżeśmy się zebrali na dowcip nasz narodowy, a raczej, gdybyż choć nasz, jaki nam Bóg dał, tron ten otrzymał!

Ale nie, dowcip który nam panuje z łaski Francji, nie jest dziecięciem ziemi, jak niebo od ziemi różni się od tego, który na pocziwój niwie naszej wykwita.

Dowcip polski, którego idealnym reprezentantem jest nadewszystko Kochanowski i pisarze XVI wieku, a po nich dopiero w pewien sposób Krasicki—jest wesołością życzliwą, swobodną, śmiałą, otwartą, serdeczną—płynie on z uczucia raczej niż głowy, dyktuje mu miłość. Przeciwnie dowcip francuzki szyderski, tchórzliwy a zuchwały jak wszyscy tchórze, zazdrośny, podglądający, chytry, zimny jak lód a świecący i błyskotny, idzie całkiem tylko z głowy, serce w nim niema udziału. Dowcip polski nie raz łza zwilży, tamtemu żółć wtóruje. Dwa te dowcipy przeciwne sobie jak dwa bieguny.

Myśmy przez niedarowane małpiarstwo zarzucili swój własny, a pokochali się w obcym; ten przypadek do smaku naprzód naturalnie panom naszym, potem ślachcie.

Dowcip nasz rodzimy potrzeba mieć istotnie aby go okazać, francuzkiego można się wygodnie nauczyć, znajduje się gotowy, uszyty, wszelakiej miary i barwy, wybrać go tylko i zastosować.

To też z mówiących po francuzku takich na-

wet dudków którzy trzech po polsku zliczyć nie potrafią, pełno jest dowcipnisiów.

Francuzki dowcip, mówiąc językiem dzisiejszej a raczej wczorajszej filozofji, ma samopoznanie, ma wiedzę o sobie, doskonale zna to że jest dowcipem, raduje się sobą, cieszy, czwani i nadyma; polski jest jak dziecię, które niewie jaki ma wdzięk uśmiech jego. Pierwszy pracuje nad sobą by żyć i nie upaść, drugiego nic nie kosztuje życie.

Pomimo tej wyższości jaką ma nasz rodzimy dowcip nad przybyszem, cudzoziemiec ukazuje się wszędzie; tego już tak jak niema, ze świecą go szukać.

Z towarzystwa pełnego próżności, usiłującego błyszczeć choćby pożyczaną iskierką, francuz przeszedł do literatury, z literatury oddziaływa na towarzystwo, i ugruntował panowanie swoje, niestety, może na wieki!

Jeżeli przypadkiem usłyszysz u nas mówiących swoim językiem, większego jeszcze potrzeba przypadku żeby się nie spotkać z myślącemi po

francuzku; dowcipni zwłaszcza są całkiem francuzi.

Dowcip francuzki, to klęska i plaga nasza, obraca w żart życie, rzeczy najświętsze, uczucia najpocziwsze, chęci najlepsze, niema czego-by nie tknął i niezwał.

Jestli co w towarzystwie straszniejszego nad dowcipnego człowieka, któren swym dowcipem prześladuje, na gwałt wszystkim śmiać się każe, łapie za guziki zmuszając do słuchania odegrzewanych conceptów, a koniec końcem nie zawsze mogąc się zebrać na świeży towar, nicuje, odświeża i klepie co wszyscy na pamięć umieją.

W literaturze gorzej jeszcze, dowcipny człowiek wszystko chce i musi jednym dowcipem zastąpić; staje mu on za rozum, za naukę, za uczucie, natchnienie i talent, niekiedy za genjusz nawet. Gdzie nie doargumentuje tam dosztukuje conceptem, gdy mu zabraknie wiadomości wykręci się żarcikiem, zamiast serca nawet kalam-bury daje, i *juvenile fortuna*, tą jedną ingredjencją gotów zaprawić filozofją, powieść, krytykę, historją, a ci którym łatwiej śmiać się niż my-

śléc, wezmą za dobrą monetę, boratynki jego-
mości.

Ależ męcząca to rzecz xiążka dowcipnego
z professji człowieka, męczy ona myślących nie-
ustającym fejerwerkiem, lśni iskier tysiącem, po-
łyśka mnóstwem urywanych blasków, a w końcu
gdy do jój rozbioru przyjdzie, swąd tylko dym i
popiół na dnie.

Że tacy ludzie dowcipni całkiem głową żyją,
że są pospolicie zimni, tego dowodzić niepotrzeba,
sama rola jaką odegrywają *con amore*, zmusza
ich do drwienia ze wszystkiego co napadną, w koń-
cu na głodny czas z rodzonego bodaj ojca, sióstr
i braci. Nie szukajcie więc serca u dowcipnych
ludzi, są to drewniane lalki grające za pokręce-
niem korby, nic więcej. Szczérzy być także nie
mogą; jak bowiem będąc z powołania dowcipnym,
pozostać przytém szczérzym, gdy połowa naj-
lepszych conceptów, ust sumiennego-by człowie-
ka nie przeszła? Trzeba wybierać jedno z dwój-
ga albo przy sumieniu lub przy dowcipie zostać,
a jak temu co applauzu skosztował, dla sumie-
nia się go wyrzec??

Na nieszczęście, razem z gorącą miłością ku francuszczyźnie, nabraliśmy tak niepomiarowanego zamiłowania w dowcipie francuskim, że dziś, spytać-by można, kto nie dowcipuje?

Poważni, uczeni, młodzi i starzy, kobiety i dzieci nawet, rzucają ci w oczy znanymi prawdą, ale coraz inaczej zastosowywanemi ucinkami. Z większą częścią ludzi których się spotyka, serjo o niczem pomówić nie można. Zawiażują ci usta i przecinają trudności szyderskim dwuznacznikiem, i—basta! Rzekłbyś że w nim przynajmniej głębokie jakieś kryje się znaczenie—gdzie tam!—jest to błyskawica co oslepia na chwilę i większe po sobie zostawia jeszcze ciemności.

Często łzy, cierpienia, bóle cudze, bywają wątkiem do wyśmienitych ucinków; niema świętości którąby poszanować chciał nieubłagany dowcip. Bądźcie jednak pewni że ilekroć słyszycie atletę popisującego się temi łamanemi sztukami dowcipu—ręczyć możecie że i w sercu jego czczo i nie pełno w głowie. Dowcip u niego jest

jak pistolet którym się broni, żeby mu ani do głowy, ani do serca nie zaglądano.

I płynie mu życie, płynie w igraszkach, w próżnych ucinkach i drwinkowaniu, bez chwili zastanowienia, samo niewie dokąd i po co!

Ślady francuzkiego dowcipu, téj choroby którą nam także pielgrzymi przynieśli, już się w piśmach polskich XVII w. ukazywać poczynają. W XVIII rozlewa się już szeroko i bezwstydnie, sam Krasicki nie uniknął jego wpływu; Węgierski francuz z kośćciami, inni przez pół, inni choć po troszę liznęli zarazy.

Pomimo reakcji niedawnéj która żywioły narodowe wprowadziła w literaturę XIX wieku, francuzki dowcip dotąd jak dołki po przebytéj ospie, znać na wszystkich tworach aż do dni naszych. Tłumaczenia wprowadzają go nie rafinowanym, *brut*; oryginalni pisarze, dają oczyszczonym i zastosowanym *rafinatem*! A! wszędzie go pełno!

Niestety, wielu nawet mimowolnie, zmuszeni niejako, wpływowi jego, sami o tém niewiedząc ulegają.

I niemyślcie by się dowcip, w ułożeniu tylko wyrazów, w ostatniej iskierce którą błyska, objawiał wyłącznie. Nieznacznie u umysłów hołdujących mu obejmuje cały process myślenia, kieruje ideami, planem utworów, sposobem ich pojmowania; w towarzystwie zaś znajdziesz go aż w obyczajach, postępkach, prowadzeniu życia, w każdym uczynku, w każdym kroku dowcipnisiów.

Ci których raz okuła swe stalowe błyszczące pęta, rozstać się z nim nie mogą nigdy i nigdzie. Wychowani dowcipnie, dowcipnie się żenią, robią głupstwa dowcipne, piszą dowcipnie książki, często gęsto popełniają dowcipne brudy sami z nich szydząc najpierwsi, i umierają z wybranym ucinkiem na ustach.

A! gdybyż bezpotomnie zmarli!

Niestety! w braku spadkobierców w prostej linii, tysiące kollateralnych, spieszą po drogie dziedzictwo. Są całe rodziny dowcipnych, których wszyscy członkowie rodzą się z dowcipem jak inni z orderem Ś. Huberta.

Tych francuzkich akrobatów napatrzyłem się

dosyć, za to ludzi rodzimy nasz dowcip posiadających, już się prawie nie spotyka. Słyszałem o nich z podania, czytałem wiele, żywogom takiego już nie schwytał. Wyobrażam sobie jednak jak mili, jak całkiem od francuzów inni być musieli ci ludzie, których ucinki pełne były serdeczności, słodyczy i wesela, ze spokoju duszy pochodzącego, którym dowcip z serca *płynął*, gdy dowcipnisiom francuskim z głowy tylko *strzela!* Tamten naturalnie jak ze źródła ciekł srebrzystym ponikiem, ten wymęczony, nabijany, nieustannie puka i dym zostawia po sobie.

Ludzie ci dowcipni po naszymu, kładli pewne granice dowcipowi swemu, były dla nich rzeczy nietykalne, święte, przed którymi zniżali głowy, uchylali myśli, o których mówili z powagą i uczuciem—u Francuzów tego nie szukaj, tu kiedy dowcipny, to jak sieczkarnia która tnie co napadnie, czy jęj podstawisz słomę czy szyję.

Dowcipni nasi, zawsze szli w jednym stałym kierunku, wszystkie ich żarty niewinne ukazywały rzecz z jednej strony pięknej, dobrej, prawdziwej (w jedno), francuzi rzucają się w ty-

siące przeciwnych kierunków, byleby na przemyku upolowali koncept; nie chodzi im o jego znaczenie moralne, ale o swoją dowcipność, nie o rzecz, ale o użytek jaki z niej robią. Często też ornata użyją za płaszcz, a kielicha ofiary na pijaną biesiadę swoją!

Z dowcipnym, bardzo dowcipnym człowiekiem który całe życie fejerwerki puszcza i racami strzela, dobrze jest czasem być pół godziny po obiedzie, dłuższy stosunek nigdy nie ujdzie na sucho: odpokutujesz na spokoju, na sławie, a **nie** daj Boże na sumieniu!

Ostróżnie z niemi! ostróżnie!





X.

Dwa typy Kobiety

z czasów reformy

(1597 — 1629).



I.

B i e t k a *).**1597.**

W czasach wielkich zmian i gwałtownych wstrząśnień socjalnych zjawiają się postacie, ukazują wypadki, których napróżno byś szukał na kartach innych epok historycznych, zimniejszych, płynących szeroko a spokojnie. Każdemu czasowi odpowiadają ludzie co go tworzą. Jakkolwiek reforma w Polsce nigdy głęboko wkorzenić się nie mogła, jakkolwiek ona u nas wypłynęła nie

*) W opowiadaniu tém opieramy się całkowicie na faktach opisanych w *Slavonia reformatata* Węgierskiego.

z ducha społeczeństwa i potrzeb jego, nie z usposobięń ludu co do końca jej nierozumiał, ale po prostu przywieziona była zarazą z za granicy i zaszczepiona jak ospa, — jednakże koniec XVI wieku i część XVII, ruchem przez reformę wywołanym, do silnego podbudzony był życia. Nie potrzebujemy tu dla dowodu jak potężnie wrzało życie w tej epoce, gromadzić faktów historycznych i wskazywać ich znaczenia, opowiemy raczej wypadek tylko jeden, osobliwy, dziwny, niepojęty, a tём wiary godniejszy i niezaprzeczenie prawdziwszy, że historyk Reformy w Polsce i Sławiańszczyźnie, Węgierski, mimo oburzenia, mimo chęci zaprzeczenia mu, pominąć go ani fałszem ochrzcić nie mógł.

Będziemy tu więc po prostu, nie bajaniem zmyślonęj jakiejs powieści, ale echem tylko historycznej zagadki.

Pusłuchajcie, a kto w końcu nie uwierzy, niech zajrzeć raczy do Regenwolejusza.

Działo się to w Wieluniu.

Dwa nizkie i ubogie domki, dwie chatki raczej mieszczan rolników, mieszczan wieśniaków—

stały opodal od rynku w zielonych sadach i szarych opłotkach. Mieszkały w nich dwie rodziny których nazwiska nie podaje nam historyk.

W jednej żył ojciec z synem, w drugiej z córką stara matka. Córka zwała się Bietka (śpieszczenie imienia Beaty) syn Zacharjasz. Dzieci wdowca i wdowy, wychowały się prawie na jednym podwórku, razem bawiły się w piasku, razem swawoliły w ogrodzie i z młodych lat sercem ku sobie przywykły. Najśłodsze to te przywiązania dziecinne, te przyjaźni serdeczne od kolebki, od niemowlęctwa, cóż, kiedy zawsze prawie przyjdzie coś później co je nielitościwie rozłamie. Stara wdowa i stary wdowiec patrzali na swe dzieci z boleścią, bo już za nie dumali o przyszłości. Matka Bietki roiła w prawdzie szczęśliwe losy córce, zważając na coraz bardziej jaśniejące, co raz więcej obiecujące wdzięki jej dziewczęce, na czarne żywe oczy, kibić trzciniową, twarzyczkę ślicznym zamkniętą owalem, kruczy włos warkocza i uśmiech jej co ludzi pociągał czarownie, ale wzdychała razem, myśląc—Któż po ten skarb zajdzie do ubogiej chatki? kto

ją tu w kątku zobaczy? A sama ta piękność czyż i zgubą być nie może??

I zamyślała się nieraz staruszka, a złożywszy ogromną xięgę nabożną z klamrami, opuściwszy różaniec, siedziała tak zadumana godziny całe w swojej ławeczce w kościele. Tym czasem Zacharek i Bietka stanąwszy z dwóch stron granicznego płotku, który dzielił szczupłe ogródki rodziców, śmieli się i szeptali, swawolili niemyśląc o jutrze. Gdyby też jeszcze dzieci, gdyby młodzi pamiętali na jutro, a! mój Boże, na cóżby się to już zdało dzieciństwo i młodość?

Ojciec Zacharka niezważał na to, a gdy chłopię z kościelnej powróciło szkółki od pana magistra, dozwał mu hasać sobie swobodnie i pełną piersią pić powietrze. Matka Bietki, bo kobieta i matka, spostrzegła te wczesne dwojga dzieci zaloty, ale dumiała sobie—Dzieci to jeszcze! swawola się ich trzyna! Potem dodawała kiwając głową—Ale się coś bardzo pokochali! I kończyła uspokajając potroszę.

—Choć oboje niebożeta ubodzy, aleć połączywszy dwie chatki i dwa ogródki zbierze się

na jeden porządný domek i ogródek—mogliby tu żyć jak my z nieboszczykiem i nieźle-by im było może.

A tak sobie zakreśliwszy przyszłość staruszka, nie psuła im już ani schadzek wieczornych u starój gruszy, ani rannego szczebiotania w przełazie—a oni rośli, rośli i z niemi wzrastało przywiązanie wielkie, dziwne, gwałtowne, namiętne. Spowaźnieli już trochę, ale się kochać nie przedstawiali i ciągnęła ich ku sobie jakby siła jakaś niewidzialna, jakby popęd mimowolny, i konieczność nie dająca spokoju. Bietka uczuła dziewiczy wstyd, niebezpieczeństwo i nieprzyzwoitość potajemnych schadzek — spotykali się więc pod okiem matki, w jej izdebce cichój i siadali obok siebie wieczorami na wielkim zielonym sepecie zamykającym całe mienie biednej wdowy—Zacharjasz uczył czytać Bietkę! Często staruszka patrząc na nich, szepcząc modlitwę usnęła,—na ówczas w milczeniu bojąc się ją obudzić, z książką na kolanach, oko w oku, ręka w rękę—dumali godziny całe słowa nie mówiąc. Uśmiech i wejrzenie starczyły za słowa. A gdy się sta-

ruszka przebudziła i oczy przetarła, znajdowała ich w téj samej postawie w jakiej straciła z oczów, i dziwiła się że w tak krótkiem zdręmięciu dzień się w szary mrok przemienił.

Często nad takim rankiem pogodnym wisi już chmura czarna—i nad tą wiosnianą swobodą, dziewiczém przywiązaniem dwojga dzieci czystych, zbierała się już ciemna i nieubłagana swą koniecznością przyszłość.

Matka Bietki marzyła o połączeniu dwójga młodych, dwóch chatek i dwóch ogrodów, a ojciec Zacharjasza inne w głowie miał już zamiary. Za młodu służywał dworsko, miał więc, po świecie znajomych i przyjaciół, a xiądz dziekan na jego tęskne skwirczenie i niepokój o przyszłość syna, odpowiedział mu raz jakoś—No, a czemu by nie miał być xiędzem?

Ta myśl utkwiała w głowie starego i została w niej uporczywie się rozrastając.

—Czemuż-by nie miał być xiędzem? powtarzał stary. Z tém postanowieniem oddał go na przód do szkółki, potem do seminarjum. Zacharjasz nie śmiał i nie mógł się woli ojca sprze-

ciwiał, ale piorunem go raziała wola starca, wyrażona jak to pod owe czasy bywało, dobitnie, surowo, stanowczo—padł mu do nóg i począł płakać.

Ojciec uściskał go rozplakawszy się także, cóż mu miał syn na łzy odpowiedzieć—zamilczał i był posłuszny.

Ale tegoż wieczora pobiegł do Bietki i gdy usnęła staruszka, cichym głosem wypowiadał się jój ze wszystkiego — Ale nie bój się dodał, ja nigdy xiędzem nie będę, ja się ożenię z tobą, ja z tobą żyć muszę lub żyć nawet nie chcę! Jam twój na wieki!

Bietka płakała—a staruszka spała.

Bolesne było rozstanie, a rozstać się wreszcie musieli. Ojciec o kiju wywiódł syna za miasto, towarzyszyła mu wdowa sąsiadka i Bietka—Starzy szli naprzód, za niemi powolniej młodzi, a co w ciągu téj drogi zaklęć i świętych powtórzono przyrzeczeń!

Wóz stał, stanęli przy nim starzy, Zacharkowi siąść było trzeba i jechać, padł do nóg ojcu okiem rzucając na Bietkę, ona się odwró-

ciła by jój łez nie postrzeżono co perłami biegły jedna drugą goniąc, wzdłuż zarumienionj twarzyczki. Pojechał, zaturkotało — pył się podniósł i znikł za staremi gruszami, za parkanem smętarza.

Nie możemy i nie będziemy opisywać oczekiwania Bietki i męczarni Zacharjasza; w listach potajemnych upewniał ją że umyślnie zwleka naukę czyniąc się niepojętym, aby odciągnąć niepowrótne straszliwe święcenie kapłańskie. Bietka drżała i płakała, ojciec się niecierpliwił i gniewał, a Zacharjasz rozpaczał, bo niewiedział co począć dalej.

Trwało tak lat kilka, coraz surowiej ojciec upominał syna, coraz ostrzej pisał do niego, nareście ze łzami go zaklinał, aby się starał nauki ukończyć i uspokoić obraniem stanu. Nie umrę spokojny, kończył starzec, nie zamknę oczu póki wiedzieć nie będę żeś już kapłanem i sługą Bożym—tam dla ciebie pokój, tam zbawienie, tam swoboda prawdziwa. Zaklinam cię na pamięć twój matki, na twoją ku mnie miłość, rozkazuję

pod ojcowskiem błogosławieństwem, ukończ nauki i przyjmij święcenie.

Zacharjasz padał na kolana, modlił się, ale siły nie miał zerwać dla miłości ojca, na wieki z nadzieją lat młodych. Bietka czekała, płakała, wierzyła, a lata bieły. Stara wdowa zrozpaczyła o Zacharjaszu, nalegała na córkę, aby z bogatych mieszczan co się do jej ręki stręczyli, wybrała sobie męża, i obu im sierotom opiekuna. Napróżno! Bietka postanowiła dotrzymać wiary i czekać do końca, do śmierci, nawet łzy matki zmiękczyć jej nie mogły.

Ale i matka stara zasnęła w niepokoju o córkę na wieki, i sierotą nareście została dziewczyna...

Sama jedna ze łzami i nadzieją w walącej się chatce została, czekała, czekała jeszcze, choć już serce więcej drżało bojaźnią niż szczęścia marzeniem.

A ojciec Zacharjasza nalegał nieustannie, prosił xięży, nasyłał przyjaciół i tyle tam wymógł, że synowi nie zostawił nadal sposobu wywikłania się od święceń. Nadszedł dzień nie powrotnych ślubów— Kościół był strojny, ale dusza

kapłana smutna. We łzach odprawiał nabożeństwo—gdy z radością i rozrzewnieniem modlili się z nim przytomni. Za powrotem do celi swój, padł na łożo i rozsłochał się jak dziecko—bo ją stracił na zawsze! na zawsze! a to tak straszne słowo, nieodwołane—na zawsze!

W tém powoli otworzyły się drzwi, wszedł do celi z listem w ręku starszy.

—Synu mój, wieść ci niosę smutną — ale sługa Boży wszystko znieść powinien mężnie i ofiarować Bogu w niebiesiech. On ci to zesłał próbę odwagi w dzień wesela z oblubienicą Kościołem. Ostatni węzeł łączący cię ze światem zerwany—nie masz ojca—prócz Boga w niebie!

Zacharjasz słuchał, nierozumiał w początku, potem bezprzytomny padł na ziemię — przypisano to boleści po stracie ojca, a to był żal po wyprzysiężonej swobodzie i nadziejach! Powiększył się on jeszcze przeczytaniem listu Bietki, która o niczém niewiedząc, wzywała go do siebie, tęsknie oczekując na jego przybycie!

Nadeszła noc, a Zacharjasz z łoża na które upadł podnieść się nie mógł, oszalał był i stracił

przytomność, modlić się nie umiał, pociech i uwag nie słyszał — Leżał osłupiały, marzyła mu się młodość swobodna!

A! kto to pojmie co się tam działo w celi wyświęconego tej straszliwej nocy?

Nazajutrz zapukano do niej, napróżno, nikt się już nie odezwał, uderzono w drzwi które aż wybić było potrzeba, i widok okropny przedstawił się oczom braci zakonnój.

Zacharjasz na pasku swym powiesił się u sklepienia.

Błyskawicą doleciała ta wieść do Wielunia, a Bietka słuchając jęj nie zapłakała już, przyjęła ją suchém okiem—ognistą rozpaczą, milczeniem.

Sama jedna z pozerającą myślą pozostała w swęj chatce.

Nazajutrz szarym mrokiem siedziała w progu jęj sama jedna, w tém szelest jakby przelatującego ducha obudził ją z zadumania, spójrzy—Zacharjasz z paskiem na szyi stoi przed nią, nieżywy, widmo tylko, cień zmarłego. Wstrząsała się i porwała z przerażeniem.

—Tyś to?

—To ja, Bietko! ja! odpowiedziało zjawienie — Bóg mnie zesłał bym pokutował na ziemi, bym przy tobie i z tobą grzechy młodości naszój, szalone przywiązanie co mnie do zbrodni przywiodło, długiem czyscowém wypłacił cierpieniem.

Tyś była przyczyną winy mojej, będziesz towarzyszka pokuty!

Od téj chwili duch Zacharjasza nie opuszczał Bietki; lecz co dziwniejsza, niewidomy dla drugich, dla niej tylko widoczny, spytany przez jej usta odpowiadał.

Wieść się o tém zjawisku szeroko w Polsce rozeszła, i naprzód z bliższych stron, potem z oddalonych stron, tłumy zbierały się dla wypytывania Bietki. Ofiarowano jej podarki, by o różne rzeczy ducha pytała, który dziwy odpowiadał.

Bietka rok cały z duchem swym towarzyszem nieodstępny, mieszkała u Trepki Sędziego Ziemskiego Krakowskiego, gdzie natłok był ludu ciągły wypytującego ją nieustannie, potem przeniosła się do niejakiój Włodkowój wdowy. To było

szczególnego w obejściu się Bietki z ludźmi, że ilekroć ją o co zapytywali nowowiercy, ewangelicy i protestanci, nikomu z nich odpowiadać nie chciała; owszem niekatolików wszystkich wstrętem i wzgardą odpychała od siebie, a przytomność ich cudownie przeczuwała choćby się zataili *indignos affirmans esse colloquiis suis,— eorumque neminem ad se intromitti debere*, pisze Węgierski. Tym sposobem nawet, zeznaje historyk, wielu nowowierców do katolicyzmu zwróciła.

Ale najciekawsze i całkiem niespodziane jest zakończenie téj dziwnej historii.

W r. 1600 mnóstwo pielgrzymów polaków udało się na Jubileusz do Rzymu i rozsiało tam po Włoszech wieść o duchu Zacharyaszowym. Niejaki *Magicae artis professor* (imienia nie daje nam Węgierski) poznał z opowiadań, niewiem jakim sposobem, w tym duchu, poddanego sobie geniusza, *Inkluza*, którego dawniej nosił zamkniętego w pierścieniu. Pojechał więc po swoje do Polski, przybył do domu pani Włodkowój i ułapiwszy swego ducha znowu, do pierścienia go

zamknął i do Włoch z sobą uwiózł. (*Daemonem illum denuo caepit, captumque annulo inclusit et secum in Italiam detulit*).

Tak się schwytaniem zbiega, zamknięciem i uprowadzeniem kończy cała ta osobliwsza powieść, ale koniec jej mamy za fabrykacją. Węgierskiemu wiele chodziło o to, aby katolickiego tego i prawowiernego ducha uczynić w końcu złym duchem, nie mogąc go zaprzeczyć, szyję mu tym sposobem skręcił. Znać jednak z gorzkich ubolewań, że protestantom duch Zacharjasza, wiele złego uczynił, mnóstwo ich na katolicyzm nawracając.

Całe opowiadanie to niezmiernie uderza tém właśnie że wychodzi z ust nowowiercy, który mimo największej ochoty nazwania wypadku tego komedją katolicką, aż po diabła do Włoch jechać musiał, by sobie poradzić. Bietka więc była jasno-widzącą, i duch kochanka z drugiego świata szeptał jej ciekawe odpowiedzi na pytania, z którymi się do niej tłumy cisnęły. Notujemy ten fakt psychologiczny w XVII w. tém ciekawszy, że pospolicie w szalone przywiązania tamtych cza-

sów niewierzym i miłości ówczesnej nierozumiemy. Ale człowiek zawsze człowiekiem, serce sercem zawsze, i choć nie wszyscy kochać mogą i umieją—miłość, oszala i zabija dzisiaj jak dawniej — Pokój wspomnieniu Bietki!!



II.

Krystyna Poniatowska.

Siarczyński, w obrazie panowania Zygmunta III, wspomina o partyzancie rokoszaninie Ludwiku Poniatowskim, i króciuchno też wzmiankuje Krystynę Poniatowską, prorokinię natchnioną, jasnowidzącą owych czasów, której proroctwa, wizje i fantastyczne przepowiednie jeden ciąg składają z podobnemi rewelacjami K. Kottera i Drabickiego. Wspomnienie to wszakże króciuchne i pobieżne. Byłoli jakie pokrewieństwo między owym rokoszaninem Ludwikiem Poniatowskim a Krystyną, dziś dojść tego trudno? To pewna że

Ludwika ścigał Hetman Żółkiewski, imać przykazywał i Uniwersały przeciwko niemu wydawał.

O Krystynie szczęściem obszerniejszą podać możemy wiadomość.

Jak Drabicki, jak Kotter, tak Krystyna Poniatowska, w rękę reformowanych stanowiła narzędzie którem oni na słabsze umysły cudowności pragnące i chłodem protestantyzmu odstręzione, działać się starali. Potrzeba mu było koniecznie proroków, brali ich z kąd mogli. W początku XVII w. takich proroków natchionych w apokaliptycznym stylu przepowiadających Rzymowi upadek, liczba dość była znaczna; przez nich to wiara nowa, ogołocona z uroku, nie działająca na wyobraźnię, na uczucie ani obrzędami swemi, ani dogmatami, starała się sobie zwolenników pozyskać. Czytano chciwie ich obszerne i całe w zagadkach traktaty, wykładano, tłumaczono, zastosowywano — i serce biło do fantastycznej przyszłości.

Wydano nawet bardzo starannie i w pewien sposób wspaniale, bo z mnóstwem pięknych

w texcie rycinek, razem objawienia Kottera, Drabickiego i Poniatowskiéj.

Tytuł tego zbioru dziś wielce ciekawego odpowiada jego treści *):

Światło z ciemności, nowemi pomnożone promieniami, to jest: Najuroczystsze Boskie objawienie, na pożytek wieku naszego uczynione, w których I. O ludu chrześcijańskiego nadzwymy-

*) Ponieważ książka ta jest dziś wielką rzadkością, dajemy tytuł jéj łaciński.

„Lux e tenebris, novis radiis aucta, hoc est: Solemnissimae Divinae Revelationes in usum seculi nostri factae, quibus I. De populi Christiani extrema corruptione lamentabiles querelae instituuntur. II. Impoenitentibusque terribiles Dei plagae denuntiantur. III. Et quomodo tandem Deus (deleta pseudo-Christianorum, Judaeorum, Turcarum, Paganorum, et omnium sub Coelo gentium Babylone) novem, verecatholicam, donorum Dei luce plene corruscandam Ecclesiam constituet; et quis jam status ejus futurum sit ad finem usque saeculi, explicatur, per immixtas visiones, et angelica Divinaque alloquia, facta.

I. Christophoro Kottero Silesio ab anno 1616 ad 1624.

II. Christinae Poniatoviae Bohemae annis 1627, 1628, 1629.

III. Nicolao Drabicio Moravo ab anno 1638, ad 1664.

Cum privilegio Regis Regum, et sub favore omnium Regum terrae, renedendi haec ubi gentium. donec omnia reddantur nota omnibus sub Coelo populis et linguis. MDCLXV.

czajném zepsuciu żale boleśne się rozwodzą. II. Niepokutującym straszliwe kary Boże zapowiadają. III. i, jako Bóg nareście (zniszczywszy pseudo-chrześcijańską, żydowską, turecką, pogańską, i wszystkich na ziemi ludów Babilonu wiarę) nowy prawdziwie katolicki, darów Bożych światłem jasnijący kościół ustanowi; i jaki będzie przyszły stan jego aż do końca wieków, wyklada się, przez objawienia zesłane, i anielskie a Boskie głosy, które się słyszeć dały.

I. *Krzysztofowi Kotterowi Szlązakowi* od r. 1616 do 1624.

II. *Krystynie Poniatowskiej Czeszce* w latach 1627—1629.

III, *Mikołajowi Drabickiemu Morawczykowi* od r. 1638 do 1664.

Za przywilejem króla królów, i pod opieką wszystkich królów ziemi, przedrukowywania póty, aż wszystkim się to wiadomém stanie na ziemi ludom i językom. MDC.LXV.”

Po apologji téj xiążki, boć jój bardzo potrzebowała, która do stu stron bitym drukiem zajmuje, następuje odezwa do chrześcijańskiego czy-

telnika, przypis Chrystusowi Panu i powołanie do królów, mocarzy, aniołów stróżów kościoła, biskupów, duchownych i teologów, informacja dla czytających, nareście widzenia Kottera (1664). Poprzedza je portret jego, a w szacie uwija się mnóstwo drobnych sztyczków ładnych ale dziwacznych jak gorączkowe marzenie. Przemawiają one do oczu lepiej może niż sam text xiażki i w pociągający sposób przywiązują do martwego jěj słowa.

Po tém następują już objawienia Krystyny Poniatowskieј w latach 1627 do 1629 uczynione, wiernie z własnego dziewczeczki rękopismu czeskiego na łacińskie przełożone, objasnione opowiadaniem historyczném, i powtórnie już wydane.

Na czele ich widzimy wizerunek prorokini, z twarzą dość pospolitą i nie mówiącą, ubraną wedle mody wieków, stojącą przy stoliku. Rysy jěj przypominają cokolwiek sławną A. U. Schurmann, która także chorowała jeżeli nie na własne, to na cudze obłąkanie religijne.

Oto są szczegóły żywota protestanckieј prorokini, wiernie z jěj biografji wyczerpnięte.

Ojciem jej był Julian Poniatowski, ślachcie polski, naprzód katolik gorliwy, a nawet zakonnik, później protestant, który dla prześladowania doznanego w Polsce do Czech uciekać musiał. Julusz ten, ministrem protestanckim zostawszy, wzięty został na bibliotekarza i poufałego domownika przez Karola z Zerotin'a Magrabiego Morawskiego (? *Moraviae pro-Marchio*).

Starsza jego córka Krystyna, dziewczynka lat szesnastu, gdy owdowiał ojciec, oddana została na dwór Baronowej Engelburg de Zelking.

W miesiącu październiku 1627 roku, na zamku Branna (*prope fontes Albis*) poczęła chorować i cierpieć, jak sama relacja o życiu jej powiada, a nareście miewać widzenia, zachwyty i głosić przepowiednie o prześladowaniu i oswobodzeniu kościoła. Widzenia oczyma ciała poczęły się d. 12 Listopada tegoż roku. Postrzegła naprzód miotłę nad zamkiem i tak nią została przerażona, że w cięższą zapadła chorobę i zdało się że ją chyba śmierć od niej uwolnić może. Przywołany lekarz Michał Libavius napróżno usiłował środkami medycznymi wywieść z tego stanu go-

rączki i egzaltacji, posłano po pastora Jana Stadiusa. Tego w domu nie było, ale na razie znalazł się opisujący Comenius Morawczyk *), któremu przez Socera (Joan Cirillus) polecone było urządzenie potrzebnych na podróż do Polski przygotowań.

Z Baronową Estherą de Wszynic pojechał Comenius do Brann, i zastał Poniatowską chorą, ale już po wczorajszem niebezpieczeństwie, które się śmiertelném wydawało do siebie przychodzącą.

W przytomności przybyłych, poczęła się uskarżać na ból serca i wielkie cierpienie.

Tężeją członki, wstrzymuje się oddech, śmierć zdaje nadchodzić, wszyscy na kolana padają, polecając duszę jej Bogu. W tém Krystyna na łożu się podnosi, oczy w górę wlepia i po dwakroć woła:

—Narzeczony! narzeczony!

Później opada znów na łóżko i spytana co-

*) O nim *Węgierski Hist. Eccles. Slavonicae Prov. Lib. III. 322, urodzony 28 Marca 1592 r.*

by jęj było, poczęła się tylko uskarżać na osłabienie.

Baronowa z Comeniusem odeszli na wieczórę i rozmawiali o tém, tłumacząc sobie różnie jęj słowa. Służące Krystyny opowiadały, że sobie kazała czytać dwa ostatnie rozdziały Apokalypsy i śpiewać pieśń o życiu wieczném. Po wieczery, na zalecenie Baronowej, Comenius dla lepszego rozpatrzenia się powrócił do łóżka choręj. Krystyna poczęła zaraz opowiadać pastorowi swoje widzenia i oznajmiła mu, że została wezwaną na małżeńskie gody do nieba.

Z rana dnia 24 Listopada przyszli do nięj znowu; powtórzyła im toż samo, pozostali przy nięj razem z doktorem Libaviusem i Jerzym Lobmüller pastorem.

Krystyna (widocznie w śnie magnetycznym) przepowiedziała sobie godzinę siódmą wieczorną.

Gdy się ten czas zbliżył, porwało ją osłabienie i cierpiąa pół godziny znowu. Nareszcie usiadła na łóżku, skierowała wzrok, jak gdyby kogoś przybywającego widziała, i poczęła wi-

tać wyciągnioną ręką. Uśmiechnęła się potem mile i niewiadomego gościa przyjęła.

Doktor Libavius zdumiony, dotknął Jasnowidzającą, ale ani oddechu dopatrzeć, ani pulsu domacać się nie mógł, oczy jej stały słupem, twarz tylko dając znaki życia rumieniła się.

—Tu sztuka moja ustaje (*Hic mea ars cessat*) zawołał. Baronowę Zelking widok ten wprowiła zaraźliwym sposobem w jakiś rodzaj zachwyty. Trwało to pół godziny, aż nareszcie Krystyna oczyma poruszać i znaki życia dawać poczęła.

W tych to chwilach zachwyty co widziała, spisała później, za poradą Comeniusa i Lobmüllera, dziwno tylko, że zapamiętała widzenie.

Jako próbę tych marzeń, damy tu treść pierwszego jej objawienia d. 22 Listopada. Krystyna widziała w niém gmach wielki i piękny; w nim stół zastawiony, na stole coś przykrytego zielonością, zjawiła się postać biała, podniosła gałąź zieloną i ukazała koronę, mówiąc— Korona ta twoja, jeśli wytrwasz w wierze!

Drugie objawienie, d. 23 Listopada. Śniegi, wody, błota, wałęsa się zewsząd na piękne

jakieś miasto; z niego wysypuje się osób mnóstwo. Drzwi, u których stoi Krystyna stoją zamknięte, nagle otwierają się, a ona znajduje się wśród pięknej, długiej przez całe miasto rozciągającej się ulicy— rozkoszna muzyka brzmi do koła. Spotyka ją starzec w śnieżnej bieli i rzecze— Znałem cię nimeś na świat przyszła.

—Jakim sposobem? spytała zdumiona.

—Nie dowiaduj się o tém, odparł starzec, gotuj się raczej na wesele, jakiemu podobnego świat nie widział od początku.

—Czyje wesele? spytała Krystyna.

Ten jej odpowiada— Chodź za mną.

Wprowadza ją za sobą do pałacu, w środku znów stoi stół biało przykryty, za nim siedzi postać jakaś, piękna, jaśniejąca i promienna.

—Kto to jest? spytała.

Stary odpowiedział— Narzeczony!

Ona na to.— A! jakże piękny.—

Starzec: Jutro piękniejszym jeszcze będzie.—

Wtém narzeczony spójrzał na nią, a ona nie mogąc znieść jego wzroku, zawołała:

—Co za blask jego oczu!

Na to odparł starzec— oczy jego tysiąckroć jaśniejsze od słońca— ona znowu.—

—Nie jest-że to syn Boży?

—Tak jest! rzekł stary.

Krystyna cześć mu oddała i wszystko znikło.

Łatwo pojąć, jak rozogniona wyobraźnia młodego dziewczęcia, mistycyzmu pełnemi mowami ojca i pastorów, którzy ją otaczali, podbudzana czytaniem Apokalipsy,— we śnie magnetycznym przedstawiać jęj mogła tego rodzaju obrazy. Nie widać w tém nic nadnaturalnego, nic cudownego. Następne objawienia mówią o piękności narzeczonego, o wylać się mającym kielichu gniewu, o uwienczeniu nowożeńca, o xiędze żywota.

Comenius po pierwszych trzech widzeniach odjechał, ale przybył Stadius i dalszych był świadkiem, a może i wiernym spisywaczem. W objawieniu następniem nakazany jęj został post jako środek, którym zasłużyć miała na dalsze i ważniejsze widzenia. Wysłano umyślnym wiadomość o tém Julianowi Poniatowskiemu.

Krystyna tymczasem od wszelkiego pokarmu i napoju wstrzymując się przez trzy dni, została zupełnie zdrową i silną. Dnia 29 o południu spytana, kiedy się ten jój post ma skończyć, nagle *usnęła* (*subito fuit profundo mersa somno*). We śnie, mówiła, nakazano jój przyjąć pokarm. Po silnych potach, obudzona, żądała gwałtownie chleba i zjadła go kawałek spory.

Później, d. 3 Grudnia, nowe widzenie, zawsze *we śnie*. Zupełnie podobnie jak wszystkie jasnowidzące terazniejsze, powiedziała, że ojciec jój wie o wszystkiém, ale niczemu wierzyć nie chce, i przepowiedziała sobie, którego dnia cierpieć miała.

Nie będziemy już więcej spisywali widzeń chorobliwych téj rozmarzonej wyobraźni, idziemy dalej.

—D. 6 Grudnia, o drugiej z południa, przepowiedziane boleści nadeszły, aż do czwartej, *parturientis instar*, rzucała się w bolach, nakoniec wpadła znowu w zachwycenie.

Wróciwszy do przytomności mówić nie mo-

gła, a na pytania otaczających odpowiedziała, napisawszy na tabliczce— Bóg mi związał język, módlcie się bym przemówiła.

D. 7 Grudnia o czwartej z rana, nowe widzenie we śnie, potem extaza, ósmego była zdrowsza, i psalmy LVII, CXXXIX, CXLIII i CXIX czytać sobie kazała, ale jeszcze nie odzyskała mowy. Ponieważ nakazywano jej spisywać coby widziała, uspokoiła przytomnych na papierku krępując upewnienie, że nic nie zapomni, żeby się o to nie obawiali.

Wieczorem powrócił posłaniec z Morawji, z ministrem Mateuszem Krokoczyńskim, wysłanym przez Juljana Poniatowskiego dla przekonania się coby tam z córką jego się działo. Krystyna dowiedziawszy się, że ojciec sam nie przybył napisała:

—Gdy mnie ojciec opuszcza, w kimże mam mieć nadzieję?

Uspokoiwszy się z płaczu, list ojcowski odczytała i znów poczęła płakać, a spytana o przyczynę łez— Nie tego płaczę, rzekła, że przybyć nie chciał, ale że mnie prorokinią nie uznaje.

Potém prosiła, aby się modlono o rozwiązanie jęj mowy, ogłaszając, że cuda wielkie i rzeczy dziwne ma opowiadać. Wszystko to pisała na podanych papierkach.

Znowu dwa dni do 10 Grudnia pościła, modliła się, słuchała czytania modlitw i psalmów. Pastorów dwóch z początku, potém aż czterech, nie odstępowali jęj z rozkazu Baronowęj, która w tęp wszystkim, nie bez przyczyny, obawiała się djablęj jakieęj sprawki. Krystyna zakazała objawień swych poprawiać, a d. 11 Grudnia napisała list do ojca.

Około drugięj porwały ją nowe boleści, które trwały do czwartęj, o piątęj napisała na tabliczce, że o szóstęj wszystko to odejdzie. Wpadła potęp w extazę ze zwykłemi jęj symptomatami i trwała w nięj trzy kwadranse.

Objawienia swe spisywała ciągle— były to, widzenia Sędziego Boga, znowu wylać się mający kielich gniewu, miecz groźny, przygotowane strzały i szkoła niebieska, znaki wybranych i t. p.

Teodor Krokoczyński rozpatrzywszy się w tęp

odjechał do ojca z doniesieniem o tém, co widział i słyszał, a Krystyna d. 13 po sześciu dniach milczenia, odzyskała mowę.

D. 26 Grudnia, oznajmiła— Dziś ojciec mój przyjedzie, jutro ujrzy rękę Bożą nademną— bo będę miała widzenie. Jeden z pastorów sprzeciwił się, że ojciec tak prędko przybyć nie może, a ona mu odpowiedziała.— Czekam na niego.

Jakoż przyjechał w istocie, bo z domu ruszył niespokojny, nie doczekawszy się powrotu Krokoczyńskiego.

Zpoczątku zgromił ją Poniatowski za nieposłuszeństwo i list nie dosyć uszanowania dziecinny pełny, za prózne urojenia— odpowiedziała mu skromnie.

—Przekonasz się sam jutro!

—Cóż zobaczę? spytał ojciec.—

—Rękę Bożą nad robakiem.

—Wybij to sobie z głowy, jutro jak dziś nic nie będzie. Ale nazajutrz przy ojcu porwały ją boleści, i ten stanął nie wiedząc co począć, nie wierząc oczóm własnym. Na wołania jej do łez się rozczulił, a nie mogąc wytrzy-

mać dłużej i patrzeć na nią, wyjść musiał. Stadius poszedł go przywołać, aby był świadkiem zachwycenia. Poniatowski tymczasem na klucz zamknięty w swój izdebce płakał, a Stadius ledwie go łzami oblanego wywołał. Nastąpiły objawienia natychmiast spisane i podane ojcu— w nich przepowiedziała, że w Styczniu przyjdzie do zdrowia.

D. 29 Grudnia, gdy od wieczery powróciwszy usiedli przy niej, do dziewiątej rozmawiając, porwała się na łóżku i poczęła od wykrzyku.

—Widzicie? słyszycie?

Nowe zatem objawienie, które wraz z dłuższymi szczegółami opuścić musimy, treść tylko dalszego jój żywota przywodząc.

Potém, objawienia dalsze następowały po sobie bez przerwy prawie, zapowiadała w nich (wedle Comeniusa wykładu) sąd na niektóre osoby żyjące, na Xięcia de Waldstein, na Karola X. Lichtenstein'a.

Wedle poprzednich przepowiedni, mimo, że najmniejszego polepszenia w jój zdrowiu nie wi-

dziano do ostatniego Grudnia, na 1 Stycznia 1628 wstała z łóżka. Ojciec widząc ją zdrową, dnia 6 Stycznia odjechał, zakławszy wprzód wszystkich, aby o tych jej widzeniach milczeli, żeby o nich wieść jaka nie doszła X. Waldstein, o cztery tylko mile mieszkającego od Brann.

Wkrótce potem Julian Poniatowski, w Lutym tegoż roku (16) umarł, ale przekonany o prawdziwości objawień swej córki. Tu jeszcze słów kilka o nim wypiszemy z Węgierskiego (*Hist. Eccl. Saron. Prov. Lib. III. 335*).

Julian był synem Jana z Dasznik, a wnukiem Tomasza z Poniat i Dusznik Poniatowskich, szlachty Polskiej, rodem z Wielkopolski. Wyrzekłszy się katolicyzmu, do którego wprzód był tak przywiązany, że zakonną wdział suknię, został Pastorem w Małej Polsce w Leszczynie. Tu przez nieprzyjaźnych jakichś, o mało zabity nie był. Uciekł tedy do Pruss, gdzie u Fabjana Czemy Starosty Sztumskiego bawił, potem Rektorem szkoły braci Czeskich i predykanem pomocnikiem w Bolesławie Czeskim został. Na-

reście u Barona Karola z Żerotina znalazłszy opiekę i przytułek, pozostał przy nim do śmierci.

Poniatowski nie tylko nauczał słowy, ale i pisał, Węgierski daje mu rozprawę (*Hanoriae 1620*). O prawdziwej i rzeczywistej obecności Chrystusa (*Doctrina de vera et reali praesentia Christi*) i drugą— *Czy aniołowie i mieszkańcy niebiescy doskonale Boga, jakim jest, w istocie Jego, znają?* (*An Angeli et coelites perfecte Deum in sua essentia, qualis est, cognoscent?*) Tę w r. 1619 przypisał Rafałowi Hrabi Leszczyńskiemu Kasztellanowi Kaliskiemu (poźniej Wojewodzie Bełskiemu. O córce jego ani wspomina Węgierski.

Po odjeździe ojca znowu zaślubiła Krystyna, Baronowa wzięła ją do swego pokoju, zaczęła bawić rozmową, starając się napróżno rozerwać i rozweselić. Siedząc wśród towarzystwa usnęła Krystyna, miała widzenie i znowu została pozbawioną mowy.

Dziesiątego Stycznia jeszcze się to powtórzyło, a w extazie objawiła straszny sąd na kilka osób, jedenastego znowu na dziesięciu czeskich

magnatów. Wpadła nareście na noc całą, w zupełną epilepsję. Następnego dnia i nocy miała ze siedmdziesiąt takich paroxyzmów. Widzeń, powiedziała, że jój spisać nie dozwolono, dopóki by do Polski nie powróciła (str. 45).

Trzynastego Stycznia widziała dwugłowego konia, orła na gnieździe wysokiem, ogromne jakieś drzewo i wspaniałe gmach wywrócone przez Lwa i t. d.

Comenius, który ją odwiedzał z Baronem Sadowskim, opisuje, że znaleźli Krystynę ledwie znaki życia dającą, pozbawioną mowy, ale podaną krędą na tabliczce napisała, że mowę odzyska o drugiej po południu. Nowe objawienia trwały ciągle w zachwytach, z których opisu widać, że była w nieustanném jasnowidzeniu i epileptycznych paroxyzmach. D. 23 Stycznia napisała do X. Waldstein i sama upierała się jechać do niego, czego naturalnie w początku jój broniono silnie, ale musiano dozwolić nareście, gdy przy swoim stała. Krystyna z łóżkiem, w poduszkach udała się do Giczyna, gdzie list do Xięcia Ojcowie Jezuici otaczający go, przyjąć

mu pozwolili, ale nie ręką, dla czarów, tylko żeby go wprzód na stole złożyła. (*Non manu metu renescit— sed, ut in mensam reponi jubetur*).

Ciż O. Jezuici mieli jakoby doradzić, ażeby Krystynę przytrzymano, ale X. Waldstein uczynić tego nie chciał; wyjechała więc swobodnie d. 29 Stycznia i nocowała we wsi Okrauhle u jakiegoś Karola Gestribiusa. Zrana stanęli w Trzemesznie u Jerzego Sadowskiego Barona na Słupnie. Tu dwa dni zabawiwszy powrócili do Brann.

Nakoniec obawiając się zapewne X. Waldstein i Jezuitów, Poniatońska uciekła do Leszna, a tu nowe nastąpiły objawienia. Godna uwagi, że zażądała być na ziemi rodzinnej i niektórych swych widzeń, inaczej jak tu, objawić nie chciała i spisywać nie mogła.

D. 15 Lutego w Wigilję śmierci ojca uczuła, że się zbliża ostatnia jego godzina, widzenia rozmaitsze następowały szybko po sobie. Opowiadała w nich o xiędze, z której czytała, przywołując nawet jej stronnice. Tak przeszły Lu-

ty, Marzec i Kwiecień, dzień prawie po dniu, co robiła, co mówiła i cierpiała, spisał troskliwie Comenius.

D. 18 Kwietnia przybył do Leszna, Rafał Leszczyński, dla powitania tłumnie tu zgromadzonych, z Czech wygnanych, współwyznawców swoich. Poniatowska, o której się dowiedział, bo tu jeszcze mieszkała, okazała się bliską jego krewną, gdyż babka Leszczyńskiego i matka Krystyny, miały być rodzone *). Leszczyński całe przygody Poniatowskiej uważając za chorobę, kazał lekarzom stan jej rozpatrzyć i lekarstwa szukać. Włoch Bonacina, Borbonius i sprowadzony ze Wschowy Vechner, medyk nadworny Zygmunta III, zjechali się tu na 24 Kwietnia, z wielą innemi ciekawemi. Jako najlepsi dawnego stanu świadkowie, byli tu Doktor Libavius, Comenius, Studius i Jan Johnston. Trzej powołani doktorowie byli zdania, że to rzecz zupełnie naturalna, jakieś sobie po prostu zaparcie humorów, rozlanie żół-

*) W ten sposób matka Krystyny musiała być z domu Wolska, a była Pawłowiczówna; chyba więc matka Juliana, Wolska była, co i z wiekiem osób lepiej się zgodzi.

ci, uderzenie do głowy mające za przyczynę, dodając nie bez powodów, że urodzona z ojca biédnego wygnańca, wychowana między teologami, naczytawszy się Apokalypsy i nasłuchawszy od otaczających dziwacznych rozmów, dostała w skutek tego pomięszania zmysłów. Jeden z nich z historii de Thou przywodził podobny przykład jakiegoś Marty, (*naturae affectui rem hanc esse tribuendam: flavae nimirum bili monstruorumque obstructioni, addebatur: ex patre exule natam inter teologos educatam, procul dubio lectitasse Apocalypsim, vel audirisse ab aliis aut simulari quaedam, et augeri in majus*). Tu teologowie zaprzeczyli medykom.

A objawienia tymczasem szły dalej swoją drogą, i wojewodzina Leszczyńska wzięła ją na dwór swój, dla lepszego dozoru, starania i większej lekarskiej pilności.

Comenius, który się za opiekuna Krystyny uważał nie opuścił jej wszakże. Bonacina medyk przytomny zachwyceniu, przekonany uznał w niém coś nadzwyczajnego. Leszczyński tymczasem powrócił na Ruś, a Poniatowska znów

z Comeniusem została. Po epilepsji przyszła gorączka i porzuciła ją znowu.

Z całego opisu, wnosić można, że historia Krystyny jest prawdziwą, ale razem, że z niej jak mogli korzystali pastorowie, by na stronę reformy i potrzeby czasowe wszystko tłumaczyć. Było to długie, powtarzające się jasnowidzenie, wśród którego jak to bywa najczęściej, rozwijały się obrazy i myśli, których nasionko zasiało życie i młodość. Łatwo też było wytłumaczyć ten fenomen lekarzom chorobą, a teologom objawieniem— miały słuszność strony obie po części, wykład tylko wizji nie tak się udał szczęśliwie.

Pierwszych dni Czerwca dostała Krystyna febry, wpadła w synkop, dostała bolu serca i zaczęła delirować, później straciła mowę, słuch, oślepla prawie, usnęła i obudziła się prawie zdrową. Nastąpiły zwycięzko odparte, tak zwane przez Comeniusa kuszenia szatańskie. D. 13 Lipca straciła pamięć księgi, którą w swych widzeniach czytała, a którą biograf jej tytułuje: *Księga wyroków Bożych (Liber Decretorum Dei)*.

Spisała nareście objawienia swoje, ale z omyłkami, niepoprawnie, z powodu jak mówiła, że duch, co jej to wszystko ukazywał, już ją opuścił. Uderzenie apoplektyczne (1629) w Styczniu przyszło wraz z przestrogą o przyszłej śmierci.

Zrana dnia 27 Stycznia, nastąpiły boleści straszliwe, gdyż dotąd nie cierpiała tyle, a najwięcej była tylko osłabioną— Krystyna zapra gnęła pożegnać znajomych.

Około trzeciej przyszli Cyrillus i Wacław Kornu pastorowie, poczęli ją wybadywać względem wiary i w przekonaniu o zbliżającej się śmierci pobłogosławili. Gwałtowne bole serca chwyciły chorą o czwartą, wielki napływ ciekawych zbiegł się do łóża konającej, która na ziemi położyć się kazała. Wszyscy ukłękli śpiwając kantyk Symeonowy.

Krystyna zbladła, zziębła, zastygła, oczy jej stały słupem, serce biło gwałtownie, epileptyczny atak ją porwał— poczęło się konanie— skonała.

Wszyscy rozchodzili się powoli; pozostały tylko u ciała dwie kobiety Ottia de Los i Wenznicka (Hrabina de Wszynitz i Baronowa de Riczan). Nakrywszy ostygłe ciało, wyszły i one z Comeniusem.

Zaledwie byli we drzwiach, Baronowa, która się odwróciła, zawołała.

—A! umarła wstaje! Ubięra się.

Przerażeni tém odeszli śpiesznie, nie wiedząc co począć.

Comenius przecie odważniejszy jakoś zwrócił się i stanąwszy w progu spójrzył— umarła już ubrana poczęła się umywać u pokojowej fontanny.

—Co to jest? zawołał Comenius.

—Żyje! odpowiedziała Krystyna.

Tu następuje w biografji jęj opowiadanie widzenia jakie miała, gdy duch jęj, wedle słów Krystyny, z ciała wystąpił.

O tym wypadku przywiedzione są sądy współczesnych i ostateczny wyrok Doktora Cyrillus, który nie wiele rozstrzyga.

W ten sposób Poniatowska wróciła do zwykłego stanu i zdrowia, w 1629 w Czerwcu odjechała znowu do Czech dobrowolnie udając się do Brann, zkąd jak widać miała zamiar i natchnienie uprowadzić Baronową swoją opiekunkę. Comenius maluje tu wyborny obrazek domowego pożycia téj biédnej kobiety, której mąż pobożnemu pastorowi wydał się nie bez przyczyny potworą. Baron Wacław Zaruba nie żył ze swoją żoną, zwierzę prawdziwe, nic nie znał nad brzuszysko. Żona chciała go z bojaźni prześladowania protestantów uprowadzić z sobą, przez litość tylko, bo przywiązania do niego mieć nie mogła i dawno byli sobie obcy. Ale na pierwszą wzmiankę o zamierzonej ucieczce, Baron Zaruba piorunować począł, żonie wyjazdu wzbrocił, konie i powozy zamknął, a Krystynę doradczynię precz wypędzić kazał. Poniatowska więc sama d. 26 Czerwca wróciła nazad.

Co najdziwniejsza... ową prorokinię, opiekunowie jój postanowili— wydać za mąż! Boć, mówi Comenius, Dębora i Hulda miały przecie mężów?

W r. 1632, gdy znowu była w Lesznie, przybył tu wygnaniec z Hollandji Daniel Velter (rodem z Morawji) i wkrótce się z nią ożenił. Synod w Październiku zgromadzony małżeństwu temu pobłogosławił.

O późniejszém pożyciu téj pary, powiada Comenius, że było spokojne i szczęśliwe, a trwało lat dziesięć i dwa miesiące. Mieli państwo Velterowie dwóch synów Daniela i Jerzego, trzy córki, Joannę, Zofję i Dorotę; w r. 1664 żyli tylko z nich Jerzy i Zofja.

Gdy Comenius w roku poprzedzającym śmierć Krystyny do Leszna z Prus przybył, przyznaje sam, że z podziwieniem się dowiedział, iż Krystyna odwoływała swoje objawienia dawne i zapierała się ich zupełnie— przed Comeniusem tylko zmilczała o tém.

W r. 1644 dostała kaszlu, gorączki, objawiły się symptomata suchot i d. 6 Grudnia umarła.

„Tak w Leszczynie urodzona, kończy Comenius, w Lesznie zmarła, życie w wygnaniu po-

częte, na wygnaniu spędzone, wygnanką skończyła, i do wiekuistej wróciła ojczyzny, do tego wieczności portu łódką nagłych suchot zanieasiona” *).

Kazanie na jej pogrzebie drukowane później miał Wacław Löchner **).

Xiązka Comeniusa o Krystynie, dotąd tak mało jest znaną u nas, że ją prawie za pierwszy raz drobnostkowię opisaną uważać można, wspomniał ją ledwie Siarczyński. Jest to przecie pomnik z wielu względów bardzo ciekawy i do historii psychologicznej, (że tak powiem)—reformy bardzo ważny. Sama Krystyna zajmuje jako zjawisko rzadkie psychologa i filozofa.

) *Ita Lescinae nata, Lesnae denata vitam exilio orsam, exilio actam, exilio terminavit aeternaeque patriae tandem feliciter reddita est, ad hunc aeternitatis portum subitaneae pthisaeos naviculo delata.*

**) Oto są niektóre z niego wzięte daty: Urodziła się z Juliana z Dusznik Poniatowskiego i Zofji z Pawłowiczów w Leszczynie w Prusiech 1610 d. 4 Marca; w r. 1615 wyjechali do Czech, potem do Morawji, matka jej zmarła 1626 Sept. 27 w Namest w Morawji, ojciec r. 1628 Lut. 16 tamże.

Wątpić nie można, że wiele po swój myśli tłumacząc, na usługę reformy przeznaczywszy te wizje, Comenius je wynaturzyć i poprzerać musiał. Zawsze jednak ciekawe są te dziwne wyobraźni rozognionej zapędy, które aż nieba w zuchwałym sięgały locie. Sama historia choroby widocznie prawdziwa, doskonale zgadza się z niejednym opisem stanu jasnowidzących.

Ale najgodniejszém uwagi to nam się zdaje, że w tym stanie nawet Krystyna nie przestała być córką swojego czasu i jego przedstawicielką.

Porównajmy widzenia jej z objawami jasnowidzących XVIII i XIX w., a przekonamy się, że przez nie mówi potężniej wiek każdy, niżeli jakaś wyższa wiedza. Krystyna tak mówiła o losach reformy, jak późniejsze jej następczynie o rewolucji, o socjalizmie... Cóż to dowodzi? ot że i w stanie magnetycznego zachwyty człowiek nie przestaje być sobą, człowiekiem, a dusza jego urobiona dłonią wieku głosem jego przemawia, choć się nadeń podniesie. Początek XVII, koniec XVIII w. środek tego, w którym żyjemy

nie jedno takie fenomenalne zrodziły zjawisko, bo w nich gwałtowniejszy prąd myśli i pragnień wyrwał nawet niewiasty z cichego kąta, w którym zwykle żywot ich płynie. Jak ciekawe byłoby porównanie objawień takich z trzech lub więcej epok różnych?! wskazujemy je tylko badaczom serca ludzkiego i dziejów myśli ludzkiej.





XI.

Rotmistrz Jakubowski.

Charaktery XVII wieku

(Historyczne).



STARY dworzec na wzgórzu bieleje.

W prawo przypierają prawie do niego oficyny obszerne, w lewo trochę usunięte stajnie, środkiem brukowany dziedziniec, czarnemi osadzony jodłami, które szumią smętnie. Naprzeciw dworca wysoka brama murowana z herbem Topor na wierzchu, podtrzymywanym przez dwóch z piaskowca wykutych rycerzy—stoi teraz otworem; żelazna jej krata zardzewiała na hakach wysoko.

Poniżej w dolinie, włość przytuliła się w sadach zielonych, widać biały kościółek parafji i maleńką na rozdrożu kaplicę. W żywych blaskach zachodzącego słońca, wiją się sine wstęgi dymów z kominów wioski, a gorącemi promie-

niami oświecony dworzec, brama i dalekie wzgórze sine i liljowawe, składają obraz uroczy, cichy, wywołujący natchnienie w duszy artysty.

Tak, widok ten wywołałby natchnienie w artyście, gdyby naówczas mógł się tam artysta znajdować; ale to temu dawno, dawno, kiedy miasto uniesień artysty na widok cudnych tworów Bożych, zachwyt i uwielbienie wylewały się w modlitwie. Było to bowiem w początku XVII wieku, stare dzieje, dwieście lat przedziału, a tysiąc różnicy.

Biała brama stała otworem, a przy niej na w pół oparci o mury, skupieni w gronko gwarzą zebrani z wioski, dworu i kościołka ludzie. Stara babka z pod kościoła z garnuszkiem do okadzania u pasa, sparta na kiju, najżywiej ze wszystkich pono rozprawia, najdziwaczniej głowę kręci i rękami macha. Stary także wrotny w szarą kapocie i czarnej czapeczce nie raz dorzuci słowo do opowiadania lub potwierdzi je poruszeniem głowy. Włodarz zamyślił się i kijem grzebie po ziemi, oczy trzymając wlepione w biały dwór. Oprócz nich jest tu jeszcze kan-

tor z plebanji w czarnym giermaku, gospodarz z poblizkiej chaty z cepiskiem na plecach i dwie dziewczątka bosych sprowadzonych ciekawością do gromadki. Czarny kosmaty pies na pierwszym planie dopełnia obrazka.

—A cóż stary Jegomość? spytał Bartosz gospodarz.

—Jak był! odparł wrotny poważnie— nie gorzej nie lepiej— nie daj Boże, ale żeby mu się no nie przyszło pożegnać z nami i światem. Baba szpitalna głową kiwnęła, bo jeśli nie mówiła, to się choć ruszać musiała.

—Puhacz srodze krzyczał przeszłej nocki, i krucy dziś na dworcu na dachu od strony izby jegomościnej posiadali. Rano kiedy Dobrodziej miał mszę Ś. na intencją pańską, świeca jedna przy ofiarowaniu zgasła.

Wszyscy spuścili głowy, babka przerwała.

—No, a cóż? Jużciż to ludzka rzecz w końcu pójść na lepszy świat, a panisko stare taki sobie niebo wysłużył.

—Któżby już kiedy nie oni, tacy święci ludzie! rzekł wrotny.

—Święci! powtórzył Włodarz, a co większa święci modlitwą i święci uczynkiem— Kantor spójrzał z podziwieniem na wymownego włodarza, jakby go te słowa z ust jego zdumiały.

—Jemu umierać to nic, dodał Bartosz, ale nam bez niego zostać!

—E! e! po nim już tak jak teraz nie będzie.

—Oj co nie, to nie! zawołała babka— stare panisko święte człeczysko, a młodego Bóg ino wiedzieć raczy.

—Ba! i ludzie wiedzą, dodał kantor, po co to w bawełnę uwijać— daleko jemu do ojca!

—Dobra krew nie skłamię! dorzucił włodarz żwawo, wyszumi się, wyburzy i będzie jako pan ojciec.

Babka głową poruszyła.

—Wy, Wojtaszku, rzekła do Włodarza, nietakeście tu dawno z nami, bywaliście po świecie, służyliście potem w Ostrowcu za oczyma, nie napatrzyliście się jak my, ani młodego ani starego. Starzy to z kośćcami święci ludzie, powiadam wam święci, a z młodego to tak jak z cienkiego drzewka nie wiadomo jeszcze,

co ma być, czy cepisko dla Bartosza, nie przy-
mierzając, czy krzyż na chwałę Bożą.

—Któż może wiedzieć co będzie, jeden chy-
ba Bóg, rzekł włodarz.

—A trochę i ludzie, trochę i ludzie, zaskrze-
czała babka, kiedy drzewko krzywo rość po-
cznie, trudno aby co z niego potem prostego
zrobić można.

—Dalibyście pokój prorokowaniu!

—Dali albo i nie dali, to się gada aby się
paplało, nie ujmując nikomu, a koniec końcem
trudno, żeby od starego pana lepszego albo i
takiego drugiego Bóg nam dał. Wszyscy we-
stchnęli.

—A taki chory? spytał Bartosz wzdy-
chając.

—Oj, chory, rzekł wrótny, i lekarz co go
z Krakowa przywieźli bardzo głową kręci.

—Boć taki dobrze już stary! Za Zygmunta
starego poselstwa sprawował, to już pewno la-
ta wówczas mieć musiał po temu, a od tego
czasu obrachujmy no się, co to wody upłynęło.

—Widzicie bo spokojne życie, pobożny a

bezpieczny żywot powinien człowieka utrzymywać na długie lata, dorzucił kantor.

—A wszystko nie na wieczność! odparł wrót-ny. Zmilkli, włodarz wzdychał poglądając po niebie, inni zwrócili oczy na drogę ku Krakowu, na której nic widać nie było.

—A młodego jak niéma tak niéma, dodała babka; już trzech posłańców wysłali, a doczekać go się nie można, ani ich.— Nasza pani Barbara coraz to przed dworzec wynijdzie, na drogę popatrzy; coraz to pani Anna wybieży i po swojemu drogę żegna, a pana Wawrzyńca taki jak niéma tak niéma.

—A nasze pocziwe panisko, mało nie co minuta o syna się pyta.

—Gdzież pan Wawrzyniec? spytał Kantor.

—Albo nie wiesz, że w Krakowie?

—Cóż za pilna sprawa tam go trzyma?

—I tegoż nie wiecie? szybko rzekła babka.

—Juściż nie wiem, kiedy pytam.

—Swata się, swata! a kto się swata zapomni świata; to i on może Boże przepuścić, nawet starego ojca zabył.

—Już co to to nie, przerwał wrotny, bo kocha go i szanuje jak się patrzy; aleć go mogli posłańcy nie nadybać w mieście, bo miasto kiedy las. Zresztą szalona dziewczka, o którą lata, może go kędy za sobą w świat powiodła.

—Szalona dziewczka, mówicie, oj co to, to prawda. Już to dość, że nie swojaczka, ale nie wiem z kądz z cudzej ziemi przybyła; nawiozła też z sobą obyczajów dziwnych, a ludzie powiadają nawet, że czarownica.

—Ej! ej! uśmiechając się rzekł kantor, gdzieby zaś, bogate panie w to się nie wdają, toć wiecie.

—A Malcherowa co to ją palili w Krakowie?

—Nie takąż pani, mieszcza z kamienicy, a do tego niemkini; ale żeby dziewczka bogata, a urodziwa miała czarować! Kto to kiedy widział.

—Wam bo się zdaje, że tylko stare odarte baby w to się wdają?

—A pewnie, bo cóż mają robić, krowy nie mając djabła doją.

—Tymczasem to taki pewna, że ona czarownica!

—No! a zkądże wasza pewność!

—Co wiem to wiem; pana Wawrzyńca hajduczek, a mój chrzestny syn Janko, nie mało mi o niej nagadał.

—Cóż takiego?

—A no posłuchajcie tylko! ja wam tu i połowy nie przegadam, ale co się na myśl przywlecze to rozpowiem; tajni w tém niéma, cały świat na to patrzy. Naprzód to wiecie że pan-na z za-morza kędyś, niemkini jakaś, bo wszystko złe z tamtąd nam lichu niesie. Otóż gada-ją, że to niby wielkiego rodu, choć to u nich wszyscy równi kiedy szwaby od Chama pochodzą ile ich jest. Bogata czy nie, kat wie, ale żyje z matką by królewna w ogromnej kamienicy najętój; i młodzież do siebie ciągną jak zamysłą, a robią z nią, co się im zamarzy— a to nie czary?

—Zachcieliście każda młoda, a piękna to potrafi.

—A mało to pięknych, na które nikt nie patrzy? słuchajcie no dalej; żyją jak królowny, codzien ucztę, śmiechy, muzyki, tańce, maszka-

ry, w piątek i w niedzielę? a zamarzy się im co, to musi być, choćby ptasiego mlęka zachciały.

—Za pieniądze wszystkiego dostać!

—Posłuchajcie no! A toż nie czary, że sobie naszego pana Wawrzyńca przyhołubili.

—Temu to i ja się dziwuję, rzekł włodarz.

—A Janko tak mówi, że to wyraźnie czarowska sztuka, dodała baba, posłuchajcież no—panicz wiecie jak wychowany, gdyby mniszka, to też i nasz dwór nie przymierzając jak klasztor; stary pan przeorem, pani przeoryszą, a świętej pani Annie tylko sukienki już brak, żeby była zakonnicą— i daj Boże xieżom taką pobożność. Młody pan Wawrzyniec nie gdzie się wychował, nie na co się patrzeć tylko na to.

—Zapomnieliście, że wojskowo służył.

—To cóż? a skorupka jak się z młodu napije, posłuchajcież no! Gdzież to było myśleć, żeby taki święty młody chłopak jak on co pości pół roku, a nigdy pacierza nie przepuści rano i wieczór, gdyby był chory i konający (Janko świadczy)— gdzie to było myśleć, żeby on za-

kochał się i przyplątał do takiego szalonego stworzenia, jak ta dziewczka niemkini. Boć to tam ni Boga ni Matki Jego, ni Świętych Pańskich nie znają; całe u nich nabożeństwo, że się zbiorą i ucztują przy świecach, w piątek mięso zrac jak wilcy, Janko widział na swoje oczy. Ja nie wiem jak im tam zębiska nie powypadają! Alboż to nie czary, że pan Wawrzyniec z innemi do tego utrapienia smali cholewki, coś mu zadali!

—A co mu mieli zadać? zwyczajnie młody! rzekł wrotny ruszając ramionami.

—Już mi tego nie mówcie, żywo przerwała baba— Janko sam powiada, że nie chybi zadali, bo tak dla niej oszalał, że się ze wszystkiém traci do koszuli.

Na te słowa nadbiegł chłopak ze dworu i przerwał rozmowę.

—A co to Piotruś?

—Po xiędza mnie posłano...

—Czyż to pan tak źle? spytał Bartosz.

—Aj! nie dobrze, nie dobrze!

Wszyscy zamilkli poglądając po sobie, kil-

ka łez błysnęło w oczach, a kantor i baba odeszli do plebanji chcąc po drodze rozpytać Piotrusia, włodarz o kiju powolnie posunął się ku dworowi.

Milczało poważne stare domostwo, i ciche tylko stąpania ludzi kilku słyszać było w jego mrokiem okrytj głębi. Nie było to wytworne bardzo, a pańskie mieszkanie, ale miało coś poważnego i miłego razem w sobie, a wchodzącego doń spokój jakiś obwiewał. Nie darmo go porównywano do klasztoru, bo istotnie wrażenie jakie czynił, przypominało ciszę świętą zakonnj ustroni.— Porządek był wielki, staranność gospodarna w każdym kątku, wszędzie pobożności oznaki.

W sieniach wisiały zaraz dwa wielkie obrazy z historji Świątj zajmujące ściany boczne; a u drzwi głównych przybita cynowa kropielniczka z krzyżem, przypominała by wchodzący dom po chrześcijańsku powitał. Wielki stary zegar w drewnianj szafie, mierzył powolnym

chodem upływające godziny. W pierwszej głównej izbie sklepionej przy ozdobach zwykłych komnacie owych czasów, były krucyfiksy i pobożne napisy. Czystość była największym zbytkiem tego mieszkania, gdyż wszelki przepych świecki wygnany zeń zastępowała. Wielka czarna xięga pobożnej treści leżała otwarta na stole przy oknie, ale nikogo przy niej i pusto w pokoju.

W drugim po cichu rozmawiały dwie kobiety— spokojne choć blade i wyrazem cierpienia oznaczone były ich twarze. Starsza w ciemnej szacie i czepcu z popruszonymi siwizną włosami trzymała w rękach flaszkę dziwnego kształtu i maleńki misterniej roboty kubek srebrny. Młodsza dwadzieścia kilka lat liczyć mogąca w fioletowej sukni, w czepku białym także, ze złotym na piersi krzyżykiem, z woreczkiem uwieszonym u pasa, miała rożaniec w dłoniach białych i niewielką xiążeczkę. Piękne wielkie niebieskie jej oczy mgiła łza, która się w nich przelewała; ale smutek rozlany w jej twarzy, nie kaził cudnej anielskiej lica anielskiego pogody.

Piérwsza była pani Barbara z Rzeszowa małżonka Krzysztofa z Ostrowca Jakubowskiego, herbu topor, na Wadowicach i Tężycy dziedzica, druga córka jój Anna z Ostrowca, żona Hermolausa Ligezy.

—Poszlijcie jeszcze raz po Wawrzyńca, rzekła Anna, ojciec go pragnie widzieć koniecznie przed śmiercią, a kilka już razy cicho mnie o niego dopytywał.

—Nie mówcie ojcu, wysłałam trzy razy! nie pojmuje Wawerka! Bóg wie co mu się stało, żeby do téj pory nie powrócił— a! boję się jakiego nieszczęścia, boję się dziecko moje.

—Posłańcy nań może nie trafili! odpowiedziała Anna.

—Trudno, bo zawsze przy niej siedzi.

—Dotąd?

—Ciagle! ciagle! Wielki to krzyż na nas. Bóg zesłał, to jego staranie; ta kobieta go o zgubę przypawić może. Twój mąż Anno, gdym się o nią dopytywała, bardzo był coś zmięszany, i przez zęby mi cedził, inni też nie najlepiej o nią mówią.

Cóż w tém jest niedobrego. Wawrzyniec czas traci, o Bogu zapomina i...

Staruszką nie chcąc dokończyć westchnęła.

Anna pocałowała ją w rękę.

—Matusiu kochana, rzekła, modlę się gorąco za zbawienie Wawrzyńca; jeszcze mi Bóg nie odmówił nigdy żadnej prośbie, nie zechce i tej pewno odrzucić modlitwy; nie obawiajcie się!

—Kochana moja Anusiu, a toż nie grzech ten zbytek ufności w siebie?

—Nie, moja kochana matko, proszę Boga zawsze o coś dla drugich, nigdy dla siebie, i z żywą wiarą, czemuż by ojciec miłosierdzia i łaskawości nie miał mnie wysłuchać.

—Módlże się, módl, a gorąco za tego biedaka; wiesz jak to było pobożne i święte jak ty moja Anuleńko— a teraz! teraz!!

—Matusiu, ja ręczę, że gdyby się i na chwilę jaką obłąkał, powróci na dobrą drogę, Bóg łaskaw.

—W nim też jednym nadzieja!

Szelest u drzwi zwrócił ich uwagę, wszedł

stary sługa, ale na zapytanie o panu Wawrzyńcu, nic nie odpowiedział.

—Czy godzinki z panną Kunegundą dziś odprawim? spytał starszój pani.

—Nie, moje dziecko, zejdzicie się wszyscy do sypialni pańskiej; pan wasz chce póki mu sił staje, do ostatka waszym przewodniczyć modlitwom.

—Ależ pan taki słaby, to się zmęczy.

—Modlitwa nie wysila ciała, a karmi duszę, rzekła poważnie pani Barbara, niech zadzwonią, a wy zejdzcie się do sypialni po starremu, tylko po cichu.

To mówiąc podniosła sukienną drzwi zasłone i weszła wraz z córką do izby męzowskiej.

Izba to była szczupła, uboga, chędogą i bardzo podobna do celi, bo inszej nie zażywali i nie potrzebowali rycerscy ludzie tamtych czasów, do niewczasu, namiotu i nieba przywykli, a zbytku dla siebie i uciechy swój nierozumiejący. Na prostém łożu podwójném osłoniętym ciemnymi firankami, leżał stary pan Krzysztof z Ostrow-

ca, z krucifixem w ręku. Na stoliczku przy nim był różaniec, pasek święcony Ś. Franciszka i książka modlitw codziennych. Wychudła twarz starca okryta była do koła czapeczką fioletową oszytą futerkiem, i jasno wystawała wśród podniesionych poduszek. Gruba kołdra wełniana okrywała kościste nogi i ręce, których tylko dłonie z palcami długimi, wystawały spoczywając na piersiach ciężkim wznoszących się oddechem. W głowach wisiały palma, gromnica, obrazek patrona Krzysztofa z Chrystusem na barkach, święcone wianki, a przy nich szabla wierna i pokłuta zbroja. W izbie pokryta gdzieś grubym suknem siwem, prosta podłoga dębowa wyściełała ziemię; na ścianach nic prócz kilku świętych wyobrażeń; w kącie jednym klęcznik, w drugim lawaterz mosiężny; a w cieniu utajona drucziana dyscyplina świadczyła o pobożności starego żołnierza.

Pan Krzysztof z Ostrowca, dziedzic licznych włości, niegdy poseł królewski i Rzęptej do Turków i Węgier, w grubej szarej koszuli, na twarzą postaniu, na skórzaną poduszkę—sposobił

się do śmierci, nie z trwogą i niepokojem dzisiejszym ale z krwią zimną i wiarą w lepszą przyszłość, która mu dawało głębokie religijne uczucie. Znać było w godzinie stanowczej, że życie całe uczył się umierać. Na twarzy jego malowało się męstwo pewne siebie, i łagodność anielska, niemal dziecinna; usta coś w zachwyceniu szeptały. Usłyszawszy wchodzących, starzec uśmiechnął się, podniósł trochę z wysiłkiem i przeżegnawszy jakby modlitwę kończył, odwrócił się do żony.

—A co moja panno? niesiesz mi taki widzę to lekarstwo?

—Niosę, i spodziewam się.

—O! o! tylko się niczego nie spodziewajcie. Mam przeczucie od Boga, że ziemskie biedy zakończę. Żal mi was tylko—o! i tego szataputa Wawrzyńca, co niewiedzieć gdzie i po co zaleciał; — a zresztą żyło się jak ludzka dozwoliła krewkość, o Panu Bogu Stwórcy swoim nie zapominając, na śmierć bacząc, to i przyszedłszy do terminu nie wielki strach. Prawdać to że stanąć przyjdzie przed sędzią strasznego maje-

statu, ale to Pan miłosierdzia razem. Daj że mi moja panno te twoje leki, wezmę je z twoich rąk świętych, może mi aby tyle żywota przedłużą bym Wawrzyńcowi pobłogosławił.

—On lada chwila nadjechać powinien.

—Mieście wiadomość?

—Nie, ale się spodziewam.

—A! a! ja się też trzeci już dzień spodziewam i darmo. No! a tobie moja Anulku jak się tam zda, bo ty czasem prorokujesz?

Anna zapłoneła, spuściła oczy i przebaknęła cicho.

—Ale i ja—i ja co chwila go wyglądam.

—Tak jak ja!

To mówiąc wziął kubek i ucałowawszy rękę żony, wypił raźnie lekarstwo, które wprzód przeżegnał.

—A! — wstrząsł się, wasze lekarstwo, gorsze tureckiego jadu! rzekł ocierając usta— Gorzycz niesłychana.

—Mówią, że to wielki specyfik na opadnięcie z sił.

—I! śmieję się Jejmość z tego; niema lekar-

stwa na wyczerpanie siły—póki ona w człowieku jest wydobyć ją można, ale gdy zabraknie niema na to rady.

—Wy bo panie Krzysztofie nadto o sobie zdesperowaliście.

—Uchowaj Boże! albow to ja się śmierci boję? smutno prawda umierać tak negusowsko na łóżku, nie mogąc ostatka krwi przelać za dobrą sprawę przeciw pohańcom, ale co na to poradzić—Śmierć i żona, od Boga przeznaczona. Napatrzyłem się ja śmierci, a żadna mnie nie chciała. Że mnie w Carogrodzie jak Wiśniowieckiego nie powiesili na hak za żebro, wielka łaska Boża; już lepsze łóżko niż taki zgon wszeteczny. Topiłem się na Dniestrze, miałem w sobie piętnaście strzał Tatarskich; w Węgrzech też hajdamactwo napadłszy mnie w górach, gdym samotrzeć jechał, zsiekło mnie na miazgę, com się ledwie wylizał— a ot taki przyszło Bogu ducha oddać na domowém śmieciisku.—Niech Najwyższemu dzięki będą za wszystko!

Skłonił głowę pobożnie składając dłonie, a

w tém usłyszawszy stapanie, podniósł się zaraz, jakby go jakaś dziwna ożywiła nadzieja.

—To nasza czeladka na godzinki się schodzi, rzekła zgadując myśli jego Barbara z Rzeszowa—może Jegomość każesz nam do pierwszój izby, bo tu i zaducha być może od ciżby i—

—Uchowaj panie Boże, nie odprawię! nie— otwórzcie tylko drzwi i niechaj wchodzą. Miło ich i pozdrowić, a jeszcze milój pomodlić się z niemi—i owszem i owszem.

Gdy to mówił, odsunięto zasłonę, a dwórcały pana Krzysztofa, cicho uważnie stąpając, po starszeństwie wszedł do izby—co się nie zmieściło, zostało przy progu. Stary pozdrowił ich prawie wesoło, choć smutek jakiś na czole ciążył mu widocznie, usmiechał się do niektórych, innym słówko szepnął, ku innym ręką kościstą potrząsnął. Wszyscy też witali go czule, pocieszali troskliwie, zbliżali się ku niemu z prawdziwą serdecznością.—Widać było że człowiek co tak sobie umiał pozyskać miłość otaczających, kochać ich musiał pocziwie i szczerze; bo to uczucie w ten tylko pozyskuje się sposób. Naj-

lepszą dlań pochwałą były wejrzenia i łzy w oczach przytomnych.

Po chwilce przyklękli przybyli w koło łóżka, Barbara z Anną na czele, stary zwlókł się jak mógł, podłożono mu poduszki pod krzyże—i poczęto litanją i godzinki.

Pięknyż to był widok — bo wszyscy modlili się z zapomnieniem świata, z gorliwością pierwszych chrześcian. Nareście ukończono śpiewy i modlitwy, ludzie powoli się rozchodzić zaczęli, a dwie kobiety tylko i stary włodarz z którym pan Krzysztof rozmawiał—pozostali w jego komnacie.

Wieczór nadchodził szybko; wezwany xiądz ukazał się w dziedzińcu; tu dopiero widzieć znów było potrzeba, jak z *Bogiem* przychodzącego witano kapłana, jak chory nawet wysilił się by uklęknąć na jego przybycie, jaką radością i spokojem zajaśniała pocziwa twarz jego. Wielkie uczucie chwili połączenia się ze Stwórcą tak go zajęło, że nawet na czas i o synu zapomniał, cały zatapiając się w modlitwie i gorącym rozmyślanu.

Noc już była późna, nikt przecie we dworze nie spał—dworscy, wieśniacy z przeczuciem jakimś niespokojném gromadnie cisnęli się na dziedziniec, gdzie pomimo tłumy cisza panowała największa. Szepty tylko jak szum drzew wiatrem poruszanych, wzlatywały nad głowami zgromadzonych. Niekiedy bliżsi ganku dostawali języka od czeladzi i zaraz wieść ta rozchodziła się z szybkością błyskawicy, aż ku wsi podrzucana z ust do ust. — Pan śpi! pan się modli i pan przemówił! pan czuje się lepiej — powtarzano z kolei z radością i niepokojem.

Pod staremi jodłymi siedzieli z oczyma wlepionemi w okno jego izby: świeży obrzęd pomazania napełniał ich obawą—stawiała im przed oczyma śmierć ukochanego starego pana.

A w sypialni u łóżka jego, siedziały żona i córka—stary wzywany by spoczął, modlił się i głową potrząsał. Sen kilkakrotnie spadał mu na powieki, a on ciągle odganiał go całą siłą woli na jaką jeszcze mógł się zdobyć.

—Czemu nie zaśniesz kochanku, spytała wreszcie pani Barbara—sen ci potrzebny, widocznie

klei ci oczy, a ty umyślnie zdaje się zasnąć nie chcesz.

—Moja panno, rzekł cicho pan Krzysztof—
ja bo się boję spać.

—Dla czego?

—Wszystko ci mówić potrzeba, moja złota Basieczko, dodał uśmiechając się—ty to i sama wiesz! We śnie, Bóg raczy wiedzieć, może zgotowany sen wieczny, a tu Wawrzyńca jak niema tak niema.

—Ale ty sobie tym wysiłkiem uszkodzić możesz?

—Cóż moja kochana panno, kiedy mi straszno zapluszczyć oczy, abym już Wawrzyńca nie ujrzał. Coś bo dziwnie mi nie wraca! czy mu się co nie stało?

—Lada chwilę będzie, odpowiedziała żona, posłańcy go może w drodze minęli, a wiecie że ma znajomych w téj stronie, może do kogo wychnąć wstąpił.

—Ja go nie obwiniam, uchowaj Boże! lecz dobrze-by zrobił żeby pospieszył, bo czuję że mi się oczy nie darmo zamykają, podobno na sen

wieczny. Jakaś błogość nie wypowiedziana obejmuje mnie—właśnie z takim uczuciem zawsze śmierć chrześcijańską, choćby w męczarniach ciała, wystawiałem sobie.

Pani Krzysztofowa porwała się żywo z miejsca—oczy starca w istocie jaśniały blaskiem wielkim, a rumieniec od wielu lat gość niewidziany, okrasiał mu policzki.

—Ludzie pewnie się pospali niebożęta, rzekł, a dobrze by ich pożegnać, bo kto wie co będzie jutro—Pan Bóg mój wzywa mnie.

Żona uklękła u łóżka i wyciągnioną rękę cisnąc do ust rzekła.

—Więc już na zawsze!

—Nie! nie! moja panno! na chwilę tylko—znajdziemy się wszyscy w lepszym świecie, na któren daj Boże aby się zasłużyło, na którym nie będzie ani żony, ani męża, ale tylko czyste, braterskie dusze nasze. Żegnaj że mi panno moja, pocciwy towarzyszu drogi, gdy taka wola Boga! a pozwól z serca podziękować za szczęście któreś mi dała, za pocciwe starania do zgonu—Bóg ci za to w dzieciach pobłogosła-

wi, i ujrzysz je na dobrej drodze. A winy moje odpuść mi w imie Chrystusa...

Popłakali się oboje, chwilę zatrzymał się starzec potém obracając do Anny.

—Ty święta moja, módl się za starego ojca—proszę cię o zdrowaškę co dnia.

—O mój ojczy! mój ojczy łkając i przypadając zawołała Anna — mogłażbym kiedy o tobie zapomnieć.

—Czuję śmierć, zawołajcie ludzi; niech-że i moją pocziwą czeladź pożegnam i pobłogosławię— To mówiąc stary wstał o swęj mocy, a Anna chwyciwszy się od łóża pobiegła z rozkazem.

Wnet co żyło i co się wilo w dziedzińcu poczęło się cisnąć do łóża pańskiego ze smutkiem na twarzy i łzami na oczach. Otwarto drzwi na oścież, każdemu błogosławił pan Krzysztof, dawał rękę i zapewniał że o nich nie zapomniął w ostatniej woli swojej, każdy płakał żegnając go, i tak aż do ostatniego dziecięcia wszyscy zalegli komnaty dworca.

—A teraz, rzekł starzec, proszę was o zmówienie ze mną modlitw nad konającym.

Spójrzał na drzwi, nikt już nie przybywał więcj, łza potoczyła mu się z oczów,— może ostatnia.

Pani Krzysztofowa odzyskawszy na chwilę utracone chrześcijańskie męztwo, uklękła i sama głosem pewnym poczęła modlitwę, powtarzali ją kto mógł.

Starzec mówił z niemi długo, ale wśród nabożeństwa opadał na poduszkę, oczy mu się przymykały jak do snu, usta lekko błogim jakimś otwierały uśmiechem, rękoma przycisnął do piersi krzyż— westchnął i skonał.

Upłynął tydzień i więcj od śmierci pana Krzysztofa z Ostrowca, wszyscy posłańcy powracali, a Wawrzyńca ani słychu. Zgodnie opowiadano że niespodzianie wyjechał towarzysząc hrabiance Izabelli von Vriese do Węgier, w odwiedzinę do jakichś krewnych. Matka z początku śmiercią dożywotniego przyjaciela przybita, wkrótce po chrześcijańsku odzyskała przytomność i spokój

nie zachwiany niczém. Od modlitw przy konającym począwszy, całym pogrzebem i wszystkim staraniem około ciała nieboszczyka pogrzebionego w Wadowicach, sama się zajmowała z dziwną umysłu przytomnością. Pani Anna trwała tym czasem na nieustannéj wedle obyczaju swego modlitwie, nieopuszczając męża. Ubraniem ciała, stypą, wystawieniem grobu, licznemi za duszę modlitwami, rozporządzała staruszka i choć łzy biegly po policzkach, nie zapomniała ani jednej lampy, ani jednej zdrowaśki. Rzekłbyś że oprócz ubrania wdowiego, szat jeszcze bardziej niż dawne, zakonny strój przypominających, nic się w niej prawie nie zmieniło. A jednak sroga boleść i tęsknota dolegały jéj, a zmaganie się na pracę, na spełnienie ciężkich obowiązków w których się wyręczyć nie dała, do reszty z sił ją wyczerpały. W drugim już tygodniu poczęła się objawiać słabość jakaś na którą ani myślała szukać lekarstwa, z upodobaniem wyglądając śmierci i pobożnie się do niej gotując. Nie było tam westchnień czułości, słów wielu i rozpáczy, ale poważny i przytomny wybór w wiekuistą drogę.

Tymczasem codziennie zawsze oczekiwany Wawrzyniec nieprzybywał.

Matka napisawszy list, wyprawiła z nim hajduczka do Węgier.

Annę wezwał mąż jej Hermolaus Ligęza żeby do domu powracała. Świętobliwa ta pani którą późniejsi biografowie w poczet błogosławionych niewiast owego czasu zaliczają, zawahała się chwilę czy mogła matkę opuścić, ale napomnianna od niej że winna posłuszeństwo mężowi, nie bez boleści serca wyruszyła w drogę, obiecując sobie że pan podskarbi gdy mu ustnie opowie o słabości matki, chętnie jej do niej powrócić dozwoli. Pojechała więc do swego ukochanego dziecięcia, do swych poddanych, do swych ubogich i kościołów, nie bez łzy serdecznój żegnając stary dworzec, z którego ojciec już był powędrował na świat drugi, a matka bliska się zdawała, pójść w ślady za nim niebawem.

Pani Krzysztofowa pozostała więc sama jedna w pustym dworze, z pamięcią męża, z żalem swoim, w osamotnionych komnatach, na modli-

twie i pobożnych czytaniach z czeladką pędząc długie godziny, a niemogąc doczekać się syna. Spełniając obowiązki swe do ostatka, gasła powolnie, troszcząc się tylko by nie przyszło umierać nie zobaczywszy, nie pobłogosławiwszy syna.

Lecz przeznaczeniem było Wawrzyńca, aby nikogo na ojczystym dworze nie zastał. W podróży niespodzianej do Węgier, zabawiwszy się po woli panny Izabelli von Vriese, wrócił gdy już był zupełnym sierotą.

Dwa tylko ciała ostygłe czekały nań w grobowej kapliczce Wadowickiego kościoła.

Anna szczęściem przynajmniej pośpieszyła jeszcze zamknąć oczy umierającej z tęsknoty za mężem i synem—matce—ona dla siebie i brata przyjęła błogosławieństwo macierzyńskie, ostatnie słowa, rady ostatnie; ona pozostała doczekując w pustce brata i modląc się prawie dni całe w ogrodowej kaplicy.

Nim się z nią zupełnie w tém opowiadaniu rozstaniemy, powtórzmy dla podziwu i zbudowania, co nam o niej podali współcześni świadkowie jój cnót i życia. Nie będziemy się rozsze-

rzeć nad pobożnemi jęj fundacjami w Wojciechowicach, w Janikowicach, w Collegium Jezukiem w Krakowie i w Sandomierzu; wołemy wskazać jęj życie powszednie. Gdy raz ukochane jęj dziecię, córeczka zachorowała ciężko, poniosła ją z wielką a niezachwianą ufnością do cudownego obrazu w Częstochowie. Tu gorącą uczyniwszy modlitwę, zawołała z silną wiarą, że póty nie wyjdzie z kościoła, póki Bóg jęj nie wysłucha! I pobożne to zuchwalstwo uzdrowiło córeczkę. Ale życie jęj całe godną ją téj łaski czyniło.

Gdy owdowiała, widzi raz wieczorem płonący ogniem bogaty dwór swój, skarbcę i dostatki; porywa się z łóża zbudzona nagle, unosi swe dziecię i zdala poglądając na dymiące zgliszczę, gdy ją poczęto pocieszać, odpowiada spokojnie.

—Bóg nam to odebrał, ażebyśmy o niego więcej dbali, niż o marny dostatek.

Siedem lat z dziwną zręcznością wstrzymywała się od pokarmów mięsnych, tak że nikt o tém z domowych, mąż nawet niewiedział. Białę swój chleb pański, mieniała na zbrukane i zsza-

rzane w torbach dziadowskich okruchy razowego, które pożywała dla umartwienia. Pomimo to lice jęj kraśniało zdrowiem, a więcej jeszcze anielskim duszy pokojem. Zwyczajem było u Pana Krzysztofa z Ostrowca, że w każdym jego folwarku żywiono jednego ubogiego; ona naśladowając ojca i u siebie i w dobrach Ligęzów pocziwając tę zaprowadziła jałmużnę.

Taką była Anna żona Hermolausa Ligęzy—Czekała ona modląc się na brata i doczekać go niemogła, spójrzmyż co się z nim przez ten czas działo.

W Krakowie od roku już mieszkała z matką Jolandą Baronową von Vriesse, młoda Izabella, cudnej i dziwnej piękności dziewczę, za którą co było młodzieży w stolicy, wszyscy niemal potracili głowy.

Matka Jolanda rodem francuzka, wdową była po Baronie Vriesse, i sprawę mając w Polsce o dobra spadające na córkę jedynaczkę, przybyła z tego powodu do Krakowa. Jak skoro ukazała się, niemało listów do najpiérwszych w kraju ro-

dzin od Cesarza i panów jego dworu przywiozłszy, jednym krzykiem uwielbienia powitali wszyscy młodą Izabellę. Padano przed nią na kolana, i w pierwszej chwili co żyło wdziało jęj barwy—była to bowiem nie lada pospolita młoda, wdzięczna i świeża panienczka, ale istne cudo piękności, istota promieniejąca jak zjawisko nadprzyrodzone doskonałością, którą starzy łacinnicy określali owem *monstrum sine vitio*. Od stóp do głowy, skazy byś na nięj i niedoskonałości nie znalazł—tak że w rzeczy potwornością była ta piękność nie ludzka niemal. Nic jęj nie brakło w cielesnych przymiotach, a na dobitkę umysł miała prawdziwie męzki, dowcip niesłychany, charakter rzadkięj w niewieście tęgości. Serce miała nie kobiecego hartu, a patrząc na nią aniś ją mógł o tyle siły posądzić, tak wzrok jęj kłamał doskonale łagodność. Bez litości, do przywiązania trudna, zimna, obojętna, śmiechem zbywała i radość i smutek i szczęście i klęski; a oczy jęj zdawały się być skarbnicą łagodności, dobroci, miłości niewyczerpanęj.

Rozpieszczona przez matkę, wychwalana

przez bliskich i wszystkich kogo tylko w życiu spotkała. Izabella wzrosła swobodna, dzika prawie, nieumiejąc się ugiąć niczém i dla niczego, dumna, swawolna i nieprzełamana w uporze. Prawem dla wszystkich było jój skinienie, chętką rozkazem, słowo wyrokiem; nikt się nie śmiał ubóstwionój sprzeciwić. Gdy jój powiadano, to się godzi a to się nie godzi: śmiała się jak z żartu nie wierząc by coś jój wzbronioném być mogło. Jakoż matka dozwalała jój na wszystko czego tylko chciała. Ale przyszedł nareście czas, gdy pewne granice woli położyć należało — sprobowano, nie było już sposobu. Słuchając uwag spóźnionych Jolandy, Izabella rozśmiała się tylko i ruszyła ramionami, odwróciła ku zwierciadłu i patrząc w nie, odparła z uśmiechem.

—Jest że co takiego, czegoby *mnie* nie można?

Biedna matka za całą odpowiedź uściskała ją tylko—na tém się skończyły usiłowania daremne.

W Krakowie tłum młodzieży najdostatniejszej zappełniał dom Baronowój, a Izabella nad wszystko przekładając zabawę wrzawliwą, zgietk i oklaski

tłumów, nigdy nie syta nowych twarzy, bawiła się niemi, zawsze pragnąc więcej a coraz więcej ludzi.

Zachcenia jęj najdziwaczniejsze nie miały miary, granic, i względów. Czepiała się jak pokusa świętobliwych starców, wabiła żebraków ulicznych, słuchając kolejno śpiewu kościelnych i karczemnych piosnek, ciekawa wszystkiego, goniąca za *niepodobném*. Był to Neron w kobiecym stroju, wielki ów *niepodobieństw lubownik*. Im szaleńsze żądanie, myśl, chęćka, tém goręcej lgnęła do niego Izabella. Jeśli dla jakiej przeskody żądaniom jęj zaraz uczynić zadość nie było można, płakała jak dziecię tarzając się po ziemi, matki i nikogo w gniewie nie szczędząc.

Było to dziecię oszalałe, dziecię wyrosłe na dziewicę; ale dla piękności cudnej wybaczano jęj wszystko, bo spójrzała i jedném spójrzeniem rozbroiła najsurowszego, taką miała potęgę wzroku.

Jednego dnia zachciewało jęj się wędrować po przepaścistych Karpatach, to znów drapać się na wierzchołek wieży kościoła, to jeździć

niedźwiedziami, to pływać czółnem ciągnionem przez uczone do tego łabędzie, to zwiedzać ziemie dalekie, to u nóg swych widzieć dziwną jaką istotę, o której zasłyszała. Ci co ją otaczali biedzili się dogadzając dziwacznym zachceniom, którym końca nie było, matka płakała, ale nie miała siły by córkę na drogę pomiarkowania sprowadzić.

Dom Jolandy był zbiegowiskiem najosobliwszych ludzi, istot i rzeczy. Ptaki Indij, młode lwy Afryki; niedźwiedzie litewskie, węże olbrzymie z drugiego półsferza, złociste ryby Chińskie, pióra latawców, skóry krokodylów, małpy i negry, karły i olbrzymy zalegały wszystkie kąty. Najobrzydliwsze istoty obudzały ku sobie jakiś pociąg osobliwszy w niepojętej Izabelli; rzekłbyś że chciała odgadnąć tajemnicę ich natury, ich poczwarności, dziwactwa? Całe godziny śledziła ruchy stworzeń, słuchała mowy ludzi obłąkanych jak rybołowiec co z wędką czeka aż coś na nie złapie. Astrolog z Francji, alchemik z Hiszpanji, malarz z Włoch, sztukmistrz niemiec, dwór jej codzienny składali. Dwa karły, albinos, małpa,

papuga i błazen warjat po troszę, krok w krok chodzili za nią. Sypała pieniędzmi jak plewą i nierozumiała niemożności; posyłała jednego po wodę z morza Martwego, drugiego po garść ziemię z posad Troi, innego po cudowny kwiat Baaras o którym Aelian wspomina, a co go u nas zwano Płomykiem.

Taką była owa Izabella von Vriesse; a na szczęście czy nieszczęście Wawrzyńca z Ostrowca przyszło mu się z nią w życiu spotkać.

Wawrzyniec wychowany był religjinie w domu któryśmy widzieli, kołysała go pieśń pobożna, obudzał pacierz gorący; w służbie wojskowej spotykał tylko ojców familji, współobywateli i cnót domowych przykłady, bo pod owe czasy obóz był także niby zakonu rycerskiego taborem—nagle potém błysła przed jego oczyma ta dziwna i dziwaczna piękność, pochwyceny czarami jój wzroku przylgnął do niej młodzian. Jak król otoczona licznym dworem, przejeżdżała Izabella konno z łukiem na ramionach ulice Krakowa niosąc na ręku białego jak śnieg sokoła, gdy oko w oko, pięknej postawy, wyniosłego i spo-

kojnego czoła nadjechał Wawrzyniec Jakubowski. Wracał on do domu z wyprawy — Izabella przywykła do hołdów i oklasków, obruszyła się na zimne oblicze młodego człowieka, na obojętne jego spójrzenie; zastanowiła konia, zwróciła się i dognąła go.

Rozmowa poczęta natrętnie, zimno wiedziona w początku, rozkołysała nareszcie chłodną pierś żołnierza; ujęty, obłąkany, powrócił za Izabellą do Krakowa. Odtąd nie opuścił jęj więcej, stał się najzapamiętałym z jęj wielbicieli i ani rodziców przestrogi, ani głos niespokojny własnego sumienia, oderwać go od nięj nie mogły.

FINI

Izabella zaś jakby naumyślnie wynajdywała mu polecenia najdziwniejsze, najniesłychańsze dawała rozkazy. Wysyłała ludzi jego w dalekie strony, a gdy spełnił polecenie, pogardliwie je przyjmując, rzucała mu inne.

Wawrzyniec po polsku nie długo myśląc zakochawszy się oświadczył o rękę panny z niematem strapieniem rodziców, którzy zwyciężeni jego łzami zezwolili na to, ale Jolanda odpo-

wiedziała mu, że Izabella od siebie tylko zależy— Izabella zaś rozśmiała się, zmarszczyła piękne brwi, czarne i rzekła.— O! posłużycie mi wprzód jeszcze nim mnie do jarzma wprzężecie— poczekajcie! poczekajcie!

I jak w starój bajce, narzucała mu próby najdziwniej wymyślane.

Wawrzyniec głowę, pieniądze, czas tracił, zapożyczał się u lichwiarzy, a wystarczyć nie mógł głową i kieszenią dziwaczным zachceniom panny. Za każdym razem sądził się u celu swych życzeń i granicy wymagań, a piękne dziewczę spychało go znowu w miejsce z którego sądził, że zszedł na wieki. Co gorzej inni z nim dzielili nadzieje, miłość, próby, i nie nie zapewniał, że w końcu wielkie ofiary nagrodzić się czémś będą mogły— choćby jedną szczęścia chwileczką. Izabella śmiała się ze wszystkiego i z nadziei i z mniemanych praw wielbicieli swoich.

—Gdyby mi się jutro zamarzyło, odartego, brudnego kalekę starca z ulicy wziąć za rękę i poprowadzić do ołtarza, któżby mi śmiał tego

wzbronić? wołała. Zrobię tylko to co zechcę, pójdę za mąż za murzyna może, za lwa afrykańskiego, za wielkiego mogoła, za żydowskiego Kabbalistę— za kogo mi się podoba— gdy mi się zamarzy, a jeśli mi się uprzykrzy mój mąż, mój lew, mój kochanek, to go porzucę nie zawodnie i wezmę innego.

Wawrzyniec wierzył, nie wierzył tym słowom, w głowie mu się mąciło, a porzucić jej nie mógł. Niekiedy przy nim, Izabella budząc zazdrość jego umyślnie, rozdawała, w biały dzień pocałunki wszystkim urodziwym mężczyznom, siadała im na kolana, zarzucała ręce na szyje— Wawrzyniec się wściekał, uchodził wyklinając, a nazajutrz powracał. Taka była siła téj piękności nie zrównanej, która raz ujrzana, stawiała się potrzebą, koniecznością życia, życiem samym. Bez niej jak bez powietrza potrzeba było umierać.

Jednego wieczora Izabella zawołała— matko jutro jedziemy do Węgier, mamy tam krewnego hrabiego Melenny, słyszałam o jego zamczysku na wierzchołku niedostępnej skały,

słyszałam o jego dziwactwach, chcę mi się go poznać. Mówią, że żonę zamknął w wieży, że dzieci powyganiał z torbami w cztery konce świata— to coś osobliwego, spytam go o przyczynę, jedźmy do Melennic. Wy panowie wszyscy za mną, a kto nie pojedzie, niech mi się nie pokazuje więcej. Każdy z was weźmie pięciu sług wiernych i pięć dobrych koni, abyśmy obóz mieli poważny, namioty, łoża, kotary, i wszystko czego mi się zachcieć może— myślcie żebyście wzięli z sobą czego zażądać bym mogła! A jutro na koń i w drogę.

Nazajutrz blisko pięciuset koni, sunęły się za Izabellą i Jolandą ku Węgrom. W drodze szczęściem jedno ją tylko napadło dziwactwo strzelania do celu, który trzymać kazała z kolei w ręku, wielbicielom swoim. Jednemu tylko wystrzeliła kęs twarzy, pocałowała ranę krwawą— i pojechali dalej. W Melennicach zobaczywszy zamek i hrabiego, spytawszy go czy prawda że żonę w wieży trzyma, a dzieci powypędzał— na co stary magiar odpowiedziałby komu innemu szablą, a cudnej dziewczce dzikiem tylko war-

knął przekleństwem— zawróciła się wiodąc całą swą gromadę w góry.— Tu dwie niedziele obozowano polując, skacząc po skałach pięć koni straciła pod sobą. Gdy powrócili z téj wyprawy do Krakowa, Wawrzyniec zastał wieść o zgonie ojca, o stracie matki i płacząc a nie widząc nawet Izabelli, pojechał nocą zaraz ku Wadowicom na grób rodzicielski.

Zrana niéma pana Wawrzyńca.

—Gdzie on? spytała Izabella— opowiedziano jój wszystko, potrząsła głową i odwracając się rzekła.

—Jechać mi zaraz za nim, kto mi go przywiedzie, dam rękę pocałować.

Sześciu dworzan panny ruszyli dniem i nocą do Wadowic.

Wawrzyniec modlił się na grobie ojca i matki; a Anna żona Ligęzy, pocieszała go łagodnie, opowiadając mu o spokojnym ich zgonie, o chwilach ostatnich, o błogosławieństwie.

—Nie trap się mój Wawerku, mówiła— wola to Boża, aleś jednak życie całe pokuto-

wać powinien w głębi duszy, za to żeś obo-
wiązku syna nie spełnił dla marnego upodoba-
nia w wietrznicy, której niech Bóg przebaczy
szaleństwo.

—O! ty jój nie znasz Anno!

—Nie! nie! i znać jój nie chcę; ale się mo-
dlę za jój nawrócenie.

—Myślisz że już jest na drodze zguby! to
dziecko!

—Nie! to już nie dziecię! a myślałaż kiedy
o przyszłości? Jestże to matka dla twych dzie-
ci, żona dla ciebie, córka dla tych świętych
rodziców, co na ciebie z niebios pogląają.

Wawrzyniec milczał spuściwszy głowę.

—A! rzekł po chwili, nie wiem kto ona,
co ona, ale wiem, że mi bez niej żyć nie po-
dobna!

—Wszystko podobne przy łasce Boga, przy
silnej woli— módl się! módl się!

—Nie mogę! siostro.. nie umiem.

—Zły to znak bracie; pocziwe przywiąza-
nie wywołuje modlitwę, złe usta zamyka.

—Siostro! módl się ty za mnie— czuję sam

że zginać mogę, ale oderwać się od niej nad siły moje.

Anna usłyszawszy to rozplakała się i ukłękła na gorącą modlitwę— wstała potem i całując brata w czoło, rzekła mu uroczyście i poważnie.

—Bóg moich modlitw wysłucha!

W tej chwili wpadli posłańcy Izabelli i Wawrzyniec oprzeć się im nie mogąc zaledwie czarne żałobne szaty przywdziawszy, pojechać musiał z niemi.

W progu powitała go groźnie dziewczyna.

—Gdzie byłeś?

Łzy zakręciły mu się w oczach.

—Siadaj na koń, na zamku Vriesse, w moim pokoju, na stole zostawiłam wyjeżdżając lat temu kilka, węzeł ze trzech wstążek związany, białej, różowej i purpurowej, przywieź mi go a śpiesznie!

Płacząc dumając pojechał Wawrzyniec po węzeł i przywiózł go we dwa miesiące, a Izabella obejrawszy, że zbladł i barwę stracił, w komin go rzuciła.

—Dobrze, rzekła— teraz mi się chce pomarańczy z Malty, ale wolno ci wziąć jedną tylko! Zerwiesz ją z drzewa, ją samą nic więcej, a przywieziesz mi ją tak, aby się nie zepsuła— gdy mi ją oddasz, będę twoją.

Na podróże i dziwactwa Izabelli Wawrzyniec znaczną już był część dóbr ojcowskich zastawił, przecież zagrożony ubóstwem goniąc prawie ostatkami, gdy usłyszał, że mu się obiecywała być jego żoną, do nóg jej upadł jak dłużnik.

I teje nocy wyruszył do Malty.

—Zdaje mi się, że ten szaleniec doprawdy mnie kocha, zawołała Izabella— był przywiązany do rodziców i wyrzekł się ich dla mnie, stracił majątek i zdrowie, nie żałował życia. Ha! ma jeszcze wiarę— zobaczym czy mi ją poświęci i dodała od niechcienia patrząc na zwierciadło.

Wawrzyniec dość długo dla przeciwnych wiatrów bawił w drodze, pomarańcza z porady czyjejś obłana woskiem, doszła do rąk dziewczęcia świeża i wonna, ale opatrując ją z mi-

na ciekawą Izabella, dostrzegła na niej plamki czarnéj i rzuciła małą paczkę swojęj, która taczając złote jabłko pobiegła z nią w drugi kąt pokoju.

Wawrzyniec, który dla tego owocu, o mało w ręce korsarzy tureckich nie popadł, otarł tylko pot zimny z czoła, ale nic nie rzekł.— Kazano mu przyjść wieczorem,— Iza była sama jedna.

—Będę twoją! rzekła po chwili— ale jeszcze jeden, jeszcze ostatni warunek!

—Słucham, i spełnię lub umrę, rzekł Rotmistrz.

—Ja wyrzekłam się duszy mojęj i zapisałam ją szatanowi, i ty to musisz uczynić!

Wawrzyniec pobił i twarz ukrył w dłoniach.— Oto pargamin, nóż którym krew potrzeba wysączyć, pióro krucze— to żądanie ostatnie, potem będę ci posłuszną, uczynisz ze mną co zechcesz.

Oczy jego zabłyśły.

—Przysiężesz? rzekł.

—Przysięgnę, odpowiedziała wolno patrząc

mu w oczy, a co więcej dotrzymam, będę twoją— podpisz.

Rotmistrz uderzył się w piersi nożem, aż krew mu buchła na białą suknię, zmoczył w niej rękę całą i drżącą na pergaminie wycisnął.

Izabella spójrzała nań, pobladła, odwróciła się i znikła.

Nazajutrz nie było jej w Krakowie, w tydzień, dwa, miesiąc, ani wieści o matce i córce— wyjechały obie nie wiedzieć dokąd i z jakiego powodu.

Wawrzyniec złamany swém nieszczęściem powrócił na stary dworzec. Ale te wspomnienia, zgryzoty, strachy jakieś duszne wyżyć mu nie pozwalały. Tu wszystko przypominało spokój niewinnych lat młodych, dziś stracony, i święte, pobożne życie rodziców, od których się Wawrzyniec dobrowolnie oddzielił dla jednej kobiety.

Przywiązanie bez granic, teraz się zmieniać poczynąło w gniew zajadły, w pragnienie zemsty zacięte.

Chwilami płakał i ręce ku niej wyciągał i wzywał jej, wzywał szatana, aby mu ją powrócił, to znów miotał się jak szalony, chcąc pomścić, pragnąc zabić. Strumienie łez oblewały mu twarz, ale modlić się jeszcze nie mógł; Anna tymczasem w codzienną prośbę wstawiała się za nim. Przebywszy dni kilka na starym dworcu, dni długich jak lata, Wawrzyniec ujechał w góry, błędził w nich czas jakiś i mimowolnie prawie do Krakowa zawrócił.

Przez czas niewidzenia tej kobiety, namiętność jego zmieniała się we wstręt, gniew i pragnienie zemsty; lecz że w poczciwem sercu nigdy ta żądza długo ostać się nie może, i Wawrzyniec prędko ją we łzach utopił. Czuł tylko wżgardę dla niej, i wżgardę dla siebie.

Wjechał do Krakowa i sam koń zawiódł go przed dom Jolandy, który się pustym znaleźć spodziewał. Tłum go otaczał—dwie kobiety wróciły jak uciekły, niespodzianie. Jeszcze w ulicy pochwycili go posłańcy, co darmo zbiega szukali, i poprowadzili do panny, która niecierpliwiać się od dni kilku nań czekała.

W milczeniu dał się wieść— ale na myśl, że ją znów ujrzy, już mu się nie wstrzęsło serce.

W tém głos Izabelli dał się słyszeć z góry wschodów.

—A! trzymam cię przecie, Rotmistrzu! ho! prędjéj mi pośpieszaj— Wawrzyniec włókł się powolnie, ani jéj głos, ani wejrzenie nie poruszały go jak dawniej; pękły uroki— i wstyd i dumą budziły się w nim a rosły.

Ona poskoczyła sama naprzeciw, podając mu rękę z uśmiechem.

—Wszystko skończone, rzekła— jutro się pobierzemy— jam twoją. Wszystko to były próby tylko— chciałam być poślubioną człowiekowi coby mnie kochał prawdziwie, tak jak ja chcę być kochaną— a tyś mi wszystko a wszystko poświęcił! Cyrograf był tylko igraszką, na nim stoi miłośna przysięga— wytrzymałeś pogardę, obojętność, dziwactwa, wymagania najszaleńsze— jam teraz sługą twoją i niewolnicą!

I uśmiechnęła mu się zalotnica, tak wdzięcznie, tak wesoło a naiwnie, że Wawrzyniec

zadrżał, obawiając się by nań znowu starych nie włożyła kajdan— ale wnet opamiętawszy się, odtrącił ją lekko i rzekł cicho.

—Jutro!

—Nie jesteś szczęśliwy?

—Jutro! powtórzył— jutro! kiedy? jutro!

—Biedny, prawie rozum postradał— Jutro! tak! jutro wieczór jestem twoją.

—A więc do jutra! rzekł uchodząc.

—Do jutra! ty idziesz?

—Idę się przygotować!

—Idź, lecz powracaj, powracaj rychło. Na wieczór, na zachód słońca wszystko będzie u nas gotowém.

Rotmistrz zszedł ze wschodów nie oglądając się, z głową spuszczoną na piersi.

—Biedny, obłąkany prawie! szepnęła nad wschodami stojąc i wzrokiem goniąc za nim dziewczyna— ale to minie! to minie gdy będziemy razem— nadtom mu duszę rozdarła!

Wieść już o małżeństwie Toporczyka z cudzoziemką szaloną, rozeszła się była po mieście— wielu zazdrościli, wielu ubolewali, inni różnie

a różnie wróżyli o przyszłości. Tymczasem w pałacu Jolandy czyniono świetne przygotowania do jutrzejszego obrzędu; co było dostojnych znajomych sproszone, a Iza zapowiedziała matce, że chce niewidzianego przepychu, chce uczyć Balthazarowskiej, tłumów, dziwów, cudów.— Po uczcie, rzekła— ja i on siądziemy na koń we dwoje i pojedziemy gdzie oczy poniosą, na dzień na rok, na całe życie, Bóg to wie! Na co nam do szczęścia ludzkie oczy.

Jolanda spodziewała się końca dziwactwom córki, i wysiliła się na ucztę weselną. Sproszone na nią kilkaset osób, a cały dom strojny w dywany, pochodnie i kwiaty wyglądał zaczarowanym pałacem, stu muzyków grali w zamku, dwudziestu błaznów bawili gości, sto masek pociesznych brząkali dzwonkami, stukali laskami, dzwięczyli śmiechami. Izabella strojna w suknię białą ze złotem, piękna jak anioł z nieba, jaśniała weselem, a stojąc przed zwierciadłem, czekając na narzeczonego, trefiła włosy coraz inaczej. Złote iglice i zielone wianki odmiennie sługi wpinały, czas płynął, biegali po-

słańcy, pana Wawrzyńca nie było. Wszyscy sproszeni goście już się zgromadzili, dziwiono się opóźnieniu, szukano go wszędzie, nigdzie znaleźć nie umiano, ani się o nim dowiedzieć.

Ona tupiała nóżką i darła w rękę niewinne kwiaty, któremi zarzucała pokój.

Wybiła godzina; w dziedzińcu żywy tentent konia dał się słyszeć.

—To on! to on!

Wszyscy wybiegli naprzeciw pana młodego on był w istocie, strojny jak król, blady jak xiężyc o północy, chmurny jak burza, ale milczący jak kamień. Wszedł dumnie na salę, gdzie nań tysiąc powinszowań czekały, i stanął w pośrodku nie skłoniwszy się nikomu.

Dziewcze z przeciwnych drzwi wyrwało się biegnąc jak panthera po pastwę swoją, chwyciła go za rękę i milcząca pobiegła z nim wprost do ołtarza.

On się dał prowadzić, wszyscy milczeli, poglądali, szeptali, dziwili się, że wszystkie pomijano stare, rodzicielskie obrzędy.

Xiądz już ubrany przystąpił do ustrojonego ołtarza, pod którym złoty rozesłano kobierzec.

Na zapytanie— bierzesz ją za małżonkę? jak piorun głośna, jak piorun niespodziana rozległa się odpowiedź.

—Nie! nie! nie!

I odtrącił ją Toporczyk; Ida osłupiała, pobladła, cofnęła się, wszyscy przyskoczyli ku nim.

—Nie! nie! nie! głośno powtórzył Wawrzyniec— ani ja, ani nikt nie wezmę jęj za małżonkę— tęg kobięty, która chce być kochaną więćej niż Bóg, która nie może dać szczęścia nikomu, bo sama nie wie gdzie go szukać.

—Gardzę tobą, dodał mierząc ją wzrokiem, nie chcę ciebie— całe swe życie wszystkim każałaś słuchać siebie jak bóstwa, całe życie bluźniłaś każdym ruchem, każdym słowem, jesteś szatanem nie niewiastą! Ani ja, ani cię nikt nie zechce!

—Oszalał! wykrzyknęła Iza drąc zasłonę białą.

—Nie! jam rozum stracony odzyskał, prze-

rwał Wawrzyniec— i rzucam ci wstyd w nagrodę dawnego mojego męczeństwa?

To mówiąc popchnął ją od siebie i wzrokiem potoczywszy po zgromadzonych gościach— poszedł ku drzwiom, a tłum mu się rozstał. Ale Iza, której oczy płonęły ogniem, buchały gniewem, leciała za nim.

—Lorenzo! zawołała głosem Syreny— Lorenzo! nie! ty nie uczynisz tego, ty mnie nie opuścisz, bo ja cię chcę, ja cię mieć muszę! ty musisz być moim!

—On się nie obejrzał, nie odwrócił, nie zatrzymał.

I szedł ku drzwiom, otworzył je, w tłum wpadł i zniknął wśród tłumu.

Tegoż wieczora, jednym nowicjuszem więcej, było w klasztorze Ś. Bernarda w Krakowie.

Ale niespokojna narzeczona, w gniewie, zapamiętałości, aż w murach klasztornych go szukała. Przebrana po mężku wbiegła go kusić do celi ubogiej, a gdy jak o kamień rozbiły się

o niego prośby, łzy, gniewy, obietnice, błagania i rozpacz— wygnana za ffortę, przysięgła zemstę nieubłaganą.

W kilka dni potēm do przechadzającego się brata Wawrzyńca strzelono z murów; zdumiał się, spojrział, i zobaczył prześladowcę swego, który nowym strzałem go chybił.

—Zrzuc tę suknię i chodź za mną! lub śmierć! śmierć!

Zakonnik nic nie odpowiedziawszy, uszedł powoli; już mu nie była groźną. Wysłano go nazajutrz kończyć lata nowicjatu w oddalonym klasztorze.

Szukała go jeszcze zapalczywa niewiasta, ale bezskutecznie, w ostatku obie z matką znikły z Krakowa bez wieści. Prawili tylko ludzie, że upokorzona męczyła się długo, aż wreszcie zakłuła igłą zatrutą, którą zawsze nosiła przy sobie.

Na tém się kończy podanie o Wawrzyńcu Jakubowskim, który wedle biografów 700,000 utracił na staranie o Baronównę von Vriesse,

Xiądz Florjan Jaroszewicz powiada, że wstępując do zakonu, rozdał resztę swęj majętności na ubogich. Umarł pobożnie w roku 1674. Niesiecki o staraniu tém i wypadkach poprzedzających wstąpienie do zakonu zamilczał. Dobra Jakubowskich przeszły w dom panów Ligęzów; modlitwom to pobożnej Anny, winien był Wawrzyniec ocalenie swoje.

K O N I E C.

BIBLIOTEKA DOMOWA

własność

Stefana Klajbora

Nr. _____



SPIS RZECZY.

	<i>Stronica.</i>
I. Dobry Człowiek	5
II. Szlachcic	21
III. Nadworny poeta	55
IV. Reformator	75
V. Mecenaz	95
VI. Motyl	119
VII. Paliwoda i Zawalidroga	147
VIII. Sobieradzka	165
IX. Dowcipni	195
X. Dwa typy kobiece (z czasów reformy 1597 i 1629)	213
I. Bietka	215
II. Krystyna Poniatowska	230
XI. Rotmistrz Jakubowski (Charaktery XVII. wieku)	261



Biblioteka Raczyńskich

JIK **582**



JIK0582